

„ORZEŁ BIAŁY“  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)  
Novembre 1967

Cena 3/6  
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C

# SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

LISTOPAD

1967

Nr 40/1187

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



25-TA ROCZNICA  
POMOCNICZEJ SŁUŻBY KOBIEC

FP-2158

## W NUMERZE:

<i>S. Benedykt</i> : Polski Listopad	1
<i>M. C. Leśniakowa</i> : 25 Rocznica Pomocniczej Służby Kobiet	2
<i>H. Jankowska</i> : Tadeusz Kościuszko Polak doskonały	4
<i>Z. L. Zaleski</i> : Pogłosy i pogłoski	6
<i>Kage</i> : Kronika wojskowa	7
<i>K. Glabisz</i> : Dzieje najstarszego pułku artylerii	8
<i>Wiślan</i> : Kraj kontrastów	9
Z życia polskiego	10
<i>A. Stambrowski</i> : Akumulacja kapitału a stopa życiowa	12
<i>M. Wilczewska</i> : Z Kazachstanu do domu	14
<i>J. Pększyc</i> : Drzewiej	17
<i>F. Goldschlag</i> : Ojciec — Wieszatel	19
KONKURS „Orla Białego” „Irena”: Z krainy Pana Balcera	21
„ <i>J. Korczak</i> ”: Lekcja polskiego	23
<i>K. Brzozowska</i> : Lutniści ciemnego losu i czasu	27
<i>Z. Grabowski</i> : Rzym — miasto zamknięte?	29
<i>A. J. Dąbrowski</i> : Dwie emigracje — jedna troska	31
<i>J. Ostrowski</i> : Filozofia analityczna Skolimowskiego	33
<i>B. T. Lisiecki</i> : Polscy Imkarze w Austrii	35
<i>K. E.</i> : Przeważnie dla pań	36
<i>Dr Michał</i> : Gawęda lekarska	37
<i>W. Stefański</i> : Jestem uratowany	38
Książki i wydawnictwa nadesłane	39
Świat się śmieje	40

# KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.

Skład główny wydawnictw Polskiego Instytutu Historycznego

★

## POLSKIE SIŁY ZBROJNE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

<i>Tom I cz. 1</i> — Kampania wrześniowa 1939. Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną.	30s
<i>Tom I cz. 2</i> — Kampania wrześniowa 1939. Przebieg działań, 1—8 września.	42/6
<i>Tom I cz. 3</i> — Kampania wrześniowa 1939. Okres trzeciej kampanii, 9—14 września.	50s
<i>Tom I cz. 5</i> — Kampania wrześniowa 1939. Marynarka wojenna i obrona polskiego wybrzeża.	30s
<i>Tom II cz. 1</i> — Kampania na obczyźnie. Wrzesień 1939 — czerwiec 1941.	35s
<i>Tom III</i> — Armia Krajowa.	52/6

★

STEBLIK W. — Zarys działań wojennych armii „Kraków” w kampanii wrześniowej 1939 r.	19/6
------------------------------------------------------------------------------------	------

★

Wojna a potencjał gospodarczy — Zeszyt I.	12s
-------------------------------------------	-----

### LISTY DO REDAKCJI

#### NIEDEMOKRATYCZNY „ORZEL”?

Szanowny Panie Redaktorze,

Każdy człowiek ma prawo do takiego sposobu myślenia jaki mu najbardziej odpowiada. Inną jest wszakże kwestia czy każdy elaborat myśli ludzkiej zasługuje na ogłoszenie drukiem. Redakcja ma prawo do selekcji nadsyłanego jej materiału i powinna z tego prawa korzystać.

Dlatego też uważam, że zarekomendowanie przez Redakcję „Orla Białego” myśli p. Aleksandra Stambrowskiego o „rządach pułkowników” było, grzecznie mówiąc, jakimś nieporozumieniem. Ani to na czasie, chociażby ze względu na pułkownikowski zamach stanu w Grecji, ani

roztropnie. Pismo, które walczy z mocą rządów komunistycznych powinno się strzec jak ognia propagowania rządów jakiegokolwiek innej przemocy.

Artykuł p. Stambrowskiego nie zasługuje na polemikę, bo nie ma w nim żadnych „odkrywczych” myśli. Co najwyżej doprasza się sprostowań. Inną jest bowiem rzeczą udział wojskowych w rządach demokratycznych, gdy ludzie ci zostają powołani na wysokie stanowiska z wolnego wyboru społeczeństwa, jak gen. Eisenhower, de Gaulle czy gen. Smuth, a czymś zupełnie innym rządy pułkowni-

(Dokończenie na przedostatniej stronie okładki)

29 listopada 1830 roku akademicy warszawscy Seweryn Goszczyński, Ludwik Nabelak i Maurycy Mochnacki pierwsi rzucili w murach gmachu Uniwersytetu Warszawskiego pochodnię walki o „niepodległość Polski“. Mówił o nich w Belwederze w r. 1921 na przyjęciu profesorów i delegacji młodzieży uniwersyteckiej z okazji wręczenia insygniów tej nowopowstałej uczelni Naczelnik Państwa.

Józef Piłsudski obierając historyczny Belweder w r. 1918 jako swoją siedzibę, wybrał 29 listopada, pamiętny dzień, gdy podchorążowie ze swych koszar Łazienkowskich w tę „Noc Listopadową“, prowadzeni przez porucznika Józefa Wysockiego ruszyli na siedzibę satrapy moskiewskiego W. Księcia Konstantego dając początek powstaniu 1830—31 roku.

Niewielu uczestników tego zbrojnego zrywu mającego dać wolność Polsce dożyło tego wielkiego dnia w listopadzie 1918 r., gdy spełniły się zamiary, cele i marzenia, o które walczyli żołnierze z pokoleń powstańczych z lat 1830/31 i 1863/64. Dla podkreślenia i upamiętnienia czynu swych poprzedników, Szkoła Podchorążych odtąd w dniu tym zaciągała zawsze wartę w Belwederze — pluton honorowy w mundurach listopadowych.

„Listopad dla Polaków niebezpieczna pora“ — powtarzano za Wyspiańskim — jakby hasło z „Nocy Listopadowej“ przez wiele lat, aż nadszedł listopad 1918 roku, listopad niosący wolność narodowi.

Listopad wiosny niezależnego bytu i niepodległego państwa polskiego.

*„To jest ostatnia jesień, niebezpieczna pora  
I ostatnie zarosłe niewolą przysłowie,  
Zwołajcie nocne zjawy i wpuście  
upióra,  
Niech pyta — i niech naród mu teraz  
odpowie“*

— napisze w „Wolności Tragicznej“ o tych przełomowych dniach Kazimierz Wierzyński.

Mijała ta „niebezpieczna pora“ „wszędzie na wszystkich krańcach odradzającej się i scalającej się dopiero Rzeczypospolitej — i w samym sercu, w stolicy Warszawie.

O przynależność do Polski pierwszy jednak rozpoczął walkę L w ó w — jakże słusznie mający w swym



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
WSPÓŁCZESNYM

Nr 40/1187

LISTOPAD, 1967

Rok XXVI

## POLSKI LISTOPAD

herbie zawołanie „semper fidelis“. Trwał samotnie, nie przygotowany do rozprawy zbrojnej, bez broni, bez zaplecza i zasobów, aż nadeszła „Odsiecz“. Jedną z najpiękniejszych kart ostatecznej walki o wolność państwa i przynależność do niego.

Przypomniał tę chwilę, nadając miastu — jako zbiorowemu żołnierzowi — najwyższą odznakę wojskową, order Virtuti Militari w dwuletnią rocznicę oswoobodzenia, w listopadzie 1920 roku, Józef Piłsudski, podkreślając:

„W chwili, kiedy zginęła z mora naszej niewoli, wam przypadł honor pierwszej walki przy waszych murach i domach. Tak, jakby na zakończenie marszu pogrzebowego, który grano nad Polską, u was zabrzmiał ostatni akord — nie pogrzebu, lecz triumfu“.

W Warszawie i w ślad za nią na terenie całego Generalnego Gubernatorstwa okupowanego przez wojska niemieckie, żołnierze polscy z wszystkich formacji, z P.O.W. na czele, akademicy i młodzież szkolna przystąpili do rozbrajania okupanta. Tu walka była krótka i sytuacja została szybko opanowana.

Rada Regencyjna — w składzie arcybiskupa Aleksandra Kakowskiego, Zdzisława Lubomirskiego i Józefa Ostrowskiego zrzekła się swej władzy suwerennej i zwróciła się w dniu 11 listopada 1918 r. do Józefa Piłsudskiego, który uwolniony z twierdzy niemieckiej w Magdeburgu przybył w dniu poprzednim do stolicy, o podjęcie się utworzenia Rządu Narodowego. Dekretem z tego samego dnia przekaza-

ła mu władzę wojskową i naczelne dowództwo wojsk polskich.

Państwo polskie rozpoczęło — po 150 latach niewoli swój niepodległy byt.

Notyfikując w depeszy iskrowej — która jest pierwszym aktem w stosunkach zagranicznych niezależnego państwa — rządowi państw Wielkiej koalicji, rządowi niemieckiemu oraz rządowi państw wojujących i niezależnych, wódz naczelny podkreślił:

„Państwo Polskie powstaje z woli całego narodu i opiera się na podstawach demokratycznych. Rząd polski zastąpi panowanie przemocy, która przez 140 lat ciążyła nad losami Polski przez ustrój zbudowany na porządku i sprawiedliwości. Opierając się na armii polskiej pod moją komendą, mam nadzieję, że odtąd żadna armia obca nie wkroczy do Polski, nikt nie wyrazimy w tej sprawie formalnej woli naszej.“

Już w dniu 28 listopada zostały zarządzane wybory do Sejmu, które odbyły się 26 stycznia 1919. 10 lutego nastąpiło uroczyste otwarcie Sejmu Ustawodawczego.

Państwo Polskie rozpoczęło swój niezależny byt, rozpoczęło budowę zrębów własnej państwowości w najtrudniejszych warunkach, w zniszczonym i wyczerpanym wojną kraju, zmuszone równocześnie do walki orężnej w obronie swych granic i odrodzonego bytu.

11 Listopad roku 1918 jest momentem zwrotnym w naszych dziejach. Dzień ten uznany został jako święto państwowe.

Stefan Benedykt



**POMOCNICZA** Służba Kobiet w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie obchodzi w bieżącym roku swoje 25-cio lecie.

Po raz pierwszy w naszej historii w zorganizowanych, odrębnych, regularnych oddziałach wojska, lotnictwa i marynarki wojennej wzięły kobiety bardzo liczny udział dopiero w ubiegłej II Wojnie Światowej. W Armii Krajowej Kobiety pracowały i walczyły ramię przy ramieniu z mężczyznami od początku jej istnienia.

Pierwsze oddziały PSK powstały w roku 1941 w ZSSR, kiedy gen. Anders tworząc tam Armię Polską, powołał i kobiety do jej szeregów.

Ustawa o powszechnym obowiązku wojskowym z 1938 roku mówiła o Pomocniczej Służbie Kobiet, ale brakowało rozporządzeń wykonawczych. To też dopiero Dziennik Rozkazów Ministerstwa Obrony Narodowej przy Rządzie polskim w Londynie nadał PSK ramy organizacyjne, ale ukazał się dopiero w roku 1942, dlatego formalna rocznica przypada na rok bieżący.

Powołane do służby wojskowej w ZSSR kobiety pełniły ją od samego początku w warunkach niezwykle ciężkich, bez uposażenia, bez mundurów i stopni; brakowało wszystkiego i jedynie ofiarną, bezinteresowną pracą można było zastąpić materialne braki. Organizowanie PSK poza granicami Kraju nie było łatwe. Przekrój kobiet, które zgłaszały się do wojska był niezwykle różny, rozpiętość wieku ogromna, stan zdrowotny bardzo zły. Wszystkie kobiety miały za sobą ciężkie przeżycia wojenne — aresztowania, więzienia, łagry, głód, choroby i brak rodzin, o których się albo nie nie wiedziało albo najgorsze.

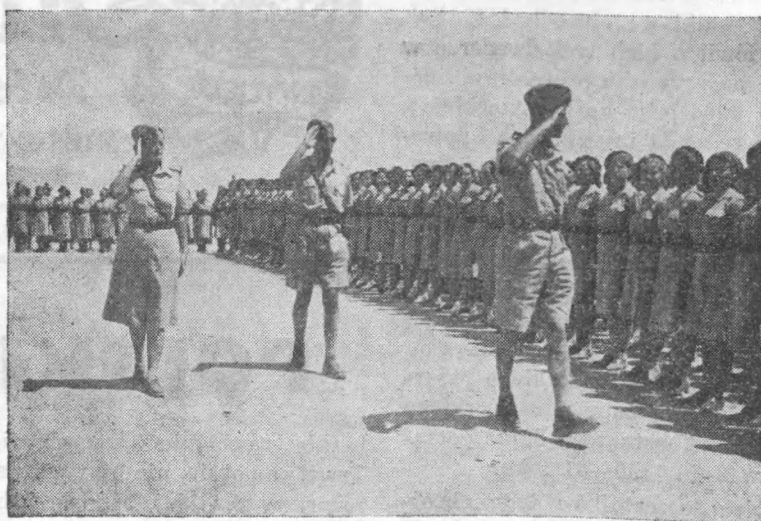
Kobiety, które się zgłaszały na apel rządu polskiego w Londynie, pochodziły także z różnych środowisk. Przybywały kobiety i dziewczęta z Ameryki, Kanady, Argentyny, Algieru a nawet z Chin, a w późniejszym okresie wojny również z terenu Francji, Belgii, Luksemburga i z Niemiec, z uwolnionych obozów jenieckich A. K., z obozów koncentracyjnych i przymusowej pracy.

Nie było wyszkolonych kadr, nie było też nieraz czasu na szkolenie przed rozpoczęciem pracy.

Podstawowe wyszkolenie wojskowe przechodziły wszystkie ochotniczki. Szkolenie specjalne oraz podoficerskie

MARIA LEŚNIAKOWA

## 25 ROCZNICA POMOCNICZEJ



Gen. Anders w Ośrodku Zapasowym

i oficerskie było prowadzone w miarę jak na to pozwalała bieżąca praca.

Trzon PSK stanowiły kobiety, deportowane do Rosji, ewakuowane stamtąd na Bliski Wschód i wcielone do Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet (PWSK). Z wydzielonych z PWSK powstały następnie w W. Brytanii Pomocnicza Morska Służba i Pomocnicza Lotnicza Służba Kobiet.

Kobiety pełniły służbę w następujących działach:

- Sanitarny — siostry i personel sanitarny,
- Administracja — biura, magazyny, kuchnie,
- Łączność — szyfrantki, radiotelegrafistki, obsługa central telefonicznych,
- Transport — oddziały transportowe, kierowniczynie samochodów,
- Oświata — szkoły, świetlice, teatr.

Brakowało wykwalifikowanych sióstr, ale wszystkie szpitale wojenne miały cały personel polski i żołnierz polski ranny i chory miał w wojsku opiekę Polek.

W dziale administracyjnym kobiety-żołnierze zwolnili mężczyzn, którzy przeszli do oddziałów liniowych. Mało kto wie, że pluton łączności PSK w W. Brytanii pracował w Ośrodku Radiowym na Kraj w najbardziej tragicznym okresie powstania warszawskiego. Dwie kompanie transportowe przy II Korpusie przewoziły w czasie kampanii włoskiej żywność, amunicję, paliwo i sprzęt na front jak również żołnierzy przy zmianach miejsc postoju. Świetliczarki obsługiwały świetlice i kantyny stałe i ruchome, zaopatrzone w biblioteki i inne artykuły pierwszej potrzeby. Obsługiwały oddziały wysunięte, a nie rzadko dojeżdżały do oddziałów wal-



Siostry W.K.S. Służby Zdrowia



# S Ł U Ż B Y K O B I E T



Naczelný Wódz Gen. Władysław Sikorski wśród ochotniczek  
na Środkowym Wschodzie

czących. Teatr towarzyszył żołnierzowi wszędzie od obozów internowanych w Rumunii poprzez Francję, ZSSR, Bliski Wschód, Włochy, Niemcy, Szkocję i Anglię aż do końca wojny.

Specjalny rozdział należy się szkoleń junackim, w których kadra nauczycielska i personel administracyjny składały się przeważnie z PSK. Dzięki ich ofiarnej i pełnej poświęcenia pracy, nasze dzieci mogły się uczyć normalnie mając możliwie najlepszą opiekę. Wystarczy powiedzieć, że SMO ukończyło: licea 466 ochotniczek, małą maturę 645 ochotniczek, a szkołę powszechną 235.

Pomocnicza Morska Służba Kobiet (PMSK) aczkolwiek mała liczebnie

miała cały szereg specjalności, które wymagały nieraz bardzo długiego szkolenia. Dlatego też część naszych oficerów i podoficerów i marynarzy szkoliła się na kursach angielskich W.R.N.S. Wszyscy oficerowie PMSK ukończyły jednak Szkołę Podchorążych PMSK.

Pomocniczą Lotniczą Służbę Kobiet zapoczątkowało 36 ochotniczek z terenu W. Brytanii, które zgłosiły się na apel Ministerstwa Obrony Narodowej do służby w PWSK. Po przejściu specjalnego kursu instruktorek zostały przydzielone do brytyjskiego WAAF, gdzie po ukończeniu odpowiednich kursów stanowiły pierwszą kadrę oficerską i podoficerską.



Kompania transportowa

Pomocnicza Lotnicza Służba Kobiet (PLSK) była całkowicie wzorowana na angielskiej służbie WAAF. Miała ona wiele skomplikowanych specjalności i przeszkolenie w nich było nieraz trudne i długotrwałe. Dla samych tylko oficerów PLSK było aż 8 odmiennych specjalności.

Jakkolwiek PMSK i PLSK były prowadzone w stanach liczebnych PWSK jako odkomenderowane do tych służb w praktyce nie były zależne od Komendy Głównej PWSK. Jedynie przy zwalnianiu ze służby ochotniczki Morskiej i Lotniczej Służby Kobiet powracały do PWSK, która przeprowadzała wymagane formalności. W okresie końcowym wojny PSK liczyła ogółem niespełna 7000 kobiet, z tego PWSK 4750, PMSK 110, PLSK 1080 i Wojskowy Korpus Sióstr Służby Zdrowia 750.

Komenda Główna Służby Kobiet powstała w 1942 roku i była podporządkowana Ministerstwu Obrony Narodowej. Naczelnym zadaniem Komendy Głównej było opracowanie i uzgodnienie z władzami wojskowymi projektów dekretów, szeregu rozporządzeń i rozkazów wykonawczych dotyczących służby kobiet w Polskich Siłach Zbrojnych.

Nie było to zadanie łatwe; myśmy nie miały odpowiedniego przygotowania a mężczyźni bronili nam wejścia do tego najbardziej ekskluzywnego klubu, jakim jest wojsko. Wydaje się, że w rezultacie wszystkie najważniejsze działy zostały opracowane. Ukazały się dekryty Prezydenta R. P. o oficerach PSK, o podoficerach PSK oraz uprawnieniach dyscyplinarnych dla oficerów PSK i wydane zostały niezbędne rozporządzenia i rozkazy wykonawcze Ministra Obrony Narodowej.

Służba w wojsku nie jest łatwa, a cóż dopiero dla kobiet, które ją pełniły po za Krajem, oderwane od rodzin i po ciężkich osobistych przejściach wojennych. Trudno jest nam dziś ocenić jaki jest nasz wkład do historii kobiet polskich — wierzymy jednak, że nie bez znaczenia, cechowała bowiem wszystkie ochotniczki chęć służenia Ojczyźnie. Wykonywały swoją pracę wszędzie i na każdym szczeblu bardzo ofiarnie, chciały razem z żołnierzem walczyć o Polskę Wolną i Niepodległą i cel ten osiągnęły.

# Tadeusz Kościuszko

(W 150-letnią

Amerykańskie laury — zwycięstwo pod Dubienką — przysięga na Rynku Krakowskim — radość Raclawic — żałoba Maciejowic. — Oto jakimi etapami idzie myśl nasza, wspominając Tadeusza Kościuszkę. A jednak ten bohater dwóch kontynentów, ten człowiek wojny i chwały, który władzą Naczelnika wznosił się na najwyższe szczyty dostojenstwa — miał też swoje przyziemne troski i kłopoty, gorycz zawodów miłosnych i nieziszczone marzenia o rodzinnym szczęściu, tak samo, jak każdy przeciętny „zjadacz chleba“. I może właśnie te przeżycia codzienności czynią go nam bardziej bliskim i droгим, niż gdyby był tylko symbolem wielkości, zakutym w marmur posągu.

Urodzony w 1746 roku, w podlaskim zaścianku Mereczowszczyzna, po ukończeniu nauk u oo. Jezuitów został przyjęty w 1765 roku do Szkoły Rycerskiej w Warszawie. „Kadeci Króla Jegomości“, towarzyszy i dobrze ułożeni, byli chętnie widziani w salonach stolicy. Kościuszko, który nie odznaczał się wielką urodą, tańczył jednak doskonale i czarował dowcipem oraz inteligencją, zdobył największe powodzenie wśród tamtejszych pań. Zaproszony przez p. Szmida, przełożoną jednej z najbardziej snobistycznych pensji dla dorastających panienek, na urządzaną każdego karnawału wieczorynkę, spotkał tam tę, która miała przejść do historii, jako „pierwsza miłość Tadeusza Kościuszki“.

Ludwika Sosnowska, córka wojewody litewskiego, miała wówczas zaledwie lat czternaście. Wzniciwszy iskierkę uczucia w sercu młodego kadeta, wróciła do pałacu sosnowieckiego, on zaś wyjechał jako stypendysta królewski do Paryża, gdzie studiował inżynierię wojskową i — malarstwo.

Wracającego w 1774 roku do Kraju, niewesołe czekały nowiny. Rzplita, uszczuplona pierwszym rozbiorem, w swojej zaledwie 11 tysięcy liczącej armii, nie miała miejsca dla młodego oficera. Wyzuty z ojcowizny, którą nieprawnie zagarnął po śmierci rodziców starszy jego brat, hulaka i utracjusz, Tadeusz Kościuszko musiał tułać się po dworach i dworkach swoich krewnych. W tej bezcelowej wędrówce, zajechał pewnego wiosennego dnia do pana na

Sosnowicy, który był spowinowacony z jego matką. Ponowne spotkanie z uroczą wojewodzianką, rozpałiło tlejącą iskierkę dawnego uczucia w płomień miłości. I odtąd już wszystko potoczyło się według wzorów owej romantycznej epoki. Była i cienista altana, w której młodzi spotykali się w tajemnicy przed rodzicami panny, była i ciotka-przyzwoitka, która osłaniała te spotkania...

W tę wiosenną idyllę uderzył nagle grom ojcowskiego gniewu. „Nie dla wróbli synogarlice“ — krzyknął wojewoda w odpowiedzi na oświadczenie przyszłego bohatera — „Za wysokie moje progi na twoje chudopacholskie nogi“. Odpalony konkurent musiał natychmiast opuścić „wysokie progi“, a panna została wkrótce żoną Józefa Lubomirskiego.

Rozgoryczony tą brutalną odmową, postanowił Kościuszko udać się na drugą półkulę, gdzie właśnie toczyły się walki o niepodległość młodej republiki amerykańskiej. Być może, że pchnęło go tam pragnienie zdobycia sławy, którą mógłby przyćmić blask magnackich tytułów. W każdym razie w ogniu osobistych cierpień skryształizowała się już dusza najszlachetniejszego z Polaków.

W sierpniu 1776 r. znalazł się Kościuszko w szeregach armii amerykańskiej, gdzie przez osiem lat służył pod rozkazami Waschingtona i Jeffersona. Odnaczywszy się przy oblężeniu Saratogi i fortyfikacji twierdzy West Point, zostaje mianowany generałem brygady i w 1784 roku wraca do kraju okryty chwałą.

Nie mogąc zdobytych doświadczeniem wojskowym służyć własnej ojczyźnie, osiadł na małym, od brata wyprocesowanym kawałku ziemi w Siechanowiczach. Widok szczęścia domowego sąsiadów, wzmagal jeszcze tęsknotę za ciepłem własnej rodziny.

Aż przyszedł rok 1788 i naród polski, olśniony błyskiem zrozumienia, zatrzymał się przez chwilę na krawędzi upadku. Uchwała Sejmu

Czteroletniego, powiększająca liczebność armii do stu tysięcy, umożliwiła Kościuszcze powrót do szeregów wojsk koronnych w stopniu generał-majora. W małym miasteczku podolskim, Międzyrzecze, gdzie był stacjonowany, zadźwięczała raz jeszcze struna miłości w jego sercu, aby urwać się ze zgrzytem — na zawsze.

Naprzeciw kwatery Kościuszki mieszkał czasowo chorąży Żurowski wraz z żoną i córką. Z tego sąsiedztwa wykwitł sentyment pomiędzy 18-letnią Teklunią a znacznie od niej starszym generał-majorem. Chociaż matka panny sprzyjała temu związkowi, ambitny chorąży pragnął bardziej znacznego męża dla swej jedynaczki. I tak po raz drugi wola niedosłego teścia rozbiła małżeńskie nadzieje Kościuszki. Najbliższe lata miały mu upleść wieniec z chwały i bólu, ale osobistego szczęścia nie zaznał nigdy.

Głos trąbki bojowej zagłuszył wkrótce sercowe tęsknoty. Trzeba było śpieszyć na ratunek zagrożonej ojczyźnie. Wprowadzone przez zdrajców własnego kraju, wojska rosyjskie przekroczyły granice Rzeczypospolitej.

Przystąpienie króla do Targowicy przerwało bohaterskie wysiłki Kościuszki. Nie chcąc służyć pod wrogą przemocą, zwycięzca spod Dubienki udał się na tułaczkę wraz z innymi patriotami.

Latem 1793 r. doszły go w Dreźnie wieści o wzmagającym się w Polsce ruchu powstańcym. Wezwany w 1794 r. do Krakowa, skąd wycofały się już wojska rosyjskie, został Kościuszko mianowany Naczelnikiem Narodowych Sił Zbrojnych i 24 marca złożył na Rynku uroczystą przysięgę na Akt Powstańczy.

Rozpoczęła się wspaniała, choć krótka, jak błyskawica epopeja. 4-go kwietnia, wspomagany przez uzbrojonych w kosy, okolicznych chłopów, zwycięża Naczelnik pod Raclawicami czterykroć silniejszą armię rosyjską. I tu pojawia się po



# Polak Doskonały

rocznicę zgonu)

raz pierwszy owa sławna biała sukmana, w której tak często widzimy Kościuszkę na obrazach.

Kiedy Bartosz Głowacki, na czele swoich kosynierów, zdobył dymiącą jeszcze armatę nieprzyjacielską, Naczelnik, na znak najwyższego uznania, włożył na siebie ten chłopski strój, jako symbol zbratania wszystkich warstw narodu.

Zwycięski pochód insurekcji oświetla jeszcze rakieta Uniwersału Połanieckiego, mocą którego, uwolniony z poddaństwa chłop polski stawał się pełnoprawnym obywatelem Rzplitej. Niestety, akt ten, nie poparty przez ogół społeczeństwa, pozostał tylko pięknym gestem, świadczącym o szlachetności Naczelnika.

Stając na czele powstania, Kościuszkę brał pod uwagę tylko jednego przeciwnika, tj. Rosję. Kiedy jednak tegoż roku przyłączyły się do niej zdradzieckie Prusy, nie było już możliwości zwycięstwa. Po krwawej bitwie, stoczony 10 października pod Maciejowicami, całe pole było zasłane trupami polskich żołnierzy, a wśród nich najgęściej różowiły się rabaty batalionu Działyńskich, który poległ w całości. Ciężko ranny Kościuszkę wraz z generałami został wzięty do niewoli i wywieziony do Petersburga.

Po dwuletnim więzieniu w twierdzy Pietropawłowskiej, został zwolniony przez cara Pawła I, który w jednym ze swoich nieobliczalnych napadów teatralnej wielkoduszności, pozwolił mu wyjechać w dowolnym kierunku.

Po krótkim pobycie w Anglii, gdzie podleczył nieco swoje wciąż jeszcze niezagojone rany, Kościuszkę udał się w towarzystwie Niemcewicza na drugą półkulę. Kiedy 18 sierpnia 1797 r. okręt „Adriana“ zawitał do amerykańskiego portu, entuzjastyczne tłumy otoczyły nosze, na których polski bohater leżał chory, unieruchomiony bezwładem lewej nogi. 13 lat rozłąki nie wykreśliły uczucia wdzięczności dla

generała, który walczył o wolność Stanów Zjednoczonych.

Nadzieje związane z obietnicami Napoleona wyrwały Kościuszkę z amerykańskiego dobrobytu. W lipcu 1798 r. przyjechał do Paryża, aby ciężar swej sławy rzucić na szalę układów o przyszłość Polski. Nie uzyskawszy od „boga wojny“ trwałej gwarancji przyszłej niepodległości, zniechęcony i zgorzkniały Kościuszkę usunął się w zacisze paryskiego przedmieścia, skąd w bezsilnym bólu nadслуchiwał wieści o legionach Dąbrowskiego, które w dalekich krajach przelewały krew dla obcej sprawy.

Szybko toczące się wypadki dziejowe potwierdziły przewidywania wielkiego bohatera. Tron Napoleona runął, grzebiąc pod swymi gruzami nadzieje, polskiego narodu.

Publiczna działalność Kościuszki była skończona. Nie chcąc brać udziału w politycznych rozgrywkach, wyjechał w 1815 r. do Szwajcarii i zamieszkał w Solurze, gdzie w domu Józefa Zeltera znalazł wreszcie ów „kąt cichy i spokojny“, o którym zawsze marzył. O dobroczynności jego lat ostatnich dochowały się do czasów współczesnych niezliczone legendy.. Któż z nas nie czytał ongiś w wypisach szkolnych o tym koniu Kościuszki, który podobno zatrzymywał się samowolnie przed domkami biedaków, stałe przez Naczelnika wspieranych.

Jakże niezwykle musiał być urok tego staruszka o niepozornym wyglądzie, skoro młode mieszkanki Solury, dowiedziawszy się o jego zamiłowaniu do kwiatów, ogałacały swoje ogrody, żeby mu przynieść tę ostatnią radość samotnego życia.

Testament, spisany w maju 1817 roku — pół roku przed śmiercią — był końcowym czynem obywatelskim Tadeusza Kościuszki. Dokument ten zwalniający z poddaństwa wszystkich włościan gospodarujących na obszarze jego rodzinnej wsi Siechanowice — którą równocześnie zapisał swojej siostrzenicy

— jest jakby złotą klamrą, zamykającą piękny żywot Naczelnika.

Chociaż Ameryka i Szwajcaria uczciły pomnikami pamięć bohatera, chociaż w Polsce spoczął na Wawelu „królom równy“, to jednak najwspanialszy pomnik wzniosły mu ręce ludu krakowskiego, — „Kopiec Kościuszki“, usypany na podłożu ziemi, przywiezionej spod Raławic i Maciejowic, jest chyba najbardziej wzruszającym pomnikiem-mogiłą, jaki kiedykolwiek unieśmiertelnił pamięć narodowego bohatera.

Hilda Jankowska

## Józef Garliński

„DRAMAT I OPATRZNOŚĆ“ 18/6  
 „MATKI I ŻONY“ 18/6  
 „MIĘDZY LONDYNEM  
 I WARSZAWĄ“ 18/6

Trzy książki, które w beletrystycznej formie wprowadzają czytelnika w atmosferę walki, zaskakujących osiągnięć i wielkiego zasięgu Armii Krajowej.

„ZIEMIA“ — opowieść 12/6

Skład główny:

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.  
 20, Queens Gate Terrace,  
 London, S.W.7.

i wszystkie kioski i księgarnie polskie

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

### „Zeszyty Historyczne“

### ZESZYT DWUNASTY

Lipiec 1967

zawiera m.in. prace:

P. Wandyczka: Z zagadnień współpracy polsko-ukraińskiej w latach 1919—1920.

T. Nowackiego: Ludowe Wojsko Polskie (dok.).

Z. S. Siemiaszki: Rettinger w Polsce w 1944 r.

M. Mlotka: Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich (dok.).

J. Jaklicza: 17 września 1939 r. w Sztynie Naczelnego Wodza.

Str. 240. Cena: dol. 3,00, 22sh.

Serdecznie dziękujemy czytelnikom i przyjaciołom „Orła“, którzy nadsyłają nam interesujące wycinki z innych pism.

REDAKCJA



# POGŁOSY I POGŁOSKI

PO namyśle wykreślam w myśli słowo „pogłoski“, które za blisko sąsiaduje ze słowem „plotki“. Natomiast w pogłosy wizyty generała de Gaulle w Polsce warto się **wysłuchać** i niejedno można wśród gasnącej fali słów **usłyszeć**. Odwracając porządek rzeczy, zacznijmy od konkluzji: bilans moralny i polityczny wizyty. Powiedzmy wręcz, że wydaje mi się on wyraźnie dodatni.

Po pierwsze: przypomnienie, umożliwienie stanowiska sprzyjającego sprawie utrwalenia granic zachodnich Polski na Odrze i Nyssie. Po drugie — rzecz mniej uchwytna, ale niewątpliwie pożyteczna — to pewnego rodzaju wzmocnienie pozycji samoistności Polski jako odrębnego i poważnego członka rodziny narodów europejskich. Umyślnie nie chcę „cytować“, ale pozwolę sobie przypomnieć, iż w jednym z dyskretnych powiedzeń gen. de Gaulle'a, zredagowanych z właściwą mu finezją, zabrzmiało coś jak zachęta do zachowania miary w uległości wobec narzuconego, a mocniejszego „sprzymierzeńca“.

Ostatnie „wielkie posunięcie“ dyplomacji warszawskiej w sprawie zerwania stosunków dyplomatycznych z Izraelem wskazuje, niestety, jak dalece ta miara nie została utrzymana. Bo i czymże usprawiedliwić ten gest niesamowity? Interesem? Miłością niespodzianą dla ojczyzny Farysa? Czy po prostu chęcią usłużenia wielkiemu sąsiadowi, który zorganizował niebawym spisek przeciwko wolnemu i walecznemu narodowi, aby w ten sposób na dalszą metę rozszerzyć władztwo swoje na wielkie przestrzenie ziem arabskich. Ta bezinteresowna, a poniżająca usłużność wobec imperia- lizmu żarłocznego sąsiada podsunęła już komuś niedyskretne przypuszczenie o przynależności dyplomacji warszawskiej do T.U.P. (niektórzy czytają: Towarzystwo Upadłości Państwowej, inni mówią po prostu: „tup nogą, gdy ci każą!“). Ale stosownie do obietnicy puśmy plotkę mimo uszu i wróćmy do naszego bilansu.

Otóż, niezależnie od takich czy innych sugestii dostojnego gościa wizyta jego przez samo swoje istnienie, bogactwo epizodów, gorącą atmosferę przyjęcia i przede wszystkim tłumne i życzliwe komentarze prasy we Francji, stała się okazją do położenia akcentu na samoistności i odrębności Polski w tym chórze wolnych czy wzdychających do wolności narodów.

Jeżeli chodzi o prasę francuską, to poświęciła ona wizycie generała de Gaulle'a, a przy tej sposobności Polsce i jej historii, jej jawnym i ukrytym wartościom, bodaj więcej miejsca niż kiedykolwiek... Mógłby kto myśleć, że jest to tryumf propagandy urzędowej. Nic podobnego. Liczne uwagi aktualne o położeniu kościoła, a w szczególności szereg przypomnień i interesujących zestawień pomiędzy losem marszałka Józefa Piłsudskiego, a obecnego prezydenta Francji, świadczyły moim zdaniem o pewnej samorzutności i samodzielności wypowiedzi prasowych francuskich. To prawda — jeśli chodzi o historię — to, Boże się zmiłuj, pomyłek, przeinaczeń i „życzliwych ubarwień“ prawdy historycznej, niestety, nie brakło. Nie obyło się na przykład bez powtarzania wygodnego komunału o wyzwoleniu Warszawy przez wojska sowieckie!... Może dlatego, że łatwiej jest rzucić na papier banalny frazes o tym co **powinno było się stać**, niż wystylizować zawiłą, a okrutną prawdę o tym, jak dyplomacja Stalina nie dopuszczała pomocy aliantów dla walczącej Warszawy, a wojska sowieckie czekały z bronią u nogi, aż będą mogły wyzwolić nie stolicę sprzymierzonej Polski, lecz gruzy Warszawy...

Ale mimo te lapsusy, te poślizgnięcia się, brzmiała w całości tych wypowiedzi nuta szczerości i jak gdyby chęci wywnętrzania się z zadawionych sympatii, a może nawet jak gdyby zapomnianych na dnie życia „wyrzutów sumienia“.

Za królów dyplomacja francuska traktowała Polskę jako naturalnego sprzymierzeńca. Za czasów rewolu-

cji, niestety, Comité du Salut Public uważał Polskę (co prawda, Polskę osłabioną) jedynie za pożądaną „dywersję“. Napoleon szedł z początku po tej samej linii, ale powoli wrócił do starej, dobrej tradycji królewskiej, uwzględniając w wachlarzu swoich wielkich, może za wielkich poczynań Polskę jako całkowicie wolną i niepodległą, sprzymierzoną z Francją. Zachowanie się Francji w roku 1830, które z taką zawziętością piętnował Balzac w swoich artykułach, było podobne do podyktowanego przez pseudo-rację stanu opuszczenia rąk. Przyszła potem polityka II-go cesarstwa sympatyzująca, niewątpliwie, ale miękka i chwiejna. Natomiast pierwsza wojna światowa przyniosła jakby nagromadzone przez długie dziesiątki lat wielkie wezbranie przyjaźni dla Polski, którego może najdobitniejszym wyrazem — miałem szczęście osobiście stwierdzić — było stanowisko Jerzego Clemenceau.

Kiedy komuniści francuscy na rozkaz Moskwy — w latach 1939-41 (do 22 czerwca) szli ławą przeciw Francji, ludność polska czy polskiego pochodzenia stanęła tłumnie do apelu, by walczyć przeciw najeźdźcy w szeregach Ruchu Oporu w różnych formacjach, a przede wszystkim w P.O.W.N. Monica. Tak to gen. de Gaulle znalazł na miejscu we Francji licznych żołnierzy-sprzymierzeńców. Jego rola decydująca od 18-go czerwca 1940 roku po przełomowym apelu rosła z falą wyzwala- nia ziemi francuskiej spod władzy okupanta.

Racjonalistyczna, z domieszką pewnego rodzaju mistycyzmu — mistycznej wiary w posłannictwo Francji, postawa wewnętrzna generała de Gaulle'a znalazła w tej walce pełnię wyrazu. Doświadczenie wyrosłe z podwójnej klęski, polskiej i francuskiej, zarysowało się wówczas jako jeden wielki żywy dramat europejski, w którym Polska i Francja odegrały w pewnej chwili role sprzężone tragicznie. Nic tak w moim umyśle nie unaocznia tej solidarności w klęsce, jak pozornie drobne i

STANY ZJEDNOCZONE A. P. Preliminarz budżetowy resortu obrony na rok 1967/68 został formalnie powiększony do 70,2 miliardów dolarów, de facto jednak odpowiada on zeszłorocznym wydatkom tego resortu, przekraczającym — w związku z nasileniem walk w Wietnamie — pierwotny preliminarz o 20 miliardów. Czy — mimo rekordowej wysokości tegorocznego preliminarza — nie zajdzie ponownie po-

przypadkowe zupełnie wydarzenie, które „przeżyłem“ po klęsce francuskiej. Los kazał mi przeżyć obie klęski — wrześniową, polską, w oblężonej Warszawie, a po wyjściu na wewzwanie, 17 lutego 1940 roku, francuską — czerwcową — we Francji.

Otóż natychmiast po tej klęsce francuskiej spotkałem — nie pamiętam gdzie i jak, w jakich warunkach — p. L., wysokiego urzędnika francuskiego Ministerstwa Oświaty, z którym przez parę lat utrzymywałem stosunki wielce przyjazne, niemal przyjacielskie.

Otóż spotkawszy mnie, p. L. rzucił mi się na szyję i głosem rozdierającym zawołał: „Zdradzono was! Zdradzono i nas!“ (On vous a trahis! On nous a trahis!) Idąc za popędem wrodzonej skłonności do bystrych i ścisłych sformułowań, p. L. zaczął wyliczać: „67 dywizji w Polsce, u nas zaledwie 20 i to najlichszych...“. Liczby te utkwily mi w pamięci i podobno istotnie odpowiadają prawdzie. A potem nastąpiło porównanie sił użytych w Polsce i zostawionych na froncie francuskim, liczba czołgów, samolotów (te liczby wypadły mi z pamięci).

Muszę wyznać, że te nagłe, a proste słowa wywarły na mnie wrażenie wstrząsające. Do dziś zastanawiam się jeszcze, co znaczyła ta forma bezosobowa (francuskie „on“): zdradzono was, zdradzono nas... Ale pytanie to zawisło tragicznie na wietrze wydarzeń...

Gen. de Gaulle dał w pewnym sensie na jedno przynajmniej z tych pytań odpowiedź w wielkim stylu: wyzwoił swoją ojczyznę, przywrócił Francji należne jej stanowisko w Europie. Nie uczestniczył — zbiegiem okoliczności — w tragicznej maskaradzie Jałty... Idzie odtąd przed nim cień wyniosły zwycięskiego czynu: toruje drogę do serc.

Z. L. Zaleski

trzeba jego powiększenia, zależeć będzie nie tylko od dalszego przebiegu zmagania w Wietnamie, ale także od tego, w jakim tempie rozpocznie się montowanie przeciwrakietowej osłony systemu „ABM“ — „Nike“.

System ten, mający się składać z dalekonośnych rakiet „Spartan“, krótkodystansowych rakiet „Smart“, nowych radarów „PAR“ (Perimeter Acquisition Radar) i „MAR“ (Multifunction Array Radar) oraz fantastycznie szybko pracujących przeliczników-komputerów, był od kilku lat przedmiotem sporów między sekretarzem obrony McNamara a jego wojskowymi doradcami i izbami ustawodawczymi. Ulegając nie tyle presji publicznej, ile bezspornym postępom Sowieć w dziedzinie rakietowej i potencjalnemu zagrożeniu ze strony Chin, administracja zgodziła się ostatecznie na tworzenie cienkiej tarczy ochronnej tego typu, która pochłonie co najmniej 5 miliardów dolarów. Oficjalnie nadaje się tej tarczy antychiński charakter, choć do faktycznego zagrożenia ze strony Chin jeszcze dość daleko, bo Waszyngton wciąż jeszcze się ludzi, że uda się w drodze umowy uniknąć wyścigu z Sowiećami w tej dziedzinie, który kosztowałby obie potencje po 50 do 100 miliardów dolarów, a nie dałby im pełnego bezpieczeństwa. Zwłaszcza, że objąłby nie tylko nowe środki obronne, ale także nowe sposoby przenikania obrony.

Gdy ten wyścig na dobre się rozpoczął, a wojna w Wietnamie nadal się ślimaczyła i pochłaniała, jak obecnie do 25 miliardów dolarów rocznie, wykonanie wielu planów zmodernizowania niekonwencjonalnych i konwencjonalnych środków walki musiałoby być bądź opóźnione, bądź zredukowane. Zwłaszcza planów tak kosztownych, jak: 1) uzbrojenie 31 okrętów podwodnych w rakiety „Polaris“ w daleko lepsze rakiety „Poseidon“, mające po 10 głowic atomowych, oraz 2) zastąpienie 600 spośród 1.000 rakiet międzykontynentalnych „Minuteman“ nową ich wersją o trzech głowicach. Prawdopodobnie zmniejszono by również tempo seryjnej produkcji nowych typów samolotów (jak „F-111“), nowych rakiet lotniczych „Phoenix“, nowych bomb (jak „Snakeye“), nowego sprzętu pancernego, amfibijnego, elektronicznego, trakcyjnego, przeciwlotniczego, wreszcie nowych okrętów, a zwłaszcza superlotniskowców, z których najnowszy „John Kennedy“, został przed kilku miesiącami zwodowany.

Tym tłumaczy się uporczywe próby McNamary nakłonienia Sowiećów do zrezygnowania z wyścigu w dziedzinie broni przeciwrakietowej. Wolałby on z dwojga złego nie tyle powiększać, ile

udoskonalać arsenał ofensywnych broni niekonwencjonalnych, składający się obecnie z ca. 1.054 rakiet międzykontynentalnych, 656 rakiet „Polaris“ na okrętach podwodnych oraz z ca. 620 strategicznych bombowców. Mimo wielkich postępów Sowiećów na tym polu przewaga amerykańskiego „odstraszaaka“ jest wciąż jeszcze ogromna, choć w ostatnim roku zmalała.

SOWIETY. Atomowo-Wodorowy arsenał sowiecki o zasięgu międzykontynentalnym składa się (podług oceny brytyjskiego „Institute for strategic studies“) obecnie bądź jak bądź z ok. 470 rakiet międzykontynentalnych, ok. 160 rakiet na okrętach podwodnych i ca. 150 bombowców o zasięgu międzykontynentalnym, nie mówiąc o ca. 750 rakietach średniodystansowych, groźnych zwłaszcza dla Europy zachodniej, których Ameryka już nie posiada, bo z rakiet „Thor“ i „Jupiter“ zrezygnowała.

Tegoroczny, oficjalny budżet sowieckich sił zbrojnych został zwiększony do 16,7 miliardów rubli, czyli o przeszło dwa miliardy rubli. Przeliczać tych sum na równowartość dolarów czy funtów nie warto. Nie tylko dlatego, że wobec daleko tańszej robocizny i niższego żołdu, takie przeliczanie daje mylny obraz, ale także dlatego, że ogromne wydatki na badania i doświadczenia typu militarne, zresztą też zwiększone o 10%, kryją się w resortach cywilnych ministerstw sowieckich. Niestety, prasa zachodnia przeważnie tych faktów nie uwzględnia i kontentuje się stwierdzeniem, że nowy preliminarz obrony ZSRR stanowi równowartość 6,6 miliardów funtów angielskich, czyli jest tylko trzy razy większy niż brytyjski, gdy w rzeczywistości daje niemal takie możliwości jak budżet amerykański.

W drugiej połowie września odbyły się wielkie manewry wyłącznie sowieckich sił zbrojnych na Ukrainie i Białorusi pod nazwą „Dniepr“, którym przyglądali się ministrowie obrony wszystkich państw należących do „układu warszawskiego“ oraz Jugosławii.

Wbrew często spotykanym wiadomościom o rzekomym zredukowaniu morskich sił sowieckich na morzu Śródziemnym po zawieszeniu broni między Izraelem a Arabami — jej skład został w ostatnich miesiącach zwiększony. Podług admirała Moore, szefa operacyjnego sztabu amerykańskich sił morskich, ta nowa flota sowiecka liczy obecnie 35 do 40 jednostek, w tym 14 niszczycieli i fregat oraz 4 do 6 okrętów podwodnych, gdy w chwili starcia czerwcowego liczyła tylko 25 do 30 jednostek. Fakt ten jest bardzo znamieny. Kage.



# DZIEJE NAJSTARSZEGO PUŁKU ARTYLERII

Na półkach księgarskich pojawiła się niedawno jeszcze jedna książka, obrazująca epopeję jednego z naszych przedwojennych pułków.\*) Pojawienie się takiej książki w Kraju byłoby wydarzeniem sensacyjnym, natomiast pojawienie się jej na obczyźnie wydawać się może rzeczą powszednią, zgoła nieosobliwą i tylko b. żołnierzy tego pułku interesującą. Wszak wydawnictwa tego typu, zwłaszcza pułków kawaleryjskich, należą na naszym rynku do najliczniejszych.

Ale książka, o której mowa, jest mimo to osobliwością i powinna wywołać szersze zainteresowanie. Nie tylko dlatego, że, co jest unikatem, dotyczy pułku artyleryjskiego — i to najstarszego, a na obczyźnie nie odtworzonego, ale także dlatego, że odzwierciedla jego dramatyczne dzieje wszechstronnie, plastycznie i nieraz barwnie.

Mowa o 1 pułku artylerii lekkiej Legionów im. Józefa Piłsudskiego, pułku dumnym i za swoje czyny bojowe najświeżej nagrodzonym (92 Virtuti Militari indywidualne oraz V.M. na trąbki wszystkich baterii), który zaczął powstawać we wrześniu 1914 roku w Przegorzałach pod Krakowem i po niezliczonych, przeważnie zwycięskich walkach i dramatycznych perypetiach, przestał istnieć 23 września 1939 roku pod lubelską Tarnawatką, zmiażdżony przewagą niemiecką.

Tak długi szlak bojowy, znaczony tak chlubnymi nazwami bitew jak Mołotków, Nadwórna, Krzywopłoty, Łowczówek, Konary, Kostiuchnówka, Lwów, Chyrów, Wilno, Dynaburg, Żytomierz, Browary, Borodianka, Białystok, Lida itd., czy tak tragicznymi jak Wyszków, Kałuszyn, Wodnyce, Domanice i Tarnawatka, nie łatwo było nawet w obszernej księdze opisać. Zwłaszcza, że pułk był przeważnie rozparcelowany, że opis działań artylerii możliwy jest tylko na kanwie działań piechoty, wreszcie że życie pułku w okresie międzywojennym i jego mobilizacja w sierpniu 1939 roku zostały wyjątkowo wszechstronnie naświetlone i że autor starał się odtworzyć także nastroje w okresach kryzysów oraz trudności, powodowane częstymi zmianami sprzętu. Gdy do tego dodamy wzbogacenie i ożywienie narracji bardzo licznymi persona-

liami, anegdotami, kalamburami i poetyckimi utworami, musimy przyznać, że zamieszczenie tego wszystkiego w ramach jednej książki było nielada wyczynem, choć obejmuje ona 540 stron tekstu zilustrowanego 86 fotografiami i 43 szkicami.

Pomógł zwieżył na ogół styl autora oraz — brak źródeł relacyjnych i materiałów dokumentarnych w odniesieniu do niektórych okresów, zwłaszcza „Polskiego Korpusu Posiłkowego“ i walk pułku w kampanii wrześniowej, którym wskutek tego poświadczonych jest zaledwie 50 stron. Braku źródeł nie mógł autor zastąpić osobistymi wspomnieniami, bo był w pułku tylko w okresie pokojowym.

Tym bardziej trzeba podziwiać, że potrafił, jak zapewnia w pięknej przedmowie przedwcześnie zmarły generał Schally, tak dobrze wczuć się w atmosferę tego pułku i jego postawę tak trafnie nakreślić. Od pierwszego strzału oddanego 26 października 1914 roku przez 2 baterię pod Hwozdą w Karpatach aż do ostatniego oddanego 23-go września 1939 roku przez 5 baterię pod Tarnawatką. Od kryzysu przysięgowego poprzez rozwiązanie Legionów i wypadki majowe, w których pułk wziął czynny udział po stronie swego Szefa, aż do katastrofy wrześniowej i diaspory żołnierzy pułku po przegranej przez nas wojnie. Żołnierzy wiernych jego dumnej tradycji i dbałych o przekazanie jej młodemu pokoleniu, które kiedyś ją wznowić i wzbogacić powinno. Symbolem tej dbałości o ciągłość tej tradycji było przekazanie w dniu święta pięćdziesięciolecia odrodzenia artylerii polskiej, a więc w 1964 roku, trąbki baterijnej z płomieniem i krzyżem Virtuti Militari generała Schally'ego oddziałowi „Granat“, grupującemu młodych artylerzystów w ramach Brygadowego Koła Młodych „Pogoń“.

Drugim dowodem tej dbałości o zachowanie szczytnej tradycji pułku jest wydanie omawianej książki, umożliwione dzięki niestrudżonym zabiegom gen. Schally'ego i całego komitetu redakcyjnego, wielkiej ofiarności b. żołnierzy pułku i ich rodzin, a przede wszystkim dzięki zaiste benedyktyńskiej i bezinteresownej pracy jej autora, ppłka dypl. Wacława Chocianowicza.

Stworzył dzieło poważne, które, aczkolwiek nie pozbawione drobnych usterek, jest w znacznym stopniu dokumentem historycznym, bardzo pożytecznym, a tym pożyteczniejszym, im szerzej ta pięknie wydana książka się ro-

zejdzie i im liczniej także do Polski trafi. By i tamtejsza młodzież się dowiedziała, jak starsze pokolenia o prawdziwą wolność walczyły i granice dawnej Polski wyrąbały — w długich zmaganiach z obecnym „protektorem“ jej komunistycznego wecielenia.

Kto weźmie tę książkę do ręki, nie prędko ją odłoży, choćby nie był z jej głównym bohaterem, czyli pułkiem, związany. Zwłaszcza, gdy przeskoczy różne szczegóły personalne i sprzętowe, których jest w I. części może aż za dużo i które tylko b. żołnierzy tego pułku interesują. Zarówno sceny batalistyczne, jak fragmenty z życia pokojowego są przedstawione barwnie i plastycznie, a liczne szkice i zdjęcia ułatwiają śledzenie ich opisów.

To nic, że uważny czy dociekliwy czytelnik znajdzie tu i tam pewne nieścisłości lub przesadne przymiotniki czy określenia.

Znając autora omawianej książki od wielu lat, jestem pewny, że tych nieścisłości, szczególnie w opisie i szkicu bitwy warszawskiej oraz w zestawieniu sił obu stron na początku kampanii wrześniowej, byłoby znacznie mniej albo w ogóle by nie było, gdyby nie musiał się śpieszyć, gdyby mógł to i tamto sprawdzić i wygładzić. Niestety był pod przykrą presją obawy, że dni gen. Schally'ego są policzone, i serdecznego pragnienia, by ten długoletni dowódca pułku i inicjator wydania książki ujrzał ją jeszcze przed zgonem. Opatrzność chciała inaczej. Mimo gorączkowego pośpiechu nie zdążył, bo gen. Schally zmarł już 12 stycznia br.

Tak samo zrozumiacie są owe również niezbyt liczne przesadne lub nie mające dostatecznego pokrycia określenia, jak np. „pułk w czasie pokoju wysunął się na czoło wśród innych pułków i utrzymał swe czołowe miejsce do końca“, albo „1 i 3, czyli dwie najlepsze dywizje“, albo „zdobycie Białegostoku przez 1 dywizję przecięło armiom bolszewickim ostatnią możliwość odwrotu“. — Czy 1 p.a.l. dzierżył istotnie palmę pierwszeństwa w czasie pokoju (w bojach z pewnością ją dzierżył), czy też był na jakimś dalszym miejscu, nikt powiedzieć nie może, bo brak było i jest jakichkolwiek miarodajnych sprawdzianów porównawczych. Jeśli idzie o niezmiernie trudną ocenę wartości całych dywizji, to marszałek Piłsudski zaliczał do najlepszych (po 1 dywizji) 14 wielkopolską, 9 i 19 dywizję i tylko sztandary tych dywizji krzyżem Virtuti Militari udekorował. O ile mnie

\*) Wacław Chocianowicz — **DZIEJE 1 PUŁKU ARTYLERII LEKKIEJ LEGIONÓW JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO**. Nakładem b. żołnierzy pułku, ich rodzin, przyjaciół i subskrybentów. Londyn 1967. Str. 588, ze szkicami i fotografiami.



Mieszane uczucia muszą wywołać wiadomości nadchodzące z kraju. Obok niewątpliwych osiągnięć polskiej techniki dowiadujemy się o wprost niewiarygodnym bezhołowości i przerażającej bezmyślności, za co należy winić tylko i wyłącznie tępotnych dokrynerów siedzących na szczytach administracji.

## CUD TECHNIKI

Nadzwyczajną atrakcją sezonu letniego w luksusowej kawiarni „KATOWICE” w Katowicach była miednica. Tak, zwy-

pamięć nie myli stawał 3 dywizję na 5-tym miejscu na równi z 15 dywizją. Wreszcie zajęcie Białegostoku, aczkolwiek b. ważne i po ciężkim boju wywalczone, bynajmniej nie przecięło dróg odwrotowych 4 i 15 armii bolszewickiej. Przecięła je nasza 4 armia pod Kolnem, zmuszając ich szczątki do schronienia się w Prusach Wschodnich.

Jestem pewny, że te i podobne przejawskrawienia, zresztą nieszkodliwe i niepotrzebne, nie były rozmyślane i tendencyjne. Były bądź następstwem pośpiechu, bądź (tak samo jak niektóre zbyt eufemistyczne opisy „miłego miasta” Wilna) owocem głębokiego i nieśląbnącego sentymentu autora do Legionów, do własnego pułku i do ich pokojowego garnizonu wileńskiego. Sentymentu zrozumiałego i uzasadnionego, ale często różowe okulary nakładającego. Sentyment taki jest podwaliną spójni, zwanej w wojsku „esprit de corps”, jest więc czynnikiem dodatnim, choć nieraz wytwarza drobne omyłki i nieszkodliwe grzeszki.

Grzeszki wybacalne, jak wszystkie grzeszki wypływające z miłości, czy miłością podyktowane. „I peccati d'amor, dio li perdona”, twierdzą Włosi. Idąc za tym przykładem i my wybaczymy autorowi te drobne potknięcia, spowodowane jakże zrozumiałym pokochaniem bitnego pułku, którego baterie, plutony czy działony, niczym baterie Bema pod Ostrołęką, wiele razy wyjeżdżały przed własną piechotę i ogniem na wprost razily i zatrzymywały nacierającego wroga. Że w dwadzieścia lat później uległy miażdżącej przemocy niemieckiej, nie pomniejsza to ich sławy. Zwłaszcza, że walczyły do upadłego.

Dzieląc wiarę autora omawianej książki, że księga dziejów takiego pułku nie zamknie się na zawsze, że kiedyś otworzy się znów, jak pisze autor w posłowie, „na czystej karcie, którą zaczął zapisywać inni ludzie, inne pokolenia”, pragnę na równi z nim, by jak najwięcej z nich „odwróciło poprzednie karty i z chwalebnych czynów i poświęceń czerpało niejedną naukę, niejedną przykład wiary, wytrwałości i poświęcenia”.

kła, najzwyczajniejsza miednica. Stała sobie na honorowym miejscu w wielkiej sali wielkiej restauracji wielkiego, nowego, dopiero co wykończonego hotelu, oczywiście także o nazwie „KATOWICE”.

Jakie spełniała tam zadanie?

Zwykle, najwyklesze często zdarzające się wielu miednicom w Polsce. Była podstawiona w miejscu, na które z sufitu kapala woda ze źle podłączonych instalacji. Trwało to na tyle długo, że całe Katowice miały z tego uciechę, bo mogły się przekonać naocznie iż lekko-myślne podłączanie instalacji stosuje się nie tylko w budownictwie mieszkaniowym.

## FRANCJA W CZOŁÓWCE ODBIORCÓW POLSKICH OBRABIAREK

Jak informują czynniki odpowiedzialne za polski handel zagraniczny, w przemyśle francuskim pracuje już spora ilość polskich obrabiarek automatycznych typu „BPV” wyprodukowanych przez Fabrykę Automatów Tokarskich w Bydgoszczy. Na liście zachodnio-europejskich odbiorców tego typu polskich maszyn Francja figuruje na czołowym miejscu.

## JAK SIĘ BUDUJE DOM?

Z okazji zakończenia budowy domku jednorodzinny — podaje czołowe pismo ekonomiczne w kraju — pewien wrocławianin urządził dla gości, którzy przyszli uczcić to wydarzenie pokaz piwnicy. Właściciel domku zgromadził tam butelki po trunkach jakie musiał stawiać robotnikom dla popchnięcia budowy. Teraz okazuje się, że dom jego stoi tylko dlatego, że postawił grupie robotników pracujących przy jego budowie 76 butelek wódki, którą wypili na miejscu przy pracy. Poza tym urządził jeszcze bankiety w lokalach. Teraz oświadcza: „Nim człowiek wystawi sobie dom, wpada z musu w alkoholizm i od razu zaczyna swój dom przepijać.”

## „ZIELONE ŚWIATŁO” DLA RZEMIOSŁA

Katastrofalny stan usług zmusił władze komunistyczne do ustępstw w pozycji doktrynalnych na odcinku rzemiosła. Po latach prześladowania, a raczej szykanowania rzemieślników zapalono dla tego sektora gospodarczego „zielone światła”. Skutki są dobre. W r. 1964 po raz pierwszy od wojny stan posiadania zaczęły się niezmiernie powiększać. Ostatni rok 1966, kiedy rzemieślnicy uwierzyli

wreszcie, że lepsza koniunktura wygląda na trwałą, bo władze poszły w stosunku do nich nawet na ulgi podatkowe — przybyło w Polsce ponad 10 tysięcy tak wszędzie potrzebnych drobnych zakładów rzemieślniczych, a stan zatrudnienia w rzemiośle zwiększył się w zeszłym roku o 25 tysięcy pracowników.

## POSTĘP I WYMAGANIA DNIA

Tyle się w Polsce mówi o postępie, że warto odnotować pewne wydarzenie z Lublina. Na przedmieściu Nowy Koszmin postępowy urbanizacyjny wytyczył a miasto zbudowało nową ulicę, którą nazwano imieniem Kosmonautów. Niestety, nie dano jej nawierzchni, na którą mieszkańcy tej dzielnicy długo czekali. Toteż zniecierpliwieni postanowili wiosną wykorzystać bardziej celowo rozkopany szlak komunikacyjny. Zaorali go i posadzili kartofle, które teraz właśnie z pożytkiem dla siebie i kraju zbierają.

W ten sposób dokonano w Polsce nowego wynalazku używając ulicę dużego miasta do dwu, zdawałoby się wykluczających się celów.

## NIEDOSKONAŁE ZARZĄDZENIE MINISTERIALNE

W połowie roku Ministerstwo Handlu Wewnętrznego zawsze dbałe o wygodę obywateli wydało zarządzenie w sprawie sprzedaży mleka. Nakazuje ono, aby sklepy żądały przy sprzedaży mleka zwrotu czystych, umytych butelek ze strony kupujących. To znaczy, kto chce nabyć mleko butelkowane musi przynieść z domu czystą butelkę.

Wyгода dla nabywców polega na tym, że ci co chcą wypić mleko na miejscu w mleczarni zwracają natychmiast brudną butelkę i nie muszą już jej myć na miejscu jak tego wymagano do niedawna.

Niejasność zarządzenia — jak zauważył pewien dziennikarz — wyraża się tym, że nie precyzuje ono co ma zrobić nabywca mleka, który pół butelki pragnie wypić na miejscu, a resztę zabrać ze sobą?

## PROTOTYPY PRZEMYSŁOWE

Centralne Laboratorium Przemysłu Wytwarzania Metalowych w Zabrze ukończyło niedawno prace przy budowie prototypu pieca do żarzenia drutów w wysokiej próżni. Ten skomplikowany proces technologiczny pozwala na produkowanie drutu o specjalnie czystej powierzchni.

(Dokończenie na str. 10)

Jednocześnie inżynierowie zabrańskiego laboratorium ukończyli prace przy budowie w pełni zautomatyzowanej obrabiarki elektronowej, przystosowanej do przebijania małych otworów w matrycach i tak zwanych ciągadach z twardych materiałów. Obrabiarka pracuje na zasadzie elektroerozji, to znaczy wyrwania cząsteczek obrabianego materiału pod wpływem wyładowań elektrycznych.

### TELEFON MARZENIE

Warszawa ma zarejestrowanych około 150 tys. telefonów, lecz w danej chwili na kolejce po telefon jest co najmniej 40 tys. warszawiaków. Tempo instalowania — około 10 tys. telefonów rocznie. Czyli, kto zgłasza się po aparat dziś musi czekać na zainstalowanie około 4 lat. Nic dziwnego, że dla wielu warszawiaków telefon jest marzeniem.

### CAŁA ORKIESTRA ZA 70 TYS. ZŁ.

„Transiston“ — elektronowy instrument polifoniczny. Tak brzmi pełna nazwa „genialnej“ maszyny wymyślonej wspólnym wysiłkiem elektroników, filharmoników i specjalistów od urządzeń jądrowych. Wynalazek wchodzi do produkcji Bydgoskiej Fabryki Akordeonów narazie, jak zapewniają producenci w ograniczonych seriach, ale ma to być produkcja przyszłości. Instrument posiada dwie klawiatury ręczne i jedną nożną. Maszyna zastępuje całą orkiestrę, a kosztuje tylko 70 tysięcy złotych.

Muzycy, którzy zapoznali się z tym arcydziełem techniki stwierdzają jednomyślnie, że jego wadą jest przede wszystkim to, iż gra. Ale producentów to nie zraża. Przecież zawsze znajdą się tacy, którzy będą chcieli jednocześnie zaimponować i dokuczyć sąsiadom.

### REKLAMA NA PLAN

Zwrócono uwagę, że w prasie wojewódzkiej poczynając od października ukazuje się sporo ogłoszeń reklamujących towary, których nie można dostać na rynku. Ciekawscy reporterzy wyjaśnili zagadkę. Jest prosta. Zbliża się koniec roku i przedsiębiorstwa muszą wykorzystać fundusze reklamowe, bo w przeciwnym razie będą ich pozbawione w przyszłym roku. Idzie zatem o wykonanie planu ogłoszeń. Reklamuje się nawet takie artykuły, których nie dostarcza się do sprzedaży. Jasne i logiczne.

Wiślan

**POPIERAJ POLSKIE FIRMY**

# Z ŻYCIA POLSKIEGO

## OBCHODY 100-LETNIEJ ROCZNICY URODZIN JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W SZWAJCARII

Tradycyjne Święto Żołnierza w Solurze, mieście Naczelnika Tadeusza Kościuszki, połączone zostało w tym roku z obchodem 100-letniej rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego. Uroczystość urządziło miejscowe Koło SPK, pod kierownictwem sprężystego prezesa B. Gmurczyka, który zaprosił na głównego prelegenta dra Janusza Rakowskiego z Zurychu.

Dr Rakowski wygłosił świetnie opracowany odczyt w języku niemieckim, przeznaczony głównie dla licznie zebranej publiczności szwajcarskiej pt. „Józef Piłsudski wódz i mąż stanu“.

Prelegent scharakteryzował postać Józefa Piłsudskiego jako bojownika wolności wychowanego w atmosferze powstania 1863 roku. Komendanta Legionów i organizatora polskich sił zbrojnych, zwycięskiego wodza z roku 1920, oraz męża stanu odrodzonego państwa polskiego. Największym czynem Piłsudskiego było zwycięstwo nad bolszewikami w r. 1920, przez które przeszedł on do historii ogólno-światowej.

Interesującym jest stosunek Piłsudskiego do Szwajcarii, w której przebywał na początku 1914 r., zamieszkując między innymi w domu „Auf der Mauer“ Nr. 13 w Zurychu, gdzie po byt ten uwieczniły dwie tablice z portretem — w języku polskim i niemieckim.

Omawiając polityczne posunięcia Piłsudskiego i przewrót majowy 1926 r. dr Rakowski podkreślił na tle własnych

wypowiedzi tego Żołnierza-Wodza i męża stanu, wewnętrzną walkę, jaką rozegrała się w jego duszy. Będąc, jak sam mówił, „Dzieckiem Wolności“ i z natury demokratą, w dążeniu do realizacji swych wielkich celów niepodległego i rządowego państwa polskiego, Piłsudski nie znalazł trwałego rozwiązania sprzeczności między rozkazem i demokracją. Dał on temu m.in. wyraz w odczycie o „Wojsku i Demokracji“ w dniu 25 maja 1925 r. Odczytane przez prelegenta ustępy z tego odczytu poświęcone Szwajcarii, jej wysoce demokratycznemu ustrojowi i jej armii, zebrani Szwajcarzy przyjęli jako nieznaną im i niezwykle interesującą nowość historyczną.

W drugiej części interesującego programu hr. Feser, Szwajcar, członek Towarzystwa Kościuszki, wyświetlił przeźroczca z podróży po Polsce wygłaszając żywą i ciekawą pogadankę, w której z prawdziwym entuzjazmem wyrażał się o spotkanych ludziach, o nawiązaniu licznych znajomości i o pomocy — miał wypadek samochodowy — jakiej udzielili mu przygodnie spotkani ludzie. Hr. Feser jest dziennikarzem, po jego podróży ukazały się liczne artykuły w tutejszej prasie. Polacy w Kraju, dzięki swej gościnności zyskali nowego przyjaciela.

Wystawa książki polskiej oraz różnorodnych tłumaczeń polskiej literatury wyglądała okazale. Dzieła Józefa Piłsudskiego, udane rysunki Zdzisława Czernańskiego, fotografie Marszałka i wojska polskiego oglądane były, głównie przez Szwajcarów z dużym zainteresowaniem i chętnie nabywane. Za wyjątkowo dobrze zorganizowaną uroczystość, która nic nie miała wspólnego z często nudną i „podniosłą“ akademią, należą się prezesowi B. Gmurczykowi słowa pełnego uznania.

**SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE**

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO**

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



**HASKOBA LTD.**

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888



## OBCHÓD W RAPPERSWILU

W porozumieniu ze Związkiem Organizacji Polskich w Szwajcarii urządzoło Koło Żołnierzy 2 DSP, dnia 16-go września, drugą z kolei uroczystość ku czci Marszałka Józefa Piłsudskiego z okazji 100-letniej rocznicy Jego urodzin. Prezes Koła p. Z. Głowacki powitał zebraną publiczność polsko-szwajcarską w sali rycerskiej historycznego zamku w Rapperswilu.

Dwaj generałowie, byli legionieści, Wacław Scaevola-Wieczorkiewicz i Stanisław Pelc opowiedzieli swoje wspomnienia w języku polskim, francuskim i niemieckim. W części muzycznej wokalne wzięli udział pp. B. i M. Zaczekowscy, oraz orkiestra dęta miasta Rapperswil.

Kiermasz Książki Polskiej SPK wystawił liczne wydawnictwa, głównie dzieła Józefa Piłsudskiego, także rysunki i fotografie oraz autorów, którzy o nim pisali.

Przy okazji warto przypomnieć, że wspaniały zamek w Rapperswilu, jeden z najpiękniejszych zabytkowych zamków w środkowej Europie wraz z Muzeum Narodowym należał niegdyś do Polski i powstał odbudowany kosztem i wysiłkiem wielkiego działacza społecznego Władysława Platera w roku 1868. Obecni właściciele zamku „Schweizerische Burgenverein“ (Stowarzyszenie zabytkowych zamków) oddali czasowo dwie sale na polskie wystawy, stowarzyszeniu polsko-szwajcarskiemu „Freunde des Polenmuseums Rapperswil“ (Przyjaciele polskiego muzeum w Rapperswilu). Historyczna Barska Kolumna Wolności przeniesiona przez obecnych właścicieli zamku na tylny podwórzec, czeka cierpliwie na ustawienie jej na właściwym, odpowiadającym historycznemu znaczeniu miejscu.

*Kazimierz F. Vincens*

## PAPIESKIE ODZNACZENIE

Ojciec Święty Paweł VI mianował ks. szambelana Pawła Kajkę, proboszcza parafii św. Barbary w Monachium, papieskim prałatem domowym. Wyróżnienie to spotyka ks. prałata Kajkę po 15 latach owocnej pracy w Monachium, na niwie duszpasterskiej, społecznej i kulturalno-narodowej. Praca ta zjednała ks. Prałatowi powszechne uznanie wśród Polonii monachijskiej.

## KONFERENCJA PRASOWA KS. BISKUPA RUBINA

W dniu 12 września ks. biskup Rubin odbył konferencję prasową w sali prasowej Watykanu, w czasie której poinformował zgromadzonych dzienni-

karzy różnych krajów o szczegółach Synodu Biskupów, który rozpoczął się 29 września w Rzymie. W obszernym referacie, ks. Biskup przedstawił ilość uczestników Synodu z poszczególnych części świata i krajów, zasadnicze tematy Synodu i program jego prac. Konferencję zakończyła dyskusja.

## WYSTAWA WOJSKA POLSKIEGO W KANADZIE

W Toronto została zorganizowana w dniach 8—21 października br. wystawa Wojska Polskiego, urządzona staraniem wszystkich organizacji weterańskich z okazji 100-iej rocznicy urodzin Marszałka Józefa Piłsudskiego i 100-lecia Kanady. Komitetowi organizacyjnemu przewodniczył mjr Zbigniew Giera.

## SZKOŁA I WYCHOWANIE NARODOWE NA OBCYZŹNIE

Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą przy współudziale Polskiej Macierzy Szkolnej i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów urządziło w dniu 7. 10. 1967 w Londynie konferencję poświęconą zagadnieniom ideowym i programowym wychowania narodowego.

W obradach, które odbywały się w Westminster Cathedral Hall uczestniczyło około 150 nauczycieli, w części pierwszej zebrania wzięli udział również zaproszeni goście: przedstawiciele duchowieństwa, instytucji i organizacji naukowych, oświatowych oraz społecznych szczególnie zajmujących się wychowaniem młodzieży.

Zasadniczy referat pod skromnie brzmiącym tytułem „Uwagi o nauczaniu historii na emigracji“ wygłosił prof. dr Marian Kukiel, w dyskusji zabrał głos również prof. dr Henryk Paszkiewicz.

O „Problemach wychowania narodowego na obczyźnie“ mówił Ignacy Płonka, polonista-nauczyciel szkół średnich. Krótkie uwagi Czesława Czaplńskiego

na temat roli nauczycieli w życiu społecznym emigracji, obszerna dyskusja, nad referatami, informacje o wydawnictwach podane przez mgr. Goławskiego dopełniły całości.

W konferencji uczestniczyli również inspektorzy szkół przedmiotów ojczyńskich, zrzeszonych w dwóch głównych organizacjach opiekuńczych: SPK i PMS. Poprzedniego dnia inspektorzy Anna Bogusławska, Czesław Czaplński, Stanisław Gutkowski, Feliks Jaworski, Zdzisław Luszowicz, Stanisław Maj, Piotr Piałucha, Zbigniew Scholtz, Zofia Sołtysik, Czesław Stanecki, Julian Szczepański, Michał Smołowik, Olga Trybuchowska obradowali w Domu Kombatanta pod przewodnictwem C. Czaplńskiego. Przy stole obrad nie zabrakło nikogo, poziom wysoki, rzucało się w oczy, że zjechali się doświadczeni nauczyciele, wytrawni działacze społeczni.

Pośród wielu poruszonych tematów na plan pierwszy wysunęły się sprawy koordynacji nadzoru pedagogicznego i pomocy instrukcyjnej dla uczących, współpracy pomiędzy szkołami, dokształcanie nauczycieli, praktyczne przygotowanie pomocników nauczycieli spośród rodziców, dawnych wychowanków szkół: rola działaczy sportowych i organizacji młodzieży, szczególnie Związku Harcerstwa Polskiego.

Tęm narad inspektorów była powszechnie odczuwana potrzeba zacieśnienia współpracy pomiędzy wszystkimi polskimi organizacjami niepodległościowymi zajmującymi się szkolnictwem i pracą wśród młodzieży. Toteż obok inspektorów w naradach uczestniczyli: dwaj wiceprezesi Polskiej Macierzy Szkolnej, prezes i referent org. wiceprezes SPK, i sekretarz Związku Polskich Klubów Sportowych.

Wyniki konferencji i wnioski będą podane do wiadomości kierowników i opiekunów wszystkich szkół ojczyńskich w W. Brytanii oraz zarządów organizacji społecznych.

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

**J. A. BACZEWSKI**

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak  
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

**PODOLIA COMPANY LIMITED**

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 687-9, Manchester Old Road,  
Rhodes-Middleton nr. Manchester, Lanc's. Tel.: 643-8301

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,  
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne



# Akumulacja kapitału

**I**STNIEJE przeświadczenie, że im więcej dane przedsiębiorstwo lub kraj ma środków produkcji (akumulacja kapitału) tym większa jest produkcja i związane z nią bogactwo i dobrobyt. W rzeczywistości nie jest tak dokładnie. Oczywiście, na obecnym poziomie rozwoju gospodarczego bez dostatecznych środków produkcji i kapitału nie można osiągnąć wysokiej stopy życiowej i dobrobytu, ale praktyka i doświadczenia wykazały, że niekiedy przy równych, a nawet mniejszych, środkach produkcji można mieć większy dochód niż przy większej akumulacji kapitału. Wchodzi tu bowiem w grę umiejętność gospodarowania posiadanymi środkami produkcji, która prowadzi do ekonomicznego wyzyskania posiadanych zasobów w przeciwieństwie do nieudolności i marnotrawstwa przedsiębiorstw i krajów obfitujących w zasoby produkcyjne.

Wystarczy w tym względzie porównać stan gospodarczy dwóch identycznych sąsiadujących ze sobą gospodarstw rolnych o dokładnie tym samym obszarze i jakości ziemi, ilości inwentarza i zatrudnionej siły roboczej itp. Jedno może być zasobne i na wysokim poziomie produkcji — drugie zaledwie wiązać koniec z końcem, a nawet znajdować się u progu ruiny i bankructwa. Powodem jest to, że jeden gospodarz dobrze uprawia i użyźnia swą ziemię, dba o inwentarz, we właściwym czasie dokonuje zasiewów i zbiorów, sprzedaje produkty rolne przy wykorzystaniu najbardziej sprzyjającej dla poziomu cen fluktuacji rynkowej itd. Innymi słowy, jest „homo economicus“. Na drugiego polu plenią się chwasty, wychudzone zwierzęta domowe chwieją się od podmuchu wiatru, narzędzia rolnicze zarzewiały i nie nadające się do użytku, budynki zaniedbane i z dziurami w dachach. Sprzedaje on produkty rolne nie wtedy gdy są na nie najwyższe ceny, lecz wtedy gdy potrzeba pieniędzy, a brak mu ich zawsze. Taki człowiek jest po prostu szkodnikiem społecznym, gdyż marnuje zasoby swego kraju, które mogłyby być wykorzystane przez innych ekonomicznie, a więc z pożytkiem dla ogółu społeczeństwa.

To samo dotyczy państw. Np. przedwojenna Litwa nie miała przemysłu i surowców: był to kraj par excellence rolniczy o bardzo miernej urodzajności ziemi i niezbyt sprzyjającym klimacie. Z drugiej strony Polska miała poważne zasoby surowców, niezłe rozwinięty przemysł, dobrą w niektórych częściach kraju ziemię i lepszy klimat. Mimo to na Litwie była wyższa stopa życiowa niż w Polsce. Litwini potrafili produkować

i sprzedając za granicę jaja, bekon, masło, len i konopie oraz sprowadzając z obcych krajów artykuły pochodzenia przemysłowego, zapewniły swej ludności większy dobrobyt.

Oczywiście, gdyby Polska nie miała Kresów Wschodnich stopa życiowa jej mieszkańców byłaby prawdopodobnie wyższa niż Litwinów. Zachodnia i centralna Polska była w stosunku do Kresów Wschodnich w takiej sytuacji, w jakiej jest obecnie Ameryka względem krajów niedorozwiniętych, którym udziela za darmo pomocy gospodarczej. Świadczy o tym ujemny bilans Izb Skarbowych w Wilnie, Nowogródku i Brześciu n/Bugiem. Ściągnięte z obszaru tych izb podatki nie pokrywały wydatków na cele miejscowe. (Wbrew temu oczywistemu stanowi faktycznemu propaganda bolszewicka podaje do wiery, że Polska wyzyskiwała i eksploatowała „bogactwa“ Kresów Wschodnich). Mając taką dojną krowę, Kresy Wschodnie, a zwłaszcza Wileńszczyzna, która miała bardzo podobne warunki gospodarze do litewskich, winna była mieć wyższą stopę życiową i dobrobyt od jej północnego sąsiada. Było jednak wręcz przeciwnie.

Przy podobnym systemie gospodarczym i tej samej doktrynie ekonomicznej różnice te nie występują zbyt jaszkrawo. Natomiast jeżeli chodzi o porównanie tzw. krajów „kapitalistycznych“ z „socjalistycznymi“, gdzie „przekaz“ z góry — oparty na przesłankach utopijnych i metafizycznej doktryny ekonomicznej — zabija ducha homo economicus i uniemożliwia wszelką inicjatywę wypływającą z doświadczenia i zdrowego rozsądku, różnice są olbrzymie.

Posiadająca olbrzymie zasoby bogactw naturalnych i surowców Rosja Sowiecka może szczycić się poważną akumulacją kapitału w postaci rozbudowy przemysłu i nagromadzenia środków produkcji w okresie od czasu rewolucji październikowej, kosztem przerażających ofiar i nędzy swych obywateli, a raczej niewolników. Mimo to jej bliżsi i dalsi sąsiedzi z krajów „kapitalistycznych“, rozporządzający w wyniku skromnej akumulacji kapitału znacznie szerszymi środkami produkcji mają dużo lepsze życie i korzystają z większego dobrobytu. Powodem jest to, że kraje te wykorzystują to co mają racjonalnie i zgodnie ze zdobyczami wciąż rozwijającej się nauki ekonomicznej,

mającej swe źródło nie w fantazji i wyobraźni romantyków i utopistów, lecz w logicznych i suchych prawach ekonomicznych, wypływających z myśli i doświadczenia hominis sapientis.

Polska „ludowa“ w obecnym jej granicach nie poczyniła tak wielkich postępów w uprzemysłowieniu kraju, jak głosi propaganda bolszewicka. Nie da się jednak zaprzeczyć, że uprzemysłowienie poczyniło znaczne postępy, chociaż wydaje się, że gdyby po ostatniej wojnie gospodarka polska nawróciła do przedwojennego systemu gospodarczego z pewnymi zmianami opartymi na zdobyczach w międzyczasie nauki ekonomii i doświadczeniu, tj. gdyby polskim życiem ekonomicznym kierowali Kwiatkowsky, Zdziechowsky i im podobni, a nie Bieruty, Gomulki i im podobni, postęp gospodarczy byłby dużo szybszy i bardziej efektywny.

W Polsce po pierwszej wojnie światowej szczupłe środki produkcji przemysłowej były nie w mniejszej mierze zrabowane i zniszczone niż po ostatniej. W dodatku na Kresach Wschodnich (prawie połowa terytorium kraju) przemysł prawie nie istniał. Po ostatniej wojnie najbardziej uprzemysłowiona część kraju pozostała w granicach Polski i doszły do tego wysoce uprzemysłowane Ziemię Zachodnie, gdzie podczas wojny Niemcy specjalnie rozbudowali przemysł, korzystając z tego, że tereny te były poza zasięgiem bombardowań zachodnich sprzymierzeńców.

Po pierwszej wojnie światowej Polska nie otrzymała żadnej pomocy od krajów zachodnich, a udzielone jej pożyczki przez te kraje były znikome, przy czym przyznano je na uciążliwych warunkach i były bardzo wysoko oprocentowane. Między wojnami samo miasto Berlin otrzymało od Amerykanów więcej pożyczek niż cała Polska ze wszystkich źródeł. Mimo to w tym krótkim 20-leciu wybudowano z niczego największy port na Bałtyku i poczyniono duże postępy w budowie Centralnego Ośrodka Przemysłowego. Ponadto na terenie całego kraju różne, większe lub mniejsze, zakłady przemysłowe wyrastały jak grzyby po deszczu: od produkujących igły i gwoździe (których obecnie odczuwa się brak w kraju) do ciężkich dział i samolotów.

Po ostatniej wojnie Polska otrzymała pod pozorem pożyczki poważną pomoc amerykańską (ponad miliard dolarów). Zapisywanie należności amerykańskich

# a stopa życiowa

z tytułu pożyczki na konta bankowe w bezwartościowych złotych zamiast spłaceniami długu w dolarach nie czyni z tego daru pożyczki. Pomoc ta została poważnie uszczuplona, a może nawet całkowicie zabrana z nadwyżką, przez rabunkowy wyzysk gospodarczy Sowie-  
tów w okresie stalinowskim i przez ogłoszenie przez Rosjan zakładów przemysłowych na Ziemiach Zachodnich z maszyn i urządzeń fabrycznych. W każdym jednak razie warunki odbudowy gospodarki narodowej nie były gorsze niż po pierwszej wojnie światowej, zwłaszcza, że pomoc amerykańska (nie licząc pomocy U.N.R.R.A.'y zaraz po wojnie) przyszła po śmierci Stalina, tj. w czasie, gdy sowiecki jawny rabunek ustał, a wyzysk gospodarczy poważnie się zmniejszył.

## POLSKA DWÓCH DWUDZIESTOLECI

W związku z utratą Kresów Wschodnich i uzyskaniem Ziemi Zachodnich oraz znacznym postępowaniem akumulacji kapitału Polską w obecnych jej granicach jest niewątpliwie więcej uprzemysłowiona na głowę ludności niż była przedwojenna. Wobec tego powstaje zagadnienie jak to wpłynęło na stopę życiową i dobrobyt jej obywateli po upływie 20 lat od ostatniej wojny, tj. takiego samego okresu czasu podczas którego istniała międzywojenna Polska niepodległa.

Przy porównaniu powstają poważne trudności nie tylko w związku z chaosem finansowym w krajach „socjalistycznych“, wyrażającym się między innymi w istnieniu kilku kursów wymiany waluty, lecz również wskutek straty na wartości pieniądza w krajach „kapitalistycznych“. Niemniej jednak przy przyjęciu pewnych kryteriów i założeń obraz staje się dość jasny, zwłaszcza tam, gdzie występują znaczne różnice.

Przed wojną oficjalny i rzeczywisty kurs dolara amerykańskiego był 5 złotych z kilku groszami za 1 dolara. Obecnie wartość dolara (jego siła nabywcza) jest w przybliżeniu pięciokrotnie mniejsza niż była przed wojną. Wskutek tego przedwojenny złoty polski był z grubsza równy dzisiejszemu dolarowi amerykańskiemu. Z kilku kursów dolara istniejących w Polsce „ludowej“ jedynie kurs 72 zł. za 1 dolara, wpłacany za przekazy P.K.O., jako w przybliżeniu odpowiadający sile nabywczej obu tych walut, może mieć wartość porównawczą przy określeniu sto-

py życiowej i dobrobytu w Polsce współczesnej i przedwojennej, chociaż dolar jest wart ponad 100 zł. zgodnie z jego kursem na czarnym rynku.

Według danych statystycznych za 1965 rok przeciętne zarobki w Polsce wynosiły 2.006 zł. miesięcznie brutto (netto 1.822 zł.), czyli 28 przedwojennych złotych polskich według kursu 72 zł. za dolara. Ubrania, obuwie i inne wyroby przemysłowe w tej skali porównawczej są obecnie w Polsce znacznie droższe niż były przed wojną. Podczas gdy żywność, dostarczana przymusowo przez chłopów państwu za pół darmo, jest tańsza i komorne dla zarabiających mniej niż 800 zł. miesięcznie niższe. W konsekwencji można przyjąć, że koszty utrzymania są prawie równe. Przesłanki te umożliwiają porównanie przedwojennej stopy życiowej z obecną z dużą dokładnością.

Według oficjalnych danych najniższa płaca w 1965 r. była 600 zł. miesięcznie, czyli około 8 zł. przedwojennych. Przepiętna emerytura wynosiła w tym czasie 781 zł. miesięcznie (około 10 zł. przedwojennych). Wysokości najniższej emerytury statystyka nie podaje, ale wiadomym jest, że są emeryci, którzy pobierają 400 zł. miesięcznie, czyli około 5 złotych przedwojennych. Statystyka nie uwzględnia też najwyższych uposażeń i emerytur. Jest jasne dlaczego: chodzi o to, aby szary człowiek nie dowiedział się jak dobrze uposażeni są wysocy dygnitarze bolszewicy, którzy faktycznie są jego panami i władcami feudalnymi. Ze względu jednak na małą ilość tych dygnitarzy obraz przeciętnej sytuacji materialnej ogółu ludności nie ulega przyćmieniu. Według tego co opowiadają przyjeżdżający z kraju najwyższe uposażenie zwykłego śmiertelnika wynosi niewiele ponad 6 tysięcy zł. miesięcznie, czyli około 84 zł. przedwojenne. Lekarz zarabia około 3 tysiące zł. miesięcznie (42 zł. przedwojenne).

Chłop gnębiony podatkami i dostawami przymusowymi produktów rolnych na pewno, wbrew powszechnemu mniemaniu, nie jest w lepszej sytuacji materialnej od ludności miejskiej. Gdyby tak było, chłopci nie emigrowaliby w miarę możliwości i w znacznej ilości do miast i miasteczek.

Obraz więc sytuacji materialnej współczesnego obywatela Polski „ludowej“ jest dostatecznie jasny. Ze względu jednak na istnienie w przedwojennej

Polsce na wielką skalę w porównaniu ze stanem obecnym własności i inicjatywy prywatnej, określenie wyrażającej się w danych liczbowych stopy życiowej nasuwa poważne trudności. Było bowiem dużo przedsiębiorców, kupców, ludzi żyjących z wolnych zawodów, rzemieślników itp., których dochody, aczkolwiek były z grubsza znane dla celów podatkowych, nie wiadomo jednak było, ile oni zużywali pieniędzy na cele konsumpcyjne i osobiste, co stanowi miarę i sprawdzian stopy życiowej, a ile przeznaczali na kapitalizację.

Wbrew mniemaniu Marxa i wielu jego uczniów kapitalista nie konsumuje całego swego dochodu, lecz dużą część zysku przeznaczają na kapitalizację, czyli na dalszą rozbudowę i powiększanie przedsiębiorstwa. Nałóg oszczędzania i pęd do kapitalizacji jest u niektórych „kapitalistów“ do tego stopnia przemowny i nieodparty, że ich stopa życiowa jest na poziomie średnio zarabiających robotników, chociaż pracują więcej i ciężiej od nich. Np. niedawno zmarł jeden z amerykańskich miliardów, który nigdy w życiu nie wynajął taksówki i nie zjadł, jeżeli tego nie wymagał interes, obiadu w restauracji; podróżował publicznymi środkami lokomocji i żywił się kanapkami, a w niedziele i święta jadał w domu. Ponadto nawet najbardziej rozrzutny kapitalista nie może na raz zjeść kilku obiadów, co dzień wypić beczki wódki, spać w kilku łóżkach itp.

Taki prywatny przedsiębiorca chętnie, oczywiście, obniżyłby zarobki swych robotników, tak jak ogranicza swe wydatki na cele osobiste, aby wzmocnić kapitalizację i zaspokoić tę nieodpartą żądzę. Ze względu jednak na konkurencję ma ograniczone możliwości w tym względzie. Nie czyni tego po prostu dlatego, że utraciłby najlepszych robotników na rzecz swych konkurentów, którzy są zawsze gotowi dobrze zapłacić za pracowitość i specjalne zdolności. Ten problem nie istnieje w krajach „socjalistycznych“. Tam urzędnik-biurokrata może dowolnie obniżać zarobki robotników, aby wzmocnić według planu kapitalizację, a wyzyskiwany robotnik nie w związku z tym bezradny, bo nie ma innych, prócz państwowych pracodawców, a strajki są pod groźbą kary zabronione.

Nie wynika jednak z tego, że niskie zarobki robotników powodują proporcjonalnie większą akumulację kapitału, albowiem źle opłacany robotnik marnie pracuje i wykręca się od pracy, aby móc wykorzystać wolny czas na kombinacje i zarobki na boku, przyczyniające się do poprawy jego mizernego bytu,

(Dokończenie na str. 14)



co jest tak oczywiste w tzw. „krajach socjalistycznych“.

Ten nałóg kapitalizacji, jak każdy inny nałóg, nie opiera się na logicznych przesłankach. Faktycznie zarówno przedsiębiorca jak i jego spadkobiercy niewiele mają korzyści z kapitalizacji. Za życia „kapitalisty“ państwo zabiera poważną część jego dochodów w postaci podatków i korzysta z tego, że wskutek gromadzenia środków produkcji znajduje zatrudnienie coraz więcej robotników, a po śmierci, jeżeli zostawi wielki majątek, jego spadkobiercy po zapłaceniu podatku spadkowego otrzymują drobny ułamek tego co dziedziczą. Wygląda to na oszustwo popełniane przez „państwa kapitalistyczne“, które wykorzystują namiętność ludzi niezwykle uzdolnionych i pracowitych dla własnej korzyści materialnej, a raczej dla dobra szerokiego ogółu.

\* \* \*

Na tle powyższych rozważań można przyjąć, że przeciętna stopa życiowa prywatnych przedsiębiorców w przedwojennej Polsce była w przybliżeniu na poziomie średnio uposażonych urzędników państwowych, zwłaszcza gdy się uwzględni fakt, że było dużo właścicieli małych zakładów pracy, które dawały niskie dochody.

Biorąc więc pod uwagę fakt, że obecnie najwyższe zarobki w Polsce wynoszą około 84 przedwojenne złote, a najniższe około 8 zł. miesięcznie, ma się wyraźny obraz, w jak skrajną nędzę pogrążyły kraj rządy bolszewickie. Nędza ta jest łagodzona przez masową kradzież „mienia społecznego“ oraz różne machlojki, ale nie każdy ma dostęp do tego mienia, nie każdy może i potrafi kraść, nie każdy ma głowę i spryt do „giesztofów“ i machlojek. Jak ci ludzie żyją, zagadka jak dotąd pozostaje nie rozwiązana.

Na obniżenie się stopy życiowej mają niewątpliwie wpływ takie czynniki jak niekorzystny handel ze Związkiem Sowieckim, wyrażający się w sprzedaży polskich towarów poniżej cen światowych i płaceniu za towary i surowce sowieckie powyżej tych cen, pomoc udzielana różnym Wietnamom i Egiptom, duże wydatki na mało skuteczną i nikomu niepotrzebną propagandę itp. Główną jednak przyczyną nędzy zwykłego śmiertelnika jest bolszewicki system gospodarczy.

Aleksander Stambrowski

**Czytaj książkę polską**

MARIA WILCZEWSKA

## Z KAZACHSTANU

Zamieszczamy czwarty odcinek pamiętnika opisującego historię ucieczki Polki wywiezionej w r. 1940 do Kazachstanu.

### CZTERY DNI W EKSPRESIE NOWOSYBIRSK-MOSKWA

Znalazłam się nagle w całkiem innym świecie. W wytworkim świecie. W świecie sowieckich panów. Ażeby podkreślić tę wytworkowość zdjęłam wełnianą chustynę i nałożyłam jedwabną. Upodobniłam się tym nieco do damy siedzącej naprzeciwko. Była z nią mała dziewczynka w wieku mojego dziecka. Dama raczej nie pragnęła nawiązania znajomości ze mną i niechętnie patrzyła, gdy nasze dzieci bawiły się razem ze sobą. Poza tym w wagonie jechało z nami dwóch wojskowych. Jeden siedział obok nas, a drugi po przeciwnej stronie. Młoda dama jechała z Władywostoku, tak jak i ci mężczyźni. Poznali się w wagonie, rozmawiali ze sobą i razem też chodzili do restauracyjnego wozu na posiłki. W wagonie nikt nie jadał, więc i ja dostosowałam się choć z niepokojem wydawałam pieniądze. Długą jeszcze drogę miałam przed sobą.

Zwróciłam uwagę, że pasażerowie w naszym wagonie trzymali w siatce powyżej swego miejsca — paszporty. Wobec tego zrobiłam to samo — z życzeniem, by nikt do niego nie zaglądał. Konduktor pokazał się tylko raz do kontroli biletów, a paszportami w siatkach, podczas tych kilku dni, nikt się nie interesował.

Przejeżdżamy przez Ural. Pasażerowie stają w oknach. Ja z dzieckiem też. Te góry wydają mi się płaskie, a może linia kolejowa szła szczytami? I wydają się nieefektywnie i tak jakoś staro w tej listopadowej dekoracji.

Raz się pociąg zatrzymał na małej górskiej stacyjce. Grupa tubylców, podchodziła do okien wagonu, żebrząc o chleb.

Po tej długiej jeździe pociągiem, miałam wielką ochotę wyskoczyć z wagonu, i „dotknąć stopą“ Uralu. Zeszłam więc z dzieckiem i postawiłam go obok siebie na ziemi. Wzięłam ze sobą trochę sucharów, które podałam potem jakiejś kobiecie z dzieckiem. Wtedy dopiero zobaczyłam, że na stopniach wagonów stoją milicjanci. Poczulałam się nieswojo i zaraz cofnęłam do wagonu. Inna rzecz, że poza mną nikt nie wychylał się z chlebem. Dojeżdżamy do Moskwy. Kończy się ta cudna podróż w ekspresie,

gdzie czułam się jak turystka na wakacjach. Kończą się kury i zupy restauracyjne i cały ten komforcik wagonowy.

### DZIEŃ TRZYNASTY

Dama z wagonu, przed rozstaniem, była bardziej rozmowna i poradziła mi, żebym czas czekania na pociąg do Kijowa spędziła w izbie dla matki i dziecka. Idę tam od razu. Jest tam biało, czysto i surowe opiekunki. Kąpią mego małego, dają mu kaszę z mlekiem i kładą do łóżeczka. Mnie wolno usiąść obok na krześle, ale wychodzić nie wolno. Dopiero z dzieckiem.

W końcu dziecko budzi się. Wspany i najedzony zaczyna tak dokazywać, że wytrzymać trudno. Mamy jeszcze sporo czasu do odjazdu kijowskiego pociągu. Wobec tego biorę go na ręce i idziemy „zwiadzać“ Moskwę.

Daleko od stacji nie odeszłam, Kremla nie oglądałam, tylko chodziłam po pobliskich ulicach i wczuwałam się w obcą atmosferę tego miasta. Posiedziałam chwilę w jakiejś kawiarence przy kawie i obserwowałam damy w karakulach, też przy kawie i miłych pogawędkach. Widziałam także kobietę z małym, jak moje, która żebrała. Była nędznie ubrana i przemarznięta. Ulice były czyste i puste o tej porze. Powiało lodowatym wiatrem. Poczulałam, że i ja przemarzłam i że mi tu jest obco i bardzo samotnie i że do domu jest bardzo daleko.

Jedziemy znowu pociągiem. W wagonie jest ciemnowo i ciasno. Znajduję swoje miejsce i zajmuję. Nie jest tu tak elegancko, jak w ekspresie. Zdziwiająco, jak trudno przywyknąć do gorszych warunków. Dziecko mi śpi na kolanach. Obok ludzie opowiadają sobie o swoich troskach i kłopotach. Dzień wstaje szary, na polach też szaro od brudnego śniegu. Dużo osób wysiada i wsiada, i do wagonu nioszą błoto, często są drzwi otwarte. W wagonie jest nieprzytulnie i chłodno.

W Kijowie na stacji jest niewiele ludzi. Dowiaduję się tu, że pociąg w kierunku granicy już odjechał. Następny będzie dopiero jutro rano, a bilety do pociągu można będzie dostać dopiero przed odjazdem, czyli że muszę spróbować przesiedzieć tę noc na stacji nie mając biletu.

Rozgościłam się na ławce obok jakichś starsuszków. Przyniosłam gorącej wody z restauracji, zaparzyłam herbatę w garnuszku i popijamy z dzieckiem przegrzając sucharami. Przyjemnie było



# DO DOMU

B.D.I.C.

popatrzeć, że na wszystkich ławkach pasażerowie tak samo wypełniają sobie czas oczekiwania na pociąg.

Od staruszki dostałam pierożek z kapustą i dowiedziałam się skąd oni jadą i dokąd. Następnie zapoznałam się ze szczegółami jej rodzinnego życia, oraz imionami poszczególnych członków jej rodziny.

Gdy jej się temat wyczerpał, zaczęła mnie wypytywać, dokąd i po co jadę. Już było późno, jej mąż drzemał, moje dziecko już od dawna spało, a i ja byłam bardzo męczona i senna. U staruszki jednak było bez zmian: mówiła i mówiła. Na stacji było ciepłutko i przyjemnie, nawet z jej brzęczeniem nad głową. Cieszyłam się, że do rana już niedaleko i że potem znów kawałek drogi, podjadę pociągiem.

Naraz stanął przez nami milicjant i zapytał czy mamy bilety. Staruszek szybko znalazł swój bilet i pokazał mu. Ja nie. Więc kazał mi opuścić stację i wyjść na ulicę. Wyszłam. Nie byłam sama, bo dużo ludzi wychodziło razem ze mną. Postali chwilkę, a potem rozszli się.

Nie mogłam zdecydować się, by się do kogoś dołączyć i poprosić o nocleg. Wyglądali tak samo nędznie i bezdomnie jak ja.

W końcu przed stacją zostałam ja jedna, a trochę dalej dwie konne dorożki. Było zimno i trudno tak dłużej stać. Synek spał mi smacznie na rękę i zaw sze wtedy był ciężki jak kamyczek. Kijowskie zegary, zaczęły witać północ i aleje latarni ściemniały o połowę. Czy mam przespacerować resztę tych godzin nocnych? W lecie chyba byłoby to możliwe, ale teraz noce są takie przeraźliwie długie i zimne. O hotelu, oczywiście, nie ma mowy, bo nie mam paszportu. Namyslałam się co lepsze: czy wejść do dorożki i jechać do NIKĄD, czy wplątać się w rozmowę z milicjantem, który właśnie zbliża się do nas.

Wsiadłam więc do dorożki i powiedziałam „na Kreszczatik“ i jakiś numer domu. Kijów to miasto mego dzieciństwa i tę nazwę pamiętałam.

Gdy odjechaliśmy od stacji, powiedziałam izwoszczykowi: że ja na Kreszczatik nie jadę, że jestem bez paszportu i nie mogę do hotelu i że proszę, żeby on nas u siebie w domu przeno cował, a ja zapłacę.

Jechał i jechał tak jakby nie słyszał. Raz tylko się odwrócił i popatrzył na nas. W końcu zajechaliśmy przed jakąś

kamienicę. Wsiadł, poklepał konia i nakrył, a sam poszedł do domu. Zapytałam czy mogę iść za nim, ale nie odpowiedział. Więc siedziałam w dorożce, synek mój spał, a koń tupał kopytkami i pociągał za uprząż.

Po dobrej chwili wyszła z kamienicy jakaś gruba i wysoka kobieta, a dorożkarz za nią. Kobieta popatrzyła na mnie, a potem nachyliła się nad dzieckiem i zapytała, czy śpi. Wszłam z nią do oświetlonej sieni.

Przez otwarte drzwi było widać stół z flaszkami i kilku mężczyzn młodszych od mego izwoszczyka. Razem chyba ze

sześć osób. I zdawało mi się, że przedtem grali w karty, a teraz wyglądało że się kłóca.

Jeden z młodych —myślałam potem że to syn domu — podszedł do mnie i o wszystko wypytał — w końcu kazał mi dać ten mój kazachstański paszport, gdzie „stało jak wół“, że jestem zesłanką i nie wolno mi bez zezwolenia władz wydalac się poza obręb tego kazachstańskiego miasteczka. Zabrał mi ten paszport i poszedł, zamykając drzwi za sobą. Ja zostałam w sieni sama z dzieckiem. Żeby było wygodniej, oparłam się o przeciwległe drzwi, które same się otworzyły i okazało się, że jest to klozet. Z czego zaraz też skorzystałam, bo dostałam wymiotów. Potem usiadłam na ziemi, bo sień była niemeblowana i

(Dokończenie na str. 16)

**SOS** recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski  
Poznań, Półwiejska 1  
A. Pomorski

Imię i nazwisko chorego

Rp.  
Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)  
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)  
Persantin 75 dragées (NIEMCY)  
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)  
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)  
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966  
Dr. Med. K. Kratowski  
Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradzam załatwić przez TAZAB w Londynie, bo wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.  
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45

trzymałam śpiące wciąż dziecko na kolanach.

Za drzwiami coś szeptało i szeptało. Wydawało mi się że minęła już chyba godzina. Potem weszła ta sama kobieta i przyniosła mi koc i poduszkę i garnuszek barszczu z chlebem i powiedziała, że mogę tu przespać.

Położyłam się na tym kocu, a dziecko ostrożnie ułożyłam na poduszce od strony ściany. Na szczęście, nie obudziło się. Przyzwyczało się w czasie tej podróży naszej spać przy świetle i wśród ruchu i gwaru. W tej sieni światło świeciło się długo. Jacyś ludzie przechodzili do klozetu obok nas. W końcu zasnąłam.

Rano zbudził mnie sam izwoszczyk. Był już w kozuchu i wyglądało że wrócił od konia, bo miał słomę na rękawie. A może sam spał w stajni. Powiedział, że jedzie na rejon i że nas podwiezie na dworzec. Dał mi herbatę na tym stole z fiolkami i położył obok mój paszport.

Chciałam mu zapłacić za nocleg, ale nie przyjął, a potem chciałam zapłacić za przejazd, nie wziął nic także. .

## DZIEŃ CZTERNASTY

W kolejce przy kasie biletowej dowiedziałam się do której stacji wydają bilety bez przepustki. Kupiłam tam bilet i wsiadłam do pociągu.

Siedząc w wagonie, bardzo żałowałam tego barszczu, którego wtedy nie mogłam wypić, ani Jeżyk, bo spał wtedy. Zostawiłam go obok naszej pościeli na podłodze. Tylko chleb wzięłam ze sobą.

Jeżyk się wyspał i teraz wesolutki spaceruje po wagonie i zawiera znajomości. Na szczęście nie jeszcze nie mówi poza „mama“. Myślę, że taki „roczniak“, co dopiero zaczyna chodzić i nie rozmawia jeszcze, jest chyba raczej ułatwieniem w ucieczce. Jest rozkoszny i wszystkich rozczula, gdziekolwiek się znajdujemy.

Korzystam z tego, że mi go zabawiają i planuję co dalej mam robić. Martwię się, kto zgodzi się podwieźć nas do granicy, a co z noclegami? Nie lubię, gdy zbliża się noc, tracę moją energię i radość życia, gdy trzeba zacząć myśleć o nowym noclegu. Konieczność pod ciepłym dachem, bo dziecko jest ze mną i listopad też. A ileż tych noclegów czeka nas jeszcze? Każdy taki nocleg to zagadka, którą rozwiązuje dopiero następny ranek.

Obce są twarze, obce otoczenie. Czuję się nieufna jak kot. Kończył się ten listopadowy dzień, gdy wysiedliśmy na małej stacyjce. Była to końcowa stacja. Stała w polu, w odległości kilku wiorst od miasteczka.

Pasażerowie po wyjściu z pociągu,

zaczęli iść wzdłuż torów do bocznej, krótszej drogi, prowadzącej do miasteczka. Szli szybko. Śpieszyli się do domów. Ja poszłam za nimi, ale wolniej, bo synek rozruszał się i postanowił iść piechotą. Jak zobaczył odpowiedni kamyczek, to przystawał, żeby go kopnąć. Wkrótce, na tej drodze nie było już nikogo, tylko ja z Jeżkiem. Zrobiło się ciemno i mój mały chętnie się zgodził, żeby go nieść. Nie lubił ciemności.

Poszłam teraz przedzej. Zmęczyłam się i zgrzałam. Wreszcie doszłam do rozstajnych dróg. Problemy lepiej się rozwiązuje siedząc — pomyślałam — i usiadłam pod czymś, co wydawało mi się być figurą albo kamiennym drogowskazem. Noc była pogodna. Gwiazdy przegadały się w kałużach. Było cicho i pachniało wilgotną ziemią. Mój mały zachowywał się cichutko. Może już zasnął?

Odpoczęłam i zdecydowałam się iść prosto. Po prawej stronie drogi było teraz więcej tych figur, a potem rozpoznałam chylące się krzyże i zrozumiałam, że idę teraz wzdłuż cmentarza. Byłam już pewna, że idę właściwą drogą i że za tym cmentarzem, powinno być miasteczko.

Szłam prędko i bardzo chciałam, żeby ten cmentarz był już poza mną. Ale on wciąż był przy mnie i przyglądał się swymi nagrobkami jak przemykam się drugą stroną drogi, udając, że nie myślę o nim. Staralam się iść jak najciszej, by nie obudzić jakiegoś ducha. Duchy złych ludzi mają sen lżejszy...

Cmentarz się skończył, a miasteczka wciąż jeszcze nie było widać. Nagle uświadomiłam sobie, że ktoś jest poza mną. Szło się tu po murawie i wiatr ilściami szeleścił i nie słyszałam przedtem żadnych zbliżających się kroków. Pomyślałam, jeśli to duch, to lepiej nie oglądać się, a jeśli to człowiek, to lepiej jest obejrzeć się i stanąć.

Pomysł był dobry, ale tylko jasnowidz mógłby go poprawnie wykonać. Na szczęście, postać poza mną odezwała się przyjemnym męskim głosem. Obejrzałam się i zatrzymałam: był to bardzo wysoki i szczupły mężczyzna. Od razu wyjaśnił, że idzie z pociągu do tego miasteczka. Nie niósł jednak żadnej walizki ze sobą. Był uprzejmy, zaraz zaproponował, że poniesie mi mój wążek z rzeczami. Trochę też rozmawialiśmy, pytał czy mam kogoś znajomego w tym miasteczku, a ja: że nie, że jadę do Nowej Uszycy do ciotki w odwiedziny. Co do tej Nowej Uszycy — to rzeczywiście miałam tam kiedyś — w czasie rewolucji jeszcze, jedną ciotkę. Wszyscy krewni wyjechali w tym czasie do Polski, a ona tam została z chorym mężem i nic o niej więcej nie wiedziałam, ani

gdzie mieszka, ani też czy żyje jeszcze.

Nieznajomy zadawał mi pytania, ale o sobie nic nie mówił. Był przyjemnie troskliwy, zaproponował, że poniesie mi dziecko i raczej nie wyglądał na ducha. Szedł szybko dużymi krokami, miledzał teraz i wyglądało, że całkiem zapomniał o mnie. Ja biegłam obok i bałam się okropnie, że mi zniknie z Jeżkiem. Po chwili zwolnił kroku. Zdaje się, że zorientował się, że mi jest trudno za nim nadążyć.

Szliśmy już teraz razem. Ja zagadywałam do dziecka i dotykałam jego rączek czy są ciepłe. Były ciepłutkie. Dziecko nie spało. Ale widać, że było zadowolone, bo mrucało coś do siebie.

Znaleźliśmy się wreszcie w miasteczku: jakoś dość nagle pokazały się świątelnia, niskie i z rzadka rozsiane. Jednocześnie usłyszeliśmy szczekające pieski. Ludzi na ciemnych uliczkach nie było. Psów za to było dużo, lecz były zajęte swoimi sprawami i nie atakowały nas wcale. Mój „Duch“ zauważył, że trzeba w tym miasteczku zanoć, bo do Nowej Uszycy jest daleko. Zgodziłam się z nim, że trzeba i szliśmy dalej. Błotko chlapało pod nogami i deszczyk zaczął nas moczyć od góry. Myślałam, jak się ten wieczór zakończy? I miałam dreszcze od tej wilgoci chyba.

Zakończył się przyjemnie, bo jak wiadomo, zawsze bywa odwrotnie niż się spodziewamy.

W jakimś zajeździe znalazł się dla mnie nocleg. Otworzyły się drzwi. Wszłam z dzieckiem do sieni. Po jednej stronie zobaczyłam dużą, jasno oświetloną izbę. Był tam szabas właśnie i stół zastawiony świecami i liczną rodziną. Było ciepło, uroczyste i swojsko. Bardzo przyjemnie pachniało dobrym pieczywem i czymś jeszcze bardzo smacznym.

Zorientowałam się nagle, że jestem bardzo głodna.

Zaprowadzono mnie do malutkiego, zadziwiająco wypełnionego meblami pokoiku. O czym przekonałam się dopiero rano, bo pokój był teraz prawie ciemny, a malutka świeczka oświetlała tylko kawałek stolika.

Oprócz pokoiku do spania, dostałam tu jeszcze tę szabasową kolację. To była ryba, bułka i herbata z niczym. Ryba była pyszna, najlepsza ze wszystkich ryb, jakie kiedykolwiek jadłam. Dziecko też jadło, i zaraz zasnęło. Ja, mimo zmęczenia długo leżałam, patrzyłam na tę mrugającą świeczkę i myślałam o dziwnym, minionym dniu. I czy ten nasz towarzysz to człowiek — czy też duch. Jedno było tu pewne: że był bardzo dobry dla nas i że zapomniałam mu podziękować.

Ciąg dalszy nastąpi



# DRZEWIEJ...

Zamieszczamy trzeci odcinek szkicu poświęconego przeszłości człowieka i ziemi.

## KULTURY ROLNICZE NEOLITU EUROPEJSKIEGO

Głównym szlakiem posuwania się kultur rolniczych w głąb Europy była dolina Dunaju.

Obok tego, głównego szlaku, rolnictwo i znajomość hodowli zwierząt rozprzestrzeniły się w Europie także i innymi drogami. Jedną taką, bardzo ważną drogą były wybrzeża Morza Śródziemnego, od Wschodu ku Zachodowi, w dalszym ciągu iberyjskie wybrzeża Atlantyku, dalej galijskie brzegi, wybrzeże bretońskie, skąd jeden szlak prowadził na Wyspy Brytyjskie, a drugi wybrzeżem Morza Północnego, ku Danii i Skandynawii, a dalej ku Bałtykowi. Tu fale ludzkie i kulturalne obu szlaków łączyły się gdzieś w okolicach dzisiejszego Pomorza i Kujaw.

Był też i trzeci szlak, niemniej ważny, który szedł od dolnego Dunaju na północny-zachód, dolinami Prutu, Dniestru i Bohu ku górnemu Bugowi i Sanowi. Kultury te, poza znajomością rolnictwa i hodowli, niosły także znajomość garnceństwa.

Pierwszą z tych kultur Neolitu, jaka przyszła na ziemię polską od południa, nazywamy kulturą „ceramiki wstęgowej rytej“. W znaleziskach archeologicznych z tych czasów najczęściej znajduje się motyk i siekier; wskazuje to na kulturę zdecydowanie rolniczą. W doborze surowca na narzędzia widać chęć zastosowania najlepszego możliwie materiału, a w wykonaniu narzędzi widać dużą staranność. Charakterystyczną cechą ludności tej kultury jest osiedlanie się na możliwie najlepszych i najłatwiejszych do uprawy rolniczej ziemiach. Domostwa tej ludności były to pół-ziemianki, budowane słupowo ze ścianami z drzewa lub wikliny i gałęzi uszczelnianych gliną. W niektórych wykopaliskach archeologowie znaleźli resztki większych budowli, których długość dochodziła do ok. 40-45 m. Były to zapewne mieszkania całych,

kilkurodzinnych klanów. W okresach późniejszego Neolitu, ten system „długich domów“ zanika, i tylko dużo mniejsze „jednorodzinne“ schroniska są budowane. W skład elementów rolnictwa tej kultury wchodzi uprawa zbóż, uprawa niektórych jarzyn, jak groch, fasola, soczewica; oraz hodowla krów, kóz, owiec i świń.

Znane są już warsztaty tkackie, których ciężarki i przęśliki były wyrabiane z gliny. Tkactwem zajmowały się przeważnie kobiety. Ceramika tej kultury opiera się na wzorach wziętych z natury, względnie na pierwowzorach tych naczyń, wyrabianych przez praojców tych ludzi, w ich mało-azjatyckiej praojczyźnie, z tykwy, drzewa, skóry i kamienia. Na ziemiach Polski technika wyrobu tej ceramiki znajduje się już w bardziej zaawansowanych stadiach rozwojowych. W znaleziskach archeologicznych najczęściej znajduje się naczyn w formie czaruki kulistej, przeważnie z płaskawym dnem. Ogólnie ceramika ta dzieli się na wyroby delikatniejsze i starszannie wykonane i wykończone i wyroby o grubszych ściankach i mniej starannym wykończeniu. Z tego już nawet widać, że wśród tej ludności istniały różnice społeczne. Dobrze rozwijające się i bogate rolnictwo pociągało za sobą rozwój kultury domowej, a nawet towarzyskiej; pięknie ozdobione naczynia służyły obfitemu życiu domowemu, a także ucztom i zabawom. Lubowano się w ozdobach osobistych, brzoletach, wisiorach i innych drobiazgach.

## WIERZENIA RELIGIJNE

Religia ludzi tych czasów miała też swą podstawę w rolnictwie. Głównym bóstwem była „Matka-Ziemia“, dawczyni życia w przyrodzie, („Wielka Matka“ wierzeń mało-azjatyckich), bóstwo płodności, opiekunka bydła, roślin i wszystkiego, co żyje. Figuryнки, wykonane z różnych materiałów, przedstawiających to bóstwo, spotkać można bardzo często w znaleziskach archeologicznych

na przestrzeni od Iranu i Egiptu aż po Ren.

Poza tym ci pierwotni rolnicy uprawiali różne tradycyjne „magie“, przekazane im przez ich paleolitycznych przodków. Śladami tych „magii“ są znaleziska różnego typu amuletów (np. w formie miniaturowych siekier lub innych przedmiotów). Ogólnie, badacze tych zagadnień zgodnie stwierdzają, że we wszystkich tych prymitywnych wierzeniach rytuał i ceremonie odgrywają główną rolę. Słusznie twierdzi Thurnwald „...przede wszystkim w społeczeństwach, w których specjalizacja fachowa jest wysoko rozwinięta, duże znaczenie jest zawsze przywiązywane do ceremonii i rytualnych obrządków“. To właśnie miało miejsce w tych grupach rolników Neolitu, gdzie niektóre prace wymagały pewnego rodzaju „fachowości“ — naturalnie na poziomie ówczesnych kultur, i gdzie ich wykonywanie w pewien określony sposób przeszło z czasem w rodzaj rytuału, do którego kasta kapłańska dorzuciła jeszcze pewne ceremonie.

Najczęściej, w tych prymitywnych społeczeństwach rolniczych, największą rolę odgrywały ceremonie i rytuał przyjmujące związek płci jako symbol „przyczyny“ płodności w naturze. To symboliczne „małżeństwo“, w każdym plemienu ograniczone było najczęściej do jednej wybranej pary, męski partner uosabiał „ziarno“ (jako nasienie). Na okres lata spełniał on rolę przywódcy plemienia jako „Król-zbóż“ — lecz jako taki musiał, przed zimą, być pogrzebanym, aby powstać na nowo z wiosną. W praktyce, początkowo, był rzeczywiście zabijany w ofierze „Wielkiej Matce“ (lub „Matce-Ziemi“), a przez zimę rządy sprawowała królowa. Na wiosnę nowy „Król-Zbóż“ był wybierany, według zwyczaju z tej samej rodziny (brat, syn), lub przynajmniej z tego samego klanu totemowego. Początkowo władza była matriachalna i rody liczono według linii żeńskiej (podobnie jak, wcześniej,

(Ciąg dalszy na str. 18)

wśród myśliwskich i zbieraczych plemion Mezolitu).

### ZRÓDŁO „BOSKIEGO“ POCHODZENIA WŁADZY

Z biegiem czasu, ofiarę „Króla-Zbóż“ zastąpiono ofiarą niewolnika „koronowanego“ na ten moment, a później jeszcze ofiarą zwierzęcia, szczególnie tam, gdzie niewolnicy stali się bardziej wartościowi jako siła robocza. W ten sposób władza rzeczywista z wolna poczęła przechodzić w ręce linii męskich; szczególnie gdy taki „Król-Zbóż“ okazał się zdolnym przywódcą swego plemienia także i w potrzebie wojennej. Tu właśnie leży początek i źródło idei „boskiego“ pochodzenia władzy królewskiej czy książęcej, później tak rozwiniętej w kulturach „miejskich“ klasycznych starożytności; a jeszcze później przejętej przez społeczeństwa średniowieczne różnych religii, idei tak ułatwiającej wytłumaczenie „nadludzkiego“ pochodzenia wszelkiej władzy. Jedną bardzo ważną cechą tych wszystkich religii neolitycznych stanowiła zasada, że człowiek był uważany za część tej wielkiej jedności, jaką tworzy Ziemia-Matka i wszystkie jej twory — (a więc i ludzie) jej dzieci.

### KULTURA MATERIALNA NEOLITU

Charakterystyczną cechą całej epoki Neolitu był wyraźnie zaznaczający się podział pracy. Kobiety przędły i tkaly, okopywały motyką poletka uprawne i u większości plemion zajmowały się wyrobem ceramiki. Mężczyźni zajmowali się hodowlą zwierząt domowych, górnictwem (kamienia do wyrobu broni i narzędzi), ścinaniem drzew i budownictwem, myśliwstwem i rybołówstwem oraz wyrobem narzędzi i broni. Ale nie tylko podział pracy pomiędzy kobiety i mężczyzn zaznaczył się w czasach Neolitu. Zaznacza się również, po raz pierwszy tak wyraźnie, podział pracy w sensie rodzaju wykonywanej pracy, specjalizacja „fachowa“. Oprócz samego rolnictwa, jako takiego, zaczynają się wyodrębniać przemysły „chałupnicze“ (wyrób broni, narzędzi, ceramika, wyprawianie skór, tkactwo etc.).

W epoce tej poczyna także rozwi-

jać się handel, już jako specjalny zawód uprawiany przez tylko pewne jednostki w ramach plemienia lub nawet przez pewne całe plemiona czy grupy etniczne, przy zachowaniu symbiozy z grupami zajmującymi się rolnictwem. Rolnictwo nadal jednak, i jeszcze na długie tysiąclecia, zachowa swą przodującą rolę. W związku z rozwojem handlu, i z nim równoległe, następuje rozwój środków komunikacji i transportu (statki i łodzie rzeczne i morskie, wynalazek koła, w związku z hodowlą — oswojenie osła, onagra i konia, też jako środków transportu). W ogóle można śmiało powiedzieć, że Neolit jest epoką, w której zaczyna się właściwy rozwój podstaw całej naszej obecnej kultury i cywilizacji. Epoka ta zamyka się w okresie dwóch i pół tysiąca lat; na naszych ziemiach pomiędzy ok. 4.200 lat przed Chr. do ok. 1.700 lat przed Chrystusem.

### KULTURY NEOLITU

Po okresie kultury „ceramiki wstęgowej rytej“ nastąpił okres szeregu kultur, przeważnie jej pochodnych; ale były też okresy na naszych ziemiach, w których panowały kultury zupełnie od niej niezależne, często napływowe. Do kultur pokrewnych kulturze „ceramiki wstęgowej rytej“ zaliczamy, we wczesnym okresie Neolitu, (4.200-3.500 lat przed Chr.), kultury takie, jak „Bukowogórska“, której ojczyzną były północne Węgry; jej elementy przeniknęły doliną Popradu i przełęczą Dukielską na tereny dzisiejszej Małopolski środkowej. Przyniosły ją nieliczne grupy myśliwców karpaccich, dla których góry nie były specjalną przeszkodą. Znaleźiska tej kultury są raczej rzadkie (pow. Proszowice i pow. Sandomierz). Nie odegrała ona zbyt wielkiej roli w rozwoju kulturalnym całości naszych ziem, ale zaznaczyła się jednak i wywarła swoje piętno na późniejszych kulturach Małopolski. W okresie Środkowego Neolitu wyróżniamy kultury:

1. Kultura „ceramiki kreskowokłutej“, stanowiąca dalszy ciąg rozwojowy „ceramiki wstęgowej rytej“. Rozwinęła się ona na terenach nad środkową Odrą, Wartą i Prosną. Na innych ziemiach Polski brak śladów

tej kultury. Narzędzia tej kultury (jak zresztą w innych kulturach z tego okresu) są wyrabiane z krzemienia, a także, ze sprowadzanego ze Słowacji, obsydianu.

2. Kultura „Lendzielska“ (tak nazwana od m. LENGYEL na Węgrzech), jest także pochodną kultury „ceramiki wstęgowej rytej“. Przeniknęła ona do południowej Polski (jak i większość kultur naddunajskich), przez bramę Morawską i przełęcze zachodnio-karpackie. W tej kulturze spotykamy, pierwszą na terenach Polski (w znaleziskach w Jordanowie Śląskim i w Zofipolu, w ziemi krakowskiej), ceramikę malowaną — czarną farbą na naturalnym tle naczyń, wzory meandryczne i zygzakowate (widoczny wpływ starszej sztuki Paleolitu ukraińskiego).

Bardzo ważnym momentem, w epoce tej kultury, jest fakt ukazania się pierwszych wyrobów metalowych, z miedzi, początkowo sprowadzanych, ale niedługo potem, wyrabianych na miejscu. Kultura ta, na naszych ziemiach, jest kulturą przełomową, łączy ona okres kamienny z okresem metali, w historii kultur i cywilizacji ludzkości.

Ciąg dalszy nastąpi)

Jan Pększyca

BIBLIOTEKA „KULTURY“

BORYS PASTERNAK

**DOKTÓR ŻIWAGO**

NOWE

wydanie głośniejszej powieści

Przekład

PAWŁA HOSTOWCA

Str. 544.

Cena: dol. 5.50

sh. 38/6

**OGŁOSZENIE ZAMIESZCZONE W „ORLE BIAŁYM“  
CZYTAJĄ POLACY  
W 25 KRAJACH ŚWIATA**



# OJCIEC — WIESZATEL

**B**IBLIOTEKA miasta Wiednia cieszyła i nadal cieszy się najlepszą reputacją wśród międzynarodowych erudyków. Organizacja instytucji jest tak sprawna, a dostęp do materiałów tak ułatwiony, że główna troska studiujących, ekonomia czasu, znalazły najszybsze rozwiązanie. Uprzejmość i zaradczność personelu zasługuje na najwyższą pochwałę.

Dla przygodnego polskiego szpescarza szczególnie cenne są bardzo liczne POLONICA. Można na nie natrafić na każdym kroku, na wielu półkach. Za ostatnim pobytom wpadł mi w ręce szczególnie ciekawy okaz. „Wpadł mi w ręce“ proszę traktować jako eufemizm. Nie mi nie „wpadło“, tylko mój stary, znajomy kustosz pokazał mi z daleka cienki, nieco poszarpany brulion i tajemniczo zapewnił: „Das wir Sie interessieren. Istne rarissimum. Właściwie jedyny egzemplarz na świecie. Drugi znajdował się w aktorskiej rodzinie sławnych Thimigów, trzeci spoczywa w jakimś zamku styryjskim i nie ujrzy nigdy światła dziennego. Wszystkie inne — było ich około dwanaście — zaginęły podczas ostatniej wojny.“ Instynktownie wyciągnąłem rękę po ten drażniący skarb. Mój rozmówca taktownie nie zauważył mego obcesowego zachowania, zamknął zeszyt w szufladce, podszedł do przeciwległej ściany, nacisnął na jeden z niezliczonych guzików i podał mi nieco poźółkłą fotokopię.

\* \* \*

Zwierzania Ojca Philippa Müniha, „nadwornego“ kapłana słynnego wiedeńskiego domu karnego (Strafhaus) utrwalone były wyraźnym, wprost kaligraficznym piśmem. Właściwie — nawet nie zwierzania, raczej protokół tj. suche, dokładne sprawozdanie z trzydniowego pobytu w celi skazańca, i ostatniej podróży na miejsce stracenia. Odosobnienie było tak zupełne, że prócz strażnika i lekarza, którego wzywano nie do więzienia, lecz poważnie chorego księdza, nikt nie przerwał osobliwego tête à tête. Do głównych obowiązków czcigodnego

duszpasterza i autora psychologicznie niesłychanie ciekawych zapisów należało odprowadzenie kandydata z celi na miejsce egzekucji. Philip Münich odbywał tę Golgotę tak często, że złośliwy dowcip uliczny przydał mu niezbyt zaszczytny tytuł: Der Galgenpater, po polsku: Ojciec- Wieszatel. Dzięki tej funkcji miłośniery pater wdeptał w aferę naszego niesławnego rodaka, mordercy i rabusia Jaroszyńskiego. Przykro mi bardzo, że imię zatarło się w mej pamięci. Stare kroniki wiedeńskie poświęciły tej sprawie dużo miejsca i jeszcze po latach powracano do niej nie tyle ze względu na osobę bohatera, ile jego przyjaciółki, pięknej i zdolnej aktorki-subretki, słynnej **Therese Krones** ulubienicy dworu i ludu wiedeńskiego. Ubiegali się o jej względy i łaski możniejsi od naszego Polonusa, ale serce kobiety ma swoje kaprysy. Ciągnie czasem w najnieodpowiedniejszą stronę. Zresztą na jej usprawiedliwienie, należy dodać, że Jaroszyński nie występował jako pierwszy lepszy konkurent. Przybrał wprawdzie tylko skromny tytuł hrabiego, ale z nim czy bez niego reprezentował obyczaje co najmniej wielkiego księcia. Najwytworniejszym wozem zaprzęgniętym w parę okazowych koników paradował po Praterze, a każdy wieczór spędzał przy boku strojnych kobiet w łoży jednego z teatrów. Podobno miał prawny tytuł (do nazywania się „marszałkiem szlachty mohilewskiej“. Ale kto go tam wie! Wychowano go bardzo starannie, skoro celem edukacji skierowano do wiedeńskiego, wielce ekskluzywnego „Plebansche Institut“. Po powrocie do ojczyzny służył z wyróżnieniem w armii i odbył pod ks. Poniatowskim niejedną kampanię. Po przejściu do służby cywilnej ożenił się z bardzo posażną panną. Majątek nie tylko wymknął się szybko z nieco hojnych rąk, ale nawet powierzona mu kasa państwa wykazywała pewne niedobory. W tej nieprzyjemnej sytuacji przypomniał sobie błogie lata spędzone nad pięknym, modrym Dunajem. Zlikwidował więc

potajemnie resztki fortuny i rozpoczął nowe życie w habsburskiej stolicy. Na co właściwie liczył trudno wywnioskować. Żył tak wystawnie, że wkrótce znalazł się bez grosza i bez zajęcia, w obcym, nieco wymagającym środowisku.

Przypomniał sobie wówczas swego starego profesora matematyki, niejakiego Josepha Konrada Blanka, do którego czasem zachodził i który zwierzył mu się, że przechowuje w domu większą sumę pieniędzy. Idąc po linii najmniejszego oporu, postanowił przywłaszczyć je sobie na właściwszy użytek. Swój chwalebny zamiar przeprowadził szybko, po czym uznał za stosowne spakować manatki, aby opuścić gościnne miasto.

Jaroszyński wiedział jednak, co jest winien swemu szlacheckiemu pochodzeniu, przybranemu tytułowi i reputacji narodowej. Siedząc już na tobołkach spakowanych, wydał pożegnalną ucztę, głównie dla swej drogiej Teresy, ale również dla kilku doborowych przyjaciół. Odbyła się w prywatnym apartamencie hrabiego, przy bardzo ekskluzywnym Trattnerhoff. Niejaki Bäuerle, zapewne pseudonim, opisał dokładnie w trzeciorzędnym romansie, zatytułowanym „Therese Krones“ szczegóły tej upiornej uczy. Zainteresowanie wydarzeniem i primadonną było tak żywe, że romans przerobiono na scenę. Niestety, skromną „Wahrheit“ zmieszano z tak wylewną „Dichtung“, że dla przedmiotowego historyka pozostaje jako źródło jedynie pamiętnik „Wieszatela“.

Pocziwy pater zadał sobie wiele trudu, aby potomności przekazać z ust Jaroszyńskiego niespaczony obraz zbrodni, i swojej roli w tej smutnej aferze.

Cenzura wówczas była tak surowa, że o wydaniu drukiem swego sprawozdania nie mógł marzyć. Jaroszyński nie liczył się ani ze stanowiskiem osób, które kompromitował swoją znajomością, ani z krytyką stosunków i ludzi, którzy go rzekomo pchnęli na drogę zbrodni. Poza tym jego ataki pod adresem kongregacji Li-  
(Ciąg dalszy na str. 20)

guorianów, oficjalnych opiekunów więźniów (Pater Münich miał obowiązek jedynie odprowadzenia) nie uszłyby skreślenia nawet liberalnego cenzora. Tak więc rozsądny duszpasterz ograniczył się do własnoręcznie spisanej relacji.

Te suche zapiski rzucają nie tylko światło na psychopatię naszego rodaka, ale również na cudowną znajomość duszy ludzkiej, na anielską cierpliwość, konsekwencję i pokorę, jakie pater okazał, aby przełamać upór, pychę i bezbożność lekkomyślnego światowca, zmanierowanego pseudoarystokraty, rozrzutnego kobieciarza, a wreszcie pospolitego mordercy. Walka skończyła się zwycięstwem krzyża, a najwyższą nagrodą krzyżowca było westchnienie skazańca: Gdybym ciebie, ojczu, poznał wcześniej, nie znalazłbym się w tym miejscu.

Ojciec Münich wywiązał się z misji przedmiotowego sprawozdawcy wzorowo. Opis jego pióra zaprzecza wszelkim fantazjom na temat pożegnalnej orgii przy dźwiękach muzyki, strzelaniu korków i rewii obnażonych piękności. Afera sprowadza się do tego, że „hrabia“ Jaroszyński zaprosił dwie aktorki z teatru Leopoldstadt, demoiselles Krones i Jäger jako też barona z poselstwa rosyjskiego. Jedzenie zamówił w pobliskiej restauracji, płacąc pięć guldenów za couvert. Nastrój jednak nie był zgoła weselny, więcej szekspirowski niż Offenbachowski. Jaroszyński jakby czuł zbliżającą się katastrofę i nawet przebój Teresy „Brüderlein fein es muss geschieden sein“ nie rozweselił ponurego gospodarza. Rozmowa toczyła się na temat sensacyjnego morderstwa. Najdobitniej oburzyła się Teresa, zapewniając, że nawet choroba nie wstrzyma jej od udania się na miejsce stracenia, jeśli tylko schwycą sprawcę. Tego było „hrabiemu“ za wiele. Obdarował obie damy srebrnymi naczyniami i zachmurzony wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Po kilku minutach doszły nieco zdziwionych gości dziwne szmery i podniesione głosy, a po chwili ujrzeni wypchniętego Jaroszyńskiego ze związanymi rękoma na grzbiecie. Towarzyszył mu umundurowany komisarz policji. Aktorki

nie wypadły z roli i obie zemdlały. Zimne polewanie przywróciło im przytomność. Zawstydzona Krones zapytała komisarza, co jej wypada uczynić. Niecierpliwy brutal odburknął: „Verhau Dich“, co w danej sytuacji znaczyło: wynoś się! W każdym razie niezbyt delikatne odezwanie się do miejscowej sławy.

Właściwie i Teresa Krones była naszą rodaczką. Pochodziła ze Śląska, debiutowała z wielkim powodzeniem w operetkach i ludowych sztukach. Jej „Glanzrollle“ była w słynnej ongiś sztuce Raimunda „Bauer als Millionär“. Zmarła bardzo młodo i zostawiła trwałe wspomnienie w kronikach teatralnych Wiednia z pierwszej połowy XIX. stulecia. Jaroszyński niezachwianie zaprzeczał oskarżeniu. Przy swojej taktyce trwał przez pięć miesięcy. Istniało jeszcze wówczas torturowanie, w szcztkowej postaci, ale zawsze niezbyt znośne. I tak nasz pechowy Jaroszyński otrzymał pewną ilość różg. Sarmata znalazł się w kropce. Chłostę uważał za więcej degradującą, aniżeli mord i rabunek. Wyspiewał więc całą prawdę, przyjął wyrok śmierci ze stoickim spokojem, prosząc jedynie sędziów, aby oszczędzili mu publicznej proklamacji i pokazu na „Schandbühne“ (rodzaj pręgierza) na Hohe Markt. Sędziowie nie okazali zrozumienia dla szlacheckich kaprysów. Pater Münich zapewnia, że jedynie nonszalanckie zachowanie się, graniczące z zuchwalstwem, pozwoliło złamanemu więźniowi przeżyć Gehennę.

Więźniem zajęli się z obowiązku dwaj bracia Liguorianie. Jaroszyński poczuł do nich tak nieprzepartą antypatię, że zażądał polskiego księdza. Jeden z braciszków ośmielił zapytać się, czy hrabia rozumie po francusku. „Lepiej od ciebie — brzmiała wyniosła odpowiedź. — „A czy potrafi odmówić „Ojczu nasz“? Teraz nastąpił wybuch: „Czy myślisz, że masz z chłopem do czynienia? Jestem kawalerem, wychowanym we Wiedniu, wynoś się natychmiast, głupcze!“

Dwóch innych mnichów, przysłanych po tym zajściu ignorował do tego stopnia, że zniecierpliwiony wiceburmistrz, opiekun więzienia, poruczył Wieszatelowi misję oswoje-

nia dzikiego Polaka. Ojciec Münich nie był chyba pospolitym klerykiem, skoro nie panujący nad sobą więzień przyjął go grzecznie i poprosił o dotrzymanie mu towarzystwa. Skarżył się gorzko na doświadczenie z Liguorianami i zauważył, że wygnanie tego zakonu z Polski było uzasadnione.

Münich spędził 72 godziny w celi skazańca. Podjął się pracy herkulesowej. Nie opuścił swej owieczki. Stał obok niej przy pręgierzu, odbył z nią ostatnią podróż do Spinnerin am Kreuz, gdzie czekało na nich 20.000 widzów i tam wygłosił swoje ostatnie kazanie. Münich skrętnie zapisywał każdy ludzki odruch Polaka. Notuje z widocznym zadowoleniem, że po wizycie lekarza Jaroszyński wyraził ubolewanie i wdzięczność z jakim jego spowiednik trwał przy nim. Ksiądz był nielada psychologiem. Przejrzał na wskroś duszę rogatego szlachezca. Nie tytułował go inaczej aniżeli per hrabia, chociaż znał najdokładniej przeszłość samozwańca.

Liguorianie zazdrośnie strzegli swoich praw. Ostatecznie przygotowanie zbawienia tak zatwardziałego zbrodniarza nie powinno się było im wymknąć. Wysłali więc jako delegata samego rektora. Jaroszyński przybrał pozę niedowiarka i szydercy. Opowiadał pogardliwie o ich kościele św. Benno w Warszawie (nigdy nie słyszałem) i przyzwisku „Bennoci“, które przylgnęło do mnichów. Rektor próbował uderzyć w światowy ton i zaczął od pochwały pogody, co Jaroszyński zbył zapewnieniem, że go to nie interesuje. „W niebie panuje również piękna pogoda“ ciągnął pomysłowy rektor. „Czyś ty stwierdził naocznie, czy przybywasz stamtąd“? Gdy wszystko zawiodło zjawił się arystokratyczny mnich, pater Graf Welserhimb. Ufny w swoją rangę i urodzenie nie chciał opuścić celi. Jaroszyński urządził taką awanturę, że sprowadzono burmistrza.

Zaciekawiony tą wzmianką począłem szperać za Liguorianami. Ustaliłem, że chodzi o Congregatio sanctissimi Redemptoris, a więc kongregację Najśw. Zbawiciela, założoną w XVIII wieku przez św. Alfonsa de Liguori. Do Polski zaprosił ich, a raczej zatrzymał, w drodze

(Dokończenie obok)



# KONKURS „ORŁA BIAŁEGO“

B.D.I.C

Termin nadsyłania prac na KONKURS „ORŁA BIAŁEGO“ upłynął 30 września br. Tematem KONKURSU był dzienniczek obejmujący 7 dni dowolnie obranego tygodnia i dający autentyczny obraz myśli i przeżyć tego okresu.

Poczynając od bieżącego numeru, będziemy zamieszczali te spośród nadesłanych prac, które odpowiadają warunkom konkursu.

Po ukazaniu się ostatniego dzienniczka redakcja zwróci się do czytelników z prośbą o wzięcie udziału w głosowaniu korespondencyjnym celem wyróżnienia najlepszej pracy. Autorzy dzienniczek ogłoszonych przez nas drukiem otrzymają normalne honorarium autorskie oraz do wyboru 2 z listy 10 książek. Autor dzienniczka wyróżnionego otrzyma potrójne honorarium.

Redaktor „Orła Białego“ pragnie w tym miejscu podziękować gorąco p. Krystynie Brzozowskiej za trud włożony w przygotowanie konkursu.

„IRENA“

## Z KRAINY PANA BALCERA

LUTY 19... NIEDZIELA

Właśnie Brazylijczycy obchodzą karnawał. Huczny... i bardzo drogi. Kosztowne kostiumy, nieraz bardzo ładne i pomysłowe; wymagające wiele pracy i pieniędzy. Sławne Sambry riowskie... Dziś upał. Nadchodzą chmury. Nieraz burze tropikalne są bardzo silne i niebezpieczne. Trzeba jednak przyznać, że nawet tam u nas, w petli dnistrzańskiej, latem szalały burze i grad. Czasem jodelki przy domu świeciły ogniami św. Elma. — Dziś niedziela, zwykle tam u nas wszyscy szli do kościoła. Tu, w Południowej Ameryce, moja pobożność spada. Dlaczego? Przecie jestem wierząca; razi mnie w ich kościołach brak powagi, jakiegoś uczucia ciepła i miłości... Brak powagi Domów Bożych i tej specyficznej słodczy rozmodlenia wiernych. Poza tym psuje nastrój hałas

do Kurlandii, nuncjusz papieski w roku 1786. Osiedlili się w Warszawie i przejęli kościół św. Benno. Cieszyli się wielkim uznaniem, odprawiali aż cztery msze dziennie, dwie po polsku, dwie po niemiecku. Opiekowali się szczególnie troskliwie sierotami po ofiarach rzezi praskiej.

Opis podróży na miejsce egzekucji zajmuje dużo miejsca w sprawozdaniu księdza. Podaje również szczegółowo treść listów, które skazaniec napisał na jego prośbę do rodziny w kraju.

Ojciec Münich zasłużył sobie na lepszy przydomek aniżeli Galgenpater. Wyprzedził znacznie swój czas. Łączył w sobie dwie ważne wiedze: teologię i psychologię. Ecce pater!

F. Goldschlag

bawiących się dzieci, szczekanie i walenie się psów, pewne zaniedbanie czystości. Wszędzie walają się papierosy, gazety, wszędzie kurz. Może to są drobniaki, a jednak nasze kościoły ustrojone kwiatami, usłane dywanami, na ołtarzach obrusy ukrochmalone i wyronkowane! Organy... jakby stworzony akompaniament do modłów. Nie zastąpią ich płyty, choćby nawet dobrane. A brak łaciny — to katastrofa! Czy mógł być wspanialszy język do sławienia Boga i rozmowy z Nim? Jeszcze Sienkiewicz pisał, że łacina we mszy łagodzi tęsknotę do Ojczyzny... Niedziela na obczyźnie jest najprzykrzejszym dniem tygodnia. Tam u nas, w Europie, a szczególnie w Polsce, nie wiedziałam jak pomnożyć godziny niedzielne. Aby wystarczyło na cały program dnia wolnego. Goiania jest dużym miastem, jednak u nas, czy na wsi czy w mieście było inaczej.

### PONIEDZIAŁEK

Jadę w towarzystwie mej siostrzenicy, jej córki i męża do sąsiedniego miasta Annapolis. Niedaleka to podróż, lecz bardzo ładna. Droga wśród gór pokrytych lasem i podszytych bujną zielenią. Jest pora deszczowa. Powietrze upajające. Spadł niewielki deszcz i pachnie miętą. Nasz wzrok — i my, z całym samochodem, cała droga, a nawet osiedla i miasta gubią się w tej wspaniałej wielkości Brazylii. Wyglądamy jak zabawka na rękę wielkoluda. Przerzeń i pustka bez końca — i to w stanie Gojaz, już osiedlonym. A dalej... dalej... to cały czar Brazylii, ta jej wielkość, objęta tylko niebem. Jadąc, widzi się i czuje lepiej. Niezliczone auta tylko migają. Nieliczni piesi, czasem wąż, który nie zdołał uciec, czasem ptak uderzy w szkło samochodu. Przypomina mi się krajobraz polski pod

Rzeszowem, gdzie spędziłam trzy lata. — Wisłok wśród pól, dalekie, ale już widoczne i pełne piękna Tatry. Chyba z całej Polski najlepiej lubię tę Rzeszowszczyznę i cudowne płaszczyzny ziem pod Warszawą. Wyrastające powoli wieże, jak pisał Sienkiewicz...

Brazylia, Amazonia, jedyny rezerwat przyrody w świecie, tej naprawdę jeszcze dzikiej przyrody. Może naprawdę drzewo z Amazonii pomoże ludzkości zwyciężyć straszną chorobę? — Ileż tu ludzi i coraz to inni. Typy stare, portugalsko-miejsce. Szczupły rezerwat Indian, masa Murzynów, Japończyków, Włochów, Niemców. Są Cyganie, Indusi, Syryjczycy, Hiszpanie, szczupła garstka Polaków. A szkoda! Nawet tu, w Goianii, jest kilkanaście rodzin polskich, przywiezionych tu z obozów, a po miastach jest sporo samodzielnie przybyłych z Polski. Jakoś dają sobie radę. Każdy dom polski otoczony drzewami, ogródkiem, wydaje się zagospodarowany. Szkoda, że jest tu nas tak mało. Nawet widać dorobek w rodzinach. Bieda, że młode pokolenie gwałtownie się wynaradawia. Zaledwie w paru rodzinach mówi się po polsku. Chyba to kompleks niższości? Nie wiadomo z jakiej racji. Ileż widziałam tu różnej nie tylko biedoty, ale ludzi którzy nic nie chcą robić (łatwy klimat) i nic sobie z tego nie robią, że często nocują gdzie się da... i jedzą co się da. W miastach kontrasty: luksus, cywilizacja, bieda, postępek i zacofanie. Jakoś to się wszystko godzi. A może to ten klimat — słońce, te przepiękne morza, ta darmowa wspaniała roślinność? Bez przesady — posadzić pręt czy kijek do ziemi, aby to tylko podlać, za parę lat prześliczne drzewo czy bujne krzewy. Rośnie to wszystko za darmo i tylko, aby go nie niszczyć — już jest i pachnący banan

(Ciąg dalszy na str. 22)

i wspaniały mamon... Myśli moje w czasie krótkiej podróży: piękna Brazylia, choć obca. Obca, lecz piękna. Mówią, że ma przyszłość... W Europie znałam dobrze Rumunię, oczywiście, Polskę, kiedyś, dawniej, Ukrainę. Byłam we Francji, Portugalii i Holandii. Tęsknię do niewdzięcznej Europy, choć była nie matką, a macochą dla wielu... Kocham moje rodzinne miasto — Warszawę. Oto moje myśli poniedziałkowe.

## WTOREK

Czego brakuje Polakowi na obczyźnie? Uważam, że tych swoich własnych, z dziada pradziada codziennych obyczajów. Poza tym książek. Jest ich tyle — cóż z tego. Nie można ich kupić w Brazylii, a wypisywać trudno i wielki koszt. A przecież nie stoi na miejscu: coraz nowe zdarzenia, idee, nowiny, problemy... Nie tylko nie można brać udziału w jakichś dyskusjach, ale brak nam nowych pojęć, wniosków, idei, brak swego słowa pisanego, gazet, książek — i jeszcze raz książek. My starsi, ale dzieci, młodzież, czy tylko utkną na cudzej literaturze? Mamy w domu dziecko 6-letnie, dziewczynkę, bardzo zdolną. Mówi w domu dobrze po polsku. Zapisana jest już w szkole prowadzonej przez mniszki Hiszpanki. Szkoła bardzo dobra... Ale jak ją, to dziecko, zachować dla Polski? Jeśli nawet przyroda przeszkadza... Nie wie ona co to zima, śnieg, czy lód, czy wiosna... Naprawdę robimy co tylko w naszej mocy, aby wychować ją na Polkę. Czy to się uda, czy nasze starania będą tak mocne, że zwyciężą cały obyczaj obcego narodu? Są tu problemy i smutki Polaków na obczyźnie. Dlaczego o tym piszę w ten wtorek? Dlatego, że poszła nasza Lilianka po raz pierwszy do szkoły.

## ŚRODA

Dziś dla mnie przykry dzień. Na własnym podwórzu, nieostrożny szofer zabił kochanego psa. Miał on tyle lat, ile ja tu jestem i był moim przyjacielem... Dla zwierząt mam bardzo czułe serce. W Południowej Ameryce źle się z nimi obchodzą. Konie zmęczone pracą, nie pojone, nie karmione, bez stajni — błakają się po tych wielkich polach. Konie obecnie to chyba największa ofiara ludzka. Minął ich złoty wiek w tym zmotoryzowanym, głodnym świecie. Czytałam nawet we francuskim piśmie o biednych, rozumnych koniach mordowanych na befsztyki. Inne zwierzęta mają tę ulgę, że nie pracują. A szlachetne konie, spracowane, idą na rzeź... Straszny jest ten nowoczesny świat, bezlito-

sny i często bezmyślny. Gdybym była bogata, miałabym przytułek dla zwierzęcej biedoty. Mają rację wegetarianie.

## CZWARTEK

Powtarzam jeszcze raz: Lilianka w szkole. I co za gorzka ironia, to już trzecie pokolenie uczy się w obcym języku. Moje czasy... prawie już przedhistoryczne. Pierwsza wojna światowa i rewolucja 1917 roku wyrzuciła nas z naszego prawdziwego domu. Druga wojna zmusiła uczyć się po rumuńsku, a teraz nasza dziewczyneczka ma język portugalski. Ciekawa jestem czy jaki naród tyle przecierpiał w swej historii co nasz? Tyle Polaków mieszka za granicą, dlaczego nie powstał jakiś związek Polaków poza krajem? Może jest coś podobnego i ja o tym nie wiem? Chyba mogłaby być jakaś pomoc kulturalna. Znam tu kilka rodzin niemieckich. Przesyłają oni jedni drugim masę pism, książek... Oplata niewielka, ponieważ jest masowa. To samo mają (biali) Rosjanie. Dostają z Ameryki dużo gazet i książek, — my nie mamy nic. Może nikt nawet nie wie (oczywiście poza Rio i Sao Paulo), że są i w innych miastach brazylijskich Polacy, zgubieni w tubylczym elemencie. — Dużo w Goianii jest cudzoziemców: Syryjczycy, Japończycy, Hiszpanie, Niemcy, Włosi. Wszyscy wymienieni trzymają się razem, tylko my, sami... A przecie nie jest to cecha polska. Przeciwnie. Gdy po wojnie wróciłam do Polski w opłakanym stanie materialnym, w dodatku że mąż mój wówczas chorował, zupełnie obcy ludzie zrobili dla nas wszystko co mogli. Dostałam prawie zaraz pracę i mieszkanie. Zrozumiałam wówczas, że przyjechałam do domu. Niech moje słowa nie godzą w nic i w nikogo. Są to tylko rozmyślenia Polki za granicą.

## PIĄTEK

Dziś skwar. Temperatura ponad 26 stopni C. Upały znoszę doskonale, byle tylko nie iść dłużej piechotą. Najgorsza jest tak zwana „bruma seca“, ta wrześniowa posucha, niby to wiosna... wstaje wówczas dzień rozpalony, ślepy. Słońce w czerwonym kole, prawie go nie widać. Trudno promieniom przebić obłoki pyłu i mgły gorącej. Zrozpaczona ziemia czerwona (taka jest w Goiazie). Schną trawy i delikatniejsze drzewa. Groźna bruma seca zakrywa błękit nieba. — Dzieli nas od niej jeszcze cała brazylijska zima. Grasuują wówczas wszelakie grypy i katary. Gdy piszę do przyjaciół w Polsce — śmieją się z takiej zimy, a jednak daje się we znaki. Tropiki też mają swoje kaprysy. Może

nawet ten cudowny nasz śnieg, do którego tęsknię, jest zdrowszy. Śmieszają mnie często pytania: „Jakie tam u was kwiaty?!“. Co za omyłka! Takie cudowne kwiaty jak w Polsce i w Rumunii trudno spotkać. Pamiętam całe stopy różowych i fioletowych hiacenty w targach w Slatynie (Rumunia). To były tam owoce i kwiaty!

Od kilku lat mieszkam w Goianii, stolicy wielkiego estado. Goiania ma dopiero 33 lata, a już jest ogromnym miastem. Ile dróg prowadziło mnie do Południowej Ameryki (moja siostra zna poza Brazylią, Peru i Boliwią): dwie wojny światowe i przeróżne rewolucje. Trudno być Polakiem za granicą. Jednak nigdy nie wyrzeknę się naszej tysiącletniej historii, naszych zwyczajów, kultury, sztuki i literatury. Pomimo, że dużo dodatnich cech mają inne narody, nie ma dla mnie lepszego i więcej kochanego niż nasz własny, dzielny, zdolny i bohaterski naród.

## SOBOTA

Często przychodzą do nas młodzi Amerykanie, którzy są mormonami i starają się znaleźć chętnych do przyjęcia tej religii. Podziwiam ich wytrwałość i poświęcenie. Całą swą pracę i pobyt w Brazylii opłacają z własnych funduszy. Całymi dniami poszczą na intencję nowych wiernych. Są to młodzi studenci przeróżnych uniwersytetów i pomimo tego każdy poświęca rok na niesienie swej wiary innym. Nigdy bym nie mogła zostać mormonką, mam jednak uznanie dla pracy tych młodych ludzi. Zresztą Goiania, a może i cała Brazylia, roi się od wszelakich religii. Począwszy od wstrętnej macumba i spirytystów — aż do baptystów, luterałów, ewangelistów i innej braci... Pełno dziwnych kościołów z dziwnymi nazwami. Bardzo trudna jest praca kościoła katolickiego wśród tej gmatwaniny wierzeń i zabobonów. Było to dla mnie nowiną, gdy tu przyjechałam.

Pragnę jakoś zakończyć te swoje siedem dni. — Wyobrażam sobie jak marnie będą wyglądać w porównaniu z innymi wypowiedziami. Tyle utalentowanych ludzi pewnie przyśle swe myśli „Polaków z zagranicy“. Mój dzienniczek jest całkowicie prawdziwy. Nic nie zostało wymyślone. Każdy mój dzień nie miał nic szczególnego, żadnej sensacji. Jednak każdy naprawdę był inny i miał swe smutki i lepsze chwile. Wszystko było prawdziwe, choć nikłe i nieefektywne. — Można byłoby napisać lepiej, ciekawiej, cóż — moje 7 dni były prawdziwe.

(Dokończenie obok)

Orzeł Biały, listopad, 1967



## LEKCJA POLSKIEGO

Listopad — 19...

## PONIEDZIAŁEK

Szary dziś dzień. Zimno, że aż nieprzyjemnie chodzić po ulicy. Do tego jeszcze cała fura roboty szkolnej. Jedynym sposobem, by wobec perspektywy roboczego tygodnia jako tako się trzymać — to uzbroić się w filozoficzny spokój i powiedzieć sobie: każda chwila zbliża cię do końca tego tygodnia. Zresztą można się pocieszać, że jeszcze cztery tygodnie i Boże Narodzenie. Narzeczcie — można iść spać z satysfakcją — zadania odwalone. Och, natrętna myśl musiała właśnie teraz przyjść, gdy się człowiek nieco rozchmurzył, obiecali nam na jutro klasówkę z rosyjskiego. Gaszę światło, nie tu myślenie nie pomoże: What will be, will be.

## WTOREK

Bodajby tego Hrynkowa..., takiej klasówki to nam dawno nie zasunął, a jak zaczęliśmy „kręcić nosami“, to odpowiedział sarkastycznie, czyniąc wzmianki à la „jesteście już w gimnazjum, to nie przelewki“ i na tyle się

Na zakończenie posyłam jeden z moich wierszy. Pisuję je dla siebie. Tylko parę było w druku.

## S E N

Och, biedo, biedo .....  
nie zostałaś zaorana w jesieni  
i choć ruń zielenią grała  
tyś biedo została  
na moje utrapienie.

Latem łąki sianem pachnące  
i chabry na ścieżkach w zbożu  
pola tęsknoty pełne  
nieskończonej,  
której koniec zaczepia o gwiazdy.

Nie pocieszy cud  
zmiany czterech pór roku  
nie ochronią serca od smutku.

Tyś biedo wzięła mnie w niewolę  
na trawie po rosie szukałaś  
moich śladów bosych  
Aż bunt podniosł mi serce  
chcę być wolną sama dla siebie.  
I choćbyś za mną gnała  
już się schowałam  
w pióra  
skrzydeł aniołów  
zabrana..

zdało nasze „kręcenie nosami“. Na szczęście jednak, wydaje mi się, że tak najgorzej to mi to „rosyjskie“ nie poszło.

## ŚRODA

Dzisiaj nie mieliśmy tak dużo pracy, więc koło czwartej można było gdzieś „wyskoczyć“. Bardzo lubię spacerować na Wawel i tym razem też mnie tam nogi poniosły. Zresztą droga moja wiodła najpierw przez rynek. Mgła dziś była gęsta i całe Sukiennice tonęły w mlecznej szacie. Nie było jednak czasu na podziwianie ich czaru w tym mglistym woalu, gdyż celem moim przed Wawelem był jeszcze antykwariat na ulicy Szewskiej. Od miesiąca już poluję na „Salambo“ Flauberta i wciąż nie można tej książki dostać. Antykwariusz, niskawy mężczyzna, w średnim wieku, zna mnie już dobrze i częstokroć ze zdumieniem wita mnie z góry słowami:

„Niestety, ale nie mamy tej książki, proszę się nie spodziewać, że będzie można dostać ją, gdyż dawno już nie wznawiano jej wydania. Gdyby przyszła, to byłby to czysty uśmiech szczęścia, ale tak można czekać rok.“ — Ja jednak wciąż czekam na ów uśmiech szczęścia. Wchodzę i tym razem ze słabą nadzieją i z lekkim zakłopotaniem, gdyż nie lubię być intruzem, a te ciągle i jak na razie bezowocne wizyty w antykwariacie stawiają mnie trochę w tej pozycji.

— Dzień dobry, czy macie państwo przypadkiem „Salambo“ Flauberta? — staram się nadać memu głosowi naturalny ton, choć w myśli mówię sobie: niechże już szybciej odpowie, że nie ma i pójdę sobie. Tymczasem antykwariusz, który w chwili mego wejścia odwrócony był do drzwi plecami, zwraca się ku mnie nieco ospałym ruchem i mierzy niechętnym wzrokiem. Jego owalna twarz, o niezbyt ładnym nosie i beznamiętnych ustach wyraża zmęczenie. I w tym momencie uświadamiam sobie, że ten człowiek pracuje tu mozolnie, za psie pieniądze przez cały dzień, że ma na sobie stary, wytarty kubrak i że pewnie dość ma kłopotu z urzędem podatkowym w związku z tym pół-prywatnym interesem, aby mieć dość życia za wszystkie czasy. Czuję jak zimny dreszcz przebiega mi przez plecy i wydaje mi się, że moja obecność tu jest jak najbardziej niepożądana. — Tak, dostaliśmy wczoraj bardzo stary i mocno zniszczony egzemplarz — słowa te nagle wyrwywają mnie z zadu-

my i antykwariusz wolno idzie wzdłuż długiej lady ku szeregowi drewnianych półek pod ścianą. Szuka przez chwilę i wręcza mi, brązowy, wyświechtany tom. Ściskam książkę, ledwie przegładam czy jest w jakim takim stanie i pytam o cenę. Płacę 12 złotych, możliwe, że ktoś powiedziałby, iż antykwariusz zrobił na mnie dobry interes, ale ja mam moją „Salambo“, a jeśli nawet przepłacam o te dwa, trzy złote, to w czasie tego marszu przychodzi mi nagle do głowy Moniuszko. Uwielbiam „Straszny Dwór“ — pierwsza opera widziana przeze mnie w ósmym roku życia, w Teatrze Słowackiego. Wrażenie wyniesione po tym przedstawieniu pozostało niezatarte do dziś i choć przecież później widziane przeze mnie opery były sławne i piękne, to jednak żadna nie pozostała dla mnie tym, czym „Straszny Dwór“ i jedna może się z nią tylko równać: „Madame Butterfly“. Ciekawe, dlaczego Moniuszko nie jest tak sławny, jak inni kompozytorzy oper? Podobno wystawiano kilkakrotnie „Straszny Dwór“ i „Halke“ z wielkim powodzeniem w Niemczech i Austrii. W zachodniej Europie jednak bez porównania więcej ludzi słyszało o Rossinim niż o Moniuszce. A przecież ktoś z nas dałby „Straszny Dwór“ za „Cyrylika Sewilskiego“. Nie przeczę, że „Cyrylik“ jest piękny, niektóre partie uważam wręcz za genialne — np. uwertura, czy „Burza“. Nie ma jednak „Cyrylik“ owej harmonii i płynności przewspianialej, jaką posiada „Straszny Dwór“. Lecz jestem już przy Filharmonii i wchodzę na ul. Straszewskiego. Po jednej stronie stare domy, po drugiej zaś Planty. Przede mną już Wawel. Stroma wieżyca katedry przebija się szarym cieniem przez mgłę. Dochodzę wreszcie do stóp zamczyska. Przystaję na chwilę i obejmuję spojrzeniem władcze mury, już stąd można dojrzeć lufy armat rozstawionych między pomnikiem Kościuszki a Kurzą Stopką. Pnę się do góry po pochyłości wjazdowej drogi. Mijam Naczelnika i wchodzę przez ozdobioną herbami bramę na dziedziniec katedralny. Nawet w tej mgłę błyska pysznie kopuła Kaplicy Zygmuntowskiej.

(Ciąg dalszy na str. 24)

Kocham się w pięknych zabytkowych kościołach, a wszystkie kościoły w Krakowie są cudowne! Wchodzę do katedry i idę cicho wśród zastępy w bezruchu marmurowych sarkofagów królewskich. Jak tu cicho — myślę. To cisza poetów. Pusto, zdałoby się, w pierwszej chwili i mroczno, tylko srebrna trumna biskupa ze Szczepanowa majaczy jaśniej między ciemnymi kolumnami w nawie głównej. Dopiero po chwili, gdy oczy moje przyzwyczyły się do ciemności dostrzegam kilka postaci znieruchomiałych tu i tam we wnętrzu świątyni. Tu można odnaleźć swą duszę, przebiega mi myśl. Staję przed „Czarnym Chrystusem“, cisza... Słowacki powiedział, iż są dwie melancholie; jedna z mocy, która jest skrzydłem silnych duchem, druga ze słabości, będąca kamieniem tonących — słabych duchem. Patrzę na zawołaną na czarno Postać, rozpiętą na krzyżu — moja nie jest tą drugą... Czerwona lampka migoce obok nikle, lecz bez drżenia. Wracam. Nie patrzę już na sarkofagi, ani na srebrną trumnę biskupa, nawet wychodząc nie patrzę na złotą kopułę Zygmunta. Niedługo potem znów jestem na Plantach. Zimno ciągle, szaro i aż dojmująco nieprzyjemnie, ale nic to — ja wracam z Wawelu, a pod pachą mam moją „Salambo“. Kończę już, bo jedenasta i niemal zasypiam pisząc. Wiatr skrzypi z cicha okiennicami, za szybą słychać deszcz...

#### CZWARTEK

Leje już czwarty dzień, ale na szczęście kilka miłych nowin rozjaśnia mi szarą atmosferę jesiennych dni. Z rosyjskiej klasówki udało mi się dostać „do drze“, a poza tym dostaliśmy dziś bilety do Teatru Słowackiego na dwie opery — „Verbum Nobile“ i „Pajace“, które wystawać będą w sobotę. Dyrekcja naszego gimnazjum wykupiła jak zwykle wszystkie miejsca w teatrze i wobec tego za dwa dni wielka widownia zapelnili się naszymi granatowymi mudurami.

Było to w czasie dużej przerwy. „Cyklop“, takie miano nosi popularnie wśród granatowych mundurków nasz nauczyciel od polskiego, wszedł niespodziewanie do klasy i zatrzymawszy wszystkich ogłosił nam tę dziwną nowinę, po czym cofnęliśmy się do swych miejsc i zaczął rozdawać karty wstępu. Nie wiem, co nas „podleciało“, by go poprosić o miejsca w tej samej łoży. Była nas cała paczka, więc chcieliśmy siedzieć razem. Okazuje się jednak, że zbyt trosknie się o swoje dobro nie zawsze popłaca. Gdy Marek Bleczyński zwrócił się do „Cyklopa“ o te miejsca, ten tylko uśmiechnął się złośliwie i rzekł kiwając głową z boku na bok typowym dla siebie ruchem, który można

by chyba tylko nazwać ironiczno-arogantkim: — Ach, chcecie razem? To żeby ci się Bleczyński nie wydawało, że będziesz przerządzał, dostaniecie właśnie osobno. Pewnie dostalibyśmy te bilety i tak razem, bo siedzimy wszyscy w jednym rzędzie, a rozdawał po kolei, ale teraz zadał sobie (kreatura) trud, by nam je specjalnie osobno rozmieścić. Na to przedłużone rozdawanie straciła cała klasa dodatkowe dziesięć minut, on sam stracił, ale musiało mu strasznie zależeć, żeby się nam przysłużyć. Byliśmy wściekli, ale nie przygnębieni. W naszym wieku nie można było być przygnębianym, byliśmy natychmiast gotowi przeciwdziałać. W czasie następnych przerw powymienialiśmy bilety. Gdy wychodziliśmy ze szkoły Marek podszedł do mnie i rzekł: To pewnie za ten Związek Młodzieży, do którego nie zapisaliśmy się na początku roku, mimo iż dyr. wyraźnie sobie życzył. („Cyklop“ był jednym z żarliwych agitatorów). Ale mu się jeszcze odwdzięczymy. Mimo wszystko to całe zdarzenie napawało nas niesmakiem.

#### PIĄTEK

Już pój do jedenastej, ale jeszcze zasiadam do pisania — dzisiaj stało się coś niezwykłego. Mieliśmy piątą lekcję — język polski. „Cyklop“ kwaśny wchodzi do klasy. Kładzie dziennik na stole katedry i siada szybko lecz nieco kanciastym ruchem na ohydny, żółty krzesło biurowym. Przerzuca szybko kartki dziennika, po czym zapisawszy lekcje zaczyna wykład z literatury. Wstał i wzięwszy do ręki grubą książkę, otworzył ją i rzekł: Strona sto pięćdziesiąt pięć. Pieśń o Rolandzie. Ta lekcja była interesująca i trzeba przyznać, że nawet najmniej pociąg ku słowom pisanyemu czując osobistości naszej klasy wlepiły oczy w brązowe kartki podręcznika. Nauczyciel czyta i pieśń płynie przez klasę, odbija się wojennym echem od bezbarwnych ścian sali, spada na zniszczone blaty szkolnych ław i ogarnia nas swym szaleń. Zapomnieliśmy już, że „Cyklop“ jest z nami i że to jego nielubiany głos rozgłasza nam dzieje rycerskiej drużyny cesarza Karola. Teraz to nieważne... Przed nami pole usiane trupami i błysk saraceńskich mieczy, hrabia Roland wie dzie Franków, dmie w cudowny róg i podnosi straszliwy Durendal. Zdaje nam się, że słyszemy dźwięk żelaza, tętent koni, migają białe płaszcze i burnusy rycerzy półksiężyca. Hrabia Roland naciera, a krew spływa strumieniami spod jego miecza, „...I Oliwier nie został w tyle, i dwunastu parów“. „Cyklop“ czyta dalej, stajemy się coraz bardziej smutni — giną Frankowie, ginie baron Oliwier, ginie hrabia Roland i nagle

pieśń zamiera na ustach nauczyciela. „Niosą duszę hrabiego do raju“. Krew..., krew... Cisza zalega w klasie, jesteśmy wzruszeni i przez to przychodzi nagle odwilż w stosunkach z Cyklopem. Zaczynają się sypać pojedyncze zdania, uwagi, „Cyklop“ jest rozpromieniony. Wzajemne uśmiechy i zanim się kto oglądnał, lekcja zmienia się na moment w towarzyską pogawędkę. Ten to jednak moment przyniósł coś, czego nigdy chyba nie oczekivalibyśmy. Z wieków średnich nagle temat zmieniono na współczesność — wszystko niby powiązane z Pieśnią o Rolandzie, ale jednak swobodnie i niemal przyjacielskie. „Cyklop“ rzuca kilka ogólnych uwag o historii i literaturze. Nie wiem i nigdy sobie nie przypomnę jakimi drogami zesłiliśmy na temat ostatniej wojny i zmian po niej uczynionych. Dość, że „Cyklop“, wciąż w dobrym humorze, pyta nagle: Jakże to ziemie odzyskaliśmy po drugiej wojnie światowej...? To pytanie na wpół oficjalne, na wpół towarzyskie, bo przecież ostatecznie każde dziecko wie..., padło jednak raczej zmienacka wśród nas i nikt nie myślał, że nagle coś się stanie... „Cyklop“ toczył wokół spojrzeniem zupełnie spokojnym — on też nic nie przeczuwał. Czar pryska, kończy się lekcja literatury — czuję jak Marek trąca mnie lekko pod ławką. Rzucam na niego szybkie spojrzenie — na twarzy Bleczyńskiego drga zawiadziaki uśmiezek połączony z jakimś nieuchwytnym zdecydowaniem. Marek podnosi nagle palce. „Cyklop“ skinął głową. Marek podnosi się wolno ze swego miejsca, jest wysoki, smukły i patrzy niemal zuchwale na nauczyciela. Po drugiej wojnie światowej odzyskaliśmy cały Śląsk, Pomorze, Warmię i Mazury, które tworzyły przedtem Prusy Wschodnie. Straciliśmy natomiast ziemie wschodnie: Lwów i Wilno. — Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. „Cyklop“ patrzył na niego zimno, był tym niesłychanie zaskoczony. Jego oczy rzucały spod wysokiego czoła gniewne spojrzenia, jakby chciał nimi spiorunować ucznia. Nagle głowa jego poruszyła się jakimś niezdecydowanym ruchem, ni to zaprzeczenia, ni oburzenia i wykrztusił: — Bleczyński siadaj, opowiadasz bzdury! Patrzę na Marka, a on nagle uśmiecha się jakoś radośnie, wciąż stoi... — Czy on zwariował — przelatuje mi przez myśl. Lecz w końcu Bleczyński siada, ale niezwykle wolno, wciąż patrząc w oczy nauczycielowi. W tej samej chwili „Cyklop“ podnosi nerwowym ruchem rękę i niemal krzyczy w drugi koniec klasy ponad naszymi głowami: Zendor, wyjaśnij mi tę sprawę, bo zdaje mi się, że dzieci są w naszym liceum. Zendor należy do Związku Młodzieży, więc „Cyklop“ pewnie na niego liczy



w tej chwili. Wywołany wstaje wolno, jeszcze wolniej chyba, niż siadał Bleczyński. Widzę wciąż jak twarz jego wyraża napięcie, jakby walkę wewnętrzną i nagle... uderza cios: — Tak, panie profesorze, Bleczyński ma rację. Przez Unię Lubelską Polska zjednoczyła się z Litwą i dlatego Wilno i Lwów i wszystkie ziemie, które nam zabrano po wojnie, powinny do nas wrócić. „Cyklop“ stoi przed nami, postać jego jakby się zgarbiła, mimo że jest strasznie długi. Nie wiem, czy mi się wydaje, ale chyba pot łni na jego czole. W klasie robi się nagle szum, trącanie łokciami. Czuję się jak na lekcji polskiego z „Syzyfowych Prac“. Właściwie, to jednak te sytuacje są trochę podobne. Teraz nagle wiemy, że dzieje się niedobrze i mniej śmieli gotowi są zaprzestać tej komedii, lecz większość już jest podniecona i rozogniona polityczną dysputą. Jesteśmy już jak stado żrebiąt, które nagle wypuszczono na wielką łąkę — nic nas nie powstrzyma. Długo tajone myśli, długo „trzymany język za zębami“ nagle każe nam mówić, każe nam krzyżeć... Jesteście smarkaczami! Kto was tego nauczył!? — Słowa te brzmią jak wyzwanie, przyjmujemy je. Tarowicz podnosi się z ostatniej ławy. Ów błazen klasowy, ów jękający się nędzny Tarowicz, który zapisał się do Związku, gdy dyrekcja naciskała nas we wrześnie, on to teraz zabiera głos (nie pamiętam już nawet czy w ogóle wyrwany). — Tak ppa panie pprofesorze Bbleczyński i Zzenodor mają rację, wszędzie jest tak napisane w starszych podręcznikach ddo historii... „Cyklop“ wali pięścią w stół, zeskakuje ze stołpna, na którym stoi profesorska katedra i zaczyna krzyżeć: Dość tego! A wiecie kto pisał te podręczniki?! Może ci co w 1939 uciekli do Londynu!!!

Klasa niemal wyje..., złowrogo jak podrażniony zwierz, nie ma już na nas tamy, kilku podnosi się w miejscach... — NIE!!! CI co walczyli w Warszawie!!!! — ktoś ryczy z końca. — Rosja... — przelatuje dużo cichszy lecz wyrazisty szept. „Cyklop“ łapie swą teczkę ze stołu i rusza nagle ku drzwiom, niemal biegnie. Zatrzymuje się tuż przed nimi w chwili, gdy nagle zaczynamy milknąć niezdecydowanie w ogarniającym nas teraz niepokojem.

NAJLEPSZA TREŚĆ

ZA NAJNIŻSZĄ CENĘ!

PRENUMERATA „ORŁA BIAŁEGO“

TYLKO £.2.2.0 ROCZNIE!

Wśród zupełnie niemal już zamarłego szumu słyszę groźny głos nauczyciela: — Ta sprawa jeszcze nie jest skończona! „Cyklop“ wyszedł z klasy; było jeszcze ze dwadzieścia minut przed dzwonkiem, prawie połowa lekcji. Reszta dnia była spokojna, lecz my trwamy w niepewności: co teraz będzie?

## SOBOTA

Dzień dzisiejszy przeleciał jak z bicza strzelił. W czasie lekcji byliśmy wszyscy cisi jak trusie; na szczęście nie mamy w sobotę polskiego, ale i tak mieliśmy dość pietra. Mimo to jednak myślałem, że nikt nie żałował tego, co się stało. O w pół do ósmej wieczorem byliśmy niemal wszyscy przed teatrem. Szum oczywiście jakby się co najmniej paliło, wszyscy weseli i rozbawieni, tylko nasza klasa ma nieco markotne miny. Szepczemy wciąż o piątkowej lekcji polskiego. Ja stoję z Zendorem, Bleczyńskim, Tarowiczem i kilku innymi najgorszymi buntownikami. Rozprawiamy bez wytchnienia; komu „Cyklop“ powiedział? Co z nami zrobią? Jeśli „Cyklop“ ma „boki“ to mogą nawet rozwiązać klasę — Bóg wie jakie jeszcze domysły przychodziły nam do głowy. Podchodzi do naszej grupy ktoś z innej klasy — urywamy rozmowę. Zrobił jakąś uwagę à la: coście tacy pełni tajemnic, lecz zbywamy ten komentarz milczeniem. Czuję się nieproszony, odchodzi. Lecz dlaczego nie było dziś nic a nic o tej sprawie? — głowimy się jeszcze. W końcu nasze stojące „posiedzenie okrągłego stołu“ zostaje przerwane otwarciem drzwi do hallu teatru. Wlewamy się masą w czeluść teatralnego gmachu, wkrótce wypełniamy hall, ruszamy na klatki schodowe — coraz nas więcej, więcej. Wreszcie nasza grupa dostaje się do swych miejsc. Mamy łóżka na pierwszym piętrze, rozsiadamy się. Zwykle w tym momencie odbywało się szybkie wyskakiwanie do innych łóżek, szukanie koleżanek i kolegów. Dziś jednak jest cicho w łóżki siódmej, gdzie siedzimy. Już nie wznawiamy dyskusji na temat naszego przyszłego losu. Trwamy w jakimś dziwnym nastroju niezdecydowania. Dopiero gaszenie świateł przerywa nasz tok myśli. Podnosi się kurtyna po skończonej uwerturze; brzmia dumne tony wielkiego kompozytora, przesuwa się scena ze sceną, ale ja czuję, że daleko jestem od skupienia się na przedstawieniu. Wodzę wzrokiem po złożonych gzymsach wielkiej sali teatralnej, po mrocznych łóżkach, znów patrzę na scenę — w uszach wciąż brzmia mi słowa: „Ta rozmowa jeszcze nie jest skończona!“ Widzę przed sobą ciągle lekko pochyloną, długą postać „Cyklopa“ jak wychodzi pośpiesznie z naszej klasy po tej fatalnej lekcji pol-

skiego. Tak przeszedł akt pierwszy, tak przeszła pierwsza opera. Na przerwach nieruszamy się z miejsc, nie idziemy porozmawiać z koleżankami i kolegami — siedzimy ponuro w łóżki i męczymy się z własnymi myślami. Bleczyński rzuca od czasu jakiś kawał à la „niech „Cyklopa“... itd, nie nam nie może zrobić“, ale wszyscy wiemy, że sam w skuteczność tych słów nie wierzy i stara się nadrabiać miną wobec nas. Nikt jednak nie bierze mu tego za złe, bo Marek nie robi tego wcale z chęci przechwalania się, ale z nieokiełzanego humoru „wisielczego“, który nie opuszcza go ani na chwilę w najbardziej nawet nieprzyjemnych momentach. Lecz wracając do naszego zmartwienia, to i największa cierpliwość ma swoje granice, a my wcale nie chcemy być cierpliwi. Przy „Pajacach“ wreszcie zapominamy, zdałoby się, o całym piątkowym zdarzeniu. Ponosi nas muzyka, kolorowa scena, nastrój uroczysty, panujący majestatycznie wśród amarantowych obić łóż i marmurowych bożków, złotych cherubinów. Czuję jak fala gorąca zalewa mi pierś, upojenie rozlewa się jak najwspanialszy nektar w sercach tych, którzy hołdują harfie Apollina. Tam gdzieś na scenie dzieje się tragedia. „Śmieję się pajacu z miłości twej wzgardzonej“ — słowa strasznej arii grzmiają jak grom, przenikają przez wszystko, zwalają wszystko, wszystko usuwają w cień... Jakże mało obchodzi mnie w tej chwili sprawa lekcji polskiego. ... Nagle czuję jak Bleczyński chwyta mnie za ramię. — Co myślisz z tego będzie? — Z czego — pytam, wszak widzisz, że kończy się tragedia... — Ależ nie to, z „Cyklopem“... Nie wiem — dziwię się, że o to pyta. Tak skończyła się sobota. Tego wieczoru nie mogę myśleć o szkole.

## NIEDZIELA

Dzisiejszy dzień był zimny, ale na szczęście bezdeszczowy. Po obiedzie ruszam znów na Wawel. Nie wchodzę jednak do katedry, ale włóczę się przez długi czas po murach. Myśli miesza się. Patrzę na szare nurty Wisły. Lekka, biała mgielka wisząca nad rzeką jest jak ukojenie w zapomnieniu, cisza tylko wokół i niewzruszone mury Jagiellonowej stolicy. Wisła leży przede mną tajemna i niewzruszona i ten spokój panujący przez wieki jest silny, silniejszy niż ludzkie kłopoty, zniewala..., umacnia... Nikogo nie ma na brzegu, pusto na murach zamkowych, tylko mgła i nieruchomość i spokój, spokój, spokój... Nawet jeden plusk nie doleci tu od fal, nie nie zaszeleści — zamek i rzeka patrzą na siebie nieruchomo. Niezgrabione są ich myśli, teraz, wczoraj, przed wiekami... Wracam.

„Moja noc schodzi głębiej i na samym  
dnie

Po imieniu nazywa niepojęte rzeczy“.

K. Wierzyński — „Korzec maku“

(Owies).

Kazimierz Wierzyński jest konstrukcją na wskroś poetycką. Nie tylko duchowość jego otwarta jest szeroko na zagadnienia będące odwieczną domeną poezji: Bóg, istnienie, miłość i śmierć, ale jest również poetą w każdej tkance swego ciała. Jego pamięć, wzrok, słuch, dotyk i węch są czynnymi narzędziami poetyckiego warsztatu. Jest doskonałą, jakże pełną życzliwości anteną, odbierającą wszelkie bodźce zewnętrzne świata. Inteligencja, wielki talent i poczucie umiaru porządkują otrzymane bogactwo i przetwarzają je w krystalicznie czystą, pełną prostoty, a równocześnie ciepła ludzkiego poezję.

Ta poetycka struktura, psychiczna i fizyczna równocześnie, sprawiła że w ciągu 50 lat nie wysychł nurt jego twórczości, a rozwijał się nieustannie, doskonalił, szukając dróg bardziej precyzyjnego, głębszego wypowiedzenia się w poezji. Sprawilo to również, że twórczość jego nie załamała się pod ciosami historii, że pustka pod kłosem, która spada na jego wiek męski nie zabiła zdolności twórczych, ani miłości do świata i życia. Dawną, promienną radość osnuła melancholia rezygnacji i pożegnań, zamyślenie się o sprawach wiecznych a nieodwołalnych. Ale pozostało współczucie i miłość do świata, życia i ludzi. Napisać wprawdzie:

„Spójrz w naszą młodość, otwórz  
archiwa,

Ach, jaka piękna była, szczęśliwa,

A może to właśnie grzech naszych

skrzydeł?“

(„Korzec maku“ — Buchalteria).

Ale niczego nie chce i nie może zapomnieć:

„Wtędy pytał: kto to zapamięta?

Teraz wiem już: nigdy nie zapomnę“.

(tamże: „Stary wiersz“)

Wszystko co daje życie, najprostsze sprawy codzienności pozostały dla niego bezcennymi darami:

„By nie dziwić się, wiedzieć, na to są

uczeni,

Nam wyjść z podziwu trudno, myśmy

zaszlepili.

Nad nimi może prawda, może tylko

złuda,

Dla nas wszystko jest żywe, chleb, wino

i cuda.“

„Nauczycielu trudny, źródło tajemnicy,  
Przecucie daj nam wieczne,

w sumiennej żrenicy.

KRYSTYNA BRZOWSKA

## „LUTNISTA CIEMNEGO

Widzenie wśród ciemności, słowo co się  
ziści,  
Nutę, byśmy ci grali, ślepi organiści“.  
(tamże: „Zaszlepieni“).

Wierzyński tworzy poezje jak ptak fruwa, jak świat roślinny prze ku górze do słońca i ciepła. Nie może inaczej, bo jego wizja świata jest poetycka. I kiedy po najdłuższym życiu stanie poeta w obliczu Stwórcy, będzie mógł powiedzieć: „Panie, obowiązek który na mnie włożyłeś — spełniłem. Byłem poetą“.

Książka, którą mam tutaj omówić, nie zawiera jednak poezji. Są to literackie eseje i fioletony pod ogólnym tytułem „Cygańskim wozem“.

Poeta jest wrogiem maszyn, pośpiechu, zamętu, bo samolot i samochód to „podstępne przewodniki po świecie“. Supremacja maszyny nad człowiekiem jest „odcięciem od rzeczywistości“. „Tylko świat przechodzony nogami jest coś wart, jak przechodzone myśli. Ziemia dotknięta stopą staje się w jakiś sposób rodzinną i łączy się z nami na zawsze“. „...bo ziemia uderza w nas wielowieczną mocą trwania a wszystko, co na niej wzniesiono i przeżyto, czeka na nas, aby nawet obojętnych zdumieć, uszczęśliwić albo przerazić“ — mówi we wstępnym felietonie pt. „Miasta i ludzie“.

Ale i w prozie tej widać poetycką wrażliwość artysty i ciepły stosunek nawet do brzydoty, czy gdy mówi o placu de la Nation w Paryżu, „gdzie psy dobranoc mówią“, placu „kloszardów, oberwańców miejskich“ i „panien miłosiernych“, jak je nazywa za Chopinem, czy też o domach na Faubourg St. Antoine, łuszczących się jak pomarszczona skóra, pokrytych liszajem od parteru do dachu“. W domach tych dopatry się jednak dobrych proporcji, w kloszardach — humoru, który jest cechą niezwykłą u bezdomnych nędzarzy.

Poprzez zainteresowanie się codziennym życiem obcego a bliskiego jego sercu tłumy i miasta przewija się na dnie myśli i wspomnienie o sprawach polskich: Mickiewicz w wytartym futerku grzebiący w piecu w bibliotece Arsenału i dyskutujący godzinami z Norwidem, Hôtel Lambert, Biblioteka Polska, Towarzystwo Historyczno-Literackie i konferencje Mickiewicza z księciem Adamem. Collège de France przypomni mu wykłady Mickiewicza o literaturach słowiańskich; Księgarnia Polska — że sto lat temu na półkach leżały pierwodruki „Książki Narodu“, „Kordiana“, „Anhelle-

go“, „Nieboskiej Komedii“, dzieł Lelewela i Mochackiego. „Nigdzie poza naszym krajem nie ma więcej Polski, niż w tym mieście i w tych jego stornach“ — kończy autor swe romyślenia. („Autobus paryski“).

Mówiąc o Nancy i jego urodzie, gdzie „żelazo ma lekkość koronek“, o Placu Stanislas, „który owinięty jest w kuty metal jak w haft“, o Stanisławie Leszczyńskim, „który miał tyle serca dla piękna“ co Stanisław August, nie może oprzeć się gorzkiej myśli: „Dlaczego udawało mu się wszystko wśród obcych, a nie wśród swoich? Jaki nierozum polityczny odebrał nam tego władcę, po którym jedno poszło do Sasa, a drugie do Lasa?“ („Przejazdem w Nancy“).

Trzy miesiące spędził poeta w Lotaryngii, w Chateau Beaupré. „Trzy miesiące odcięcia od świata w środku Europy, wśród odludzia, ciszy i spokoju“. „Jak okiem sięgnąć“ — pisze dalej — „toczą się milczące wzgórza, spadają w kotliny i podnoszą się znowu w wyż pagórami. Widok rozległy na dziesiątki kilometrów. Ziemia wygląda jak świetnie ulepiona mapa topograficzna. Teren wymarzony dla wojny, toteż człowiek sobie tutaj nie pożałował“. Mówi o piekle, które roztoczyło się na tej ziemi dwukrotnie za naszego życia. I wspomina zaraz polską dolę-niedolę: „Polacy też pospieszyli tutaj ze swoim męstwem i poszukiwaniem śmierci... Pozostało z tego kilka zapomnianych nekrologów i żołnierskie groby polskie w Nancy, Dieuze, Xousse, Morvillers“ („Na wsi lotaryńskiej“).

Książka zawiera 28 felietonów i esejów. Niektóre z nich poświęcone są miastom, ich architekturze i dziełom sztuki („Wypad do Barcelony“, „Antoni Gaudi“), inne ludziom, ich dorobkowi artystycznemu i losom: „Zawado“, „Lunia Czechowska“, „Henri Rousseau“ — patron marzycieli“, „Dubuffet“, „Śmierć Camusa“, „Powitanie Lebensteina“, „Pani Danilewiczowa“, „Andrzej Bobkowski“, „O Arturze Rodzińskim“ — budo-wniczym i odnowicielu orkiestr.

Osobny esej omawia książkę Zofii Romanowiczowej „Przejście przez Morze Czerwone“. Wierzyński pisze o niej: „Jest to świetna, choć trudna w czytaniu powieść, jeden z najpoważniejszych wysiłków pisarskich ostatnich lat, głęboka penetracja w przeszłość człowieka, rzecz o zdumiewającej odwadze i ambicji“.

„Wiele jest narodów pokrytych ciężkimi ranami, lecz nie ma cięższych ran niż te, które los zadał synom pokoleń



# CZASU I LOSU“

Judy“ — mówi autor w eseju „Izrael w poezji polskiej“. „Jakoby w nagrodę za to okrutne wyróżnienie, Żydzi wykazali niezłomną żywotność i przetrwali śmierć bogatych kultur i cywilizacji, pogrzebanych na wieki w sąsiedztwie ich ojczyzny kraju“.

Ponieważ lata naszego życia są w dziejach Żydów datą ich nowej, państwowej historii, uważa autor słusznie, że „instynkt ładu między ludźmi domaga się uporządkowania przebiegu życia Polaków i Żydów“.

Wymienia prace, które ukazały się w tym duchu: Władysława Bełzy „Żydzi w poezji polskiej“, książkę wydaną przed pierwszą wojną światową we Lwowie, zbiór poezji wydanych konspiracyjnie w 1944 r. pt. „Z otchłani“, zbiór, który ukazał się bezpośrednio po wojnie w Warszawie, w opracowaniu Michała Borwiczka pt. „Pieśń ujdzie cało“, wspomina prace francuskie i niemieckie i rozpisuje się szerzej o antologii Jana Winczakiwicza pt. „Izrael w poezji polskiej“.

„Nie wiem czy istnieje temat“ — kończy poeta — „który wypełnił tyle jej (poezji polskiej) strof, co motywy żydowskie. Chyba los samej Polski. Treścią poezji naszej o Izraelu było pobratymstwo człowieka. Wyznawała to chórem, od którego drży omawiana książka. Powtarzała modlitwy proroków i zanosila swój śpiew z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej“.

W eseju „Pochwała drugiego przyjaciela“ omawia autor twórczość „jednego z najprzejrniejszych naszych humanistów“, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. „Grudziński“ — pisze — „jest urzeczony złem. Złem w człowieku i w świecie. Więzień łagierny miał sposobność przestudiować wszystkie tajniki herpetologii ludzkiej i najgroźniejsze okazy ucłowiczonych płazów. Nie tylko je przestudował. Musiał poddać się osobiście przymusowemu eksperymentowi zatrucia, niszczenia, upodlenia człowieka. Przeszedł przez tę próbę nie wiadomo już którego kręgu piekła, z pełną świadomością, jak świadczy późniejsza r-ko-strukcja tych wydarzeń w jego mistrzowskiej książce „Inny świat“. To cud, że ocalał nie tylko fizycznie, lecz przede wszystkim moralnie i dziś potrafi oceniać współczesność sądami mądrego i jakże doświadczonego moralisty“.

Książka która dała tytuł esejowi stanowi zbiór 13 opowiadań i jest owocem dziesięciu lat pisarstwa Grudzińskiego. Zawarte w niej opowiadanie „Drugie przyjscie“ omawia Wierzyński szczegółowo. Temat stanowi legenda z XIII-go

wieku o tragicznych losach księdza-heretyka, skazanego na pręgierz i spalenie. Grudziński daje tej ponurej legendzie symboliczne zakończenie: „Spalony człowiek zjawia się we śnie papieżowi Urbanowi w Orvietto i w przywidzeniu tym ma znamiona Chrystusa. Czyżby on był tym, na którego przyjscie czekano, wydany tłumowi, nieludsko umęczony, sponiewierany i zabity?“

„Obecność Grudzińskiego wśród nas daje ulgę, że jest ktoś, kto czuwa i przeprowadza kontrolę nad drogami naszych wzniesień i upadków“ — mówi Wierzyński. „Co za potęga słowa!“ — kończy. — „Włada nim pisarz znakomity, zaangażowany, świadomy swych sił i zamiarów, autor książki — warto jeszcze raz powtórzyć — pięknej, mądrej, głębokiej i szlachetnej“.

W eseju „Na własnym gospodarstwie“ — daje poeta przebieg własnego swego rozwoju twórczego od pierwszego tomiku wierszy „Wiosna i wino“ poprzez „Wróble na dachu“ (1920), „Wielką Niedźwiedzicę“, „Pamiętnik miłości“, „Laur Olimpijski“, „Rozmowę z puszcza“, „Pieśni fanatyczne“, „Gorzki urodzaj“, „Wolność tragiczną“, „Kurhany“ — do książek z czasów wojny: „Barbakan warszawski“, „Ziemia-wilczyca“, „Róża wiatrów“, „Ballada o Churchillu“, „Podzwonne za kaprała Szczapę“, „Krzyże i miecze“.

W tomach „Korzec maku“ i „Siedem podków“ wyszedł poeta poza granice regularnej strofy, starał się wyzyskiwać „muzyczność i dźwięczność polegającą na łamaniu wiersza podług jego treści“. Rozluźniając ustalone formy usiłował wydobyć „swobodniejszy obraz i lotniejszą plastykę, bardziej odpowiednią do rozfalowanych rymów“. Dalej pisze: „Miałem do dyspozycji słowo, element trwalszy niż systemy rządów. Udoskonalić własną sztukę było jedyną rzeczą jaka mnie pozostała. Sztuka dla sztuki nie jest absurdem, jest warunkiem rozwoju. To tyle co człowiek dla samego siebie. Człowiek musi istnieć dla siebie“ — mówi słusznie — „aby zaistniał dla innych. Im więcej bogactwa zgromadzi w granicach swojej osobowości, tym staje się cenniejszym społecznikiem“.

W „Tkance ziemi“ i w „Kufrze na plecach“ poszedł w tym kierunku najdalej i wyjaśnia tutaj, „że w pewnym okresie pisarz zaczyna pisać tylko dla siebie. Wyrażone idee i opanowane formy przestają go interesować“. (...) Potrzeba staje się coś czego nie ma. Drugi świat, trzeci, czwarty. Perpetuum życia, perpetuum młodości“.

B.D.I.C

Esej „Przygoda z tłumaczeniem“ poświęcony jest próbie przekładu zespołowego 41 jego wierszy przez 18 poetów, z których tylko trzech czy czterech zna język polski. Pośrednikiem między tymi poetami, a oryginalnym materiałem był profesor literatury polskiej na dwu uniwersytetach, Ludwik Krzyżanowski. „Dostarczał on surowego przekładu wiersza — słowo po słowie, wraz z uwagami, które określały rodzaj wiersza, rym, rytm, strofę itd.“ Cała grupa brała ten surowy przekład na warsztat. Przekłady dyskutowano, przerabiano dopóki wszystkich nie zadowolili. „Kryterium było jedno: żeby zaadoptowany wiersz brzmiał jak dobry wiersz angielski“.

Czy eksperyment się udał?... „... nie mnie o tym sądzić“ — pisze autor. — „Pytałem o to bardziej autorytawnych ludzi. Karl Shapiro był dobrego zdania o przekładach i pięć z nich umieścił w swoim Prairie Schooner“. Selden Rodman także wyraził swój placet. Być może krytyka obejdzie się ostro z tą próbą, być może praca moich tłumaczy nie zwróci niczyjej uwagi. Co będzie, zobaczymy“ — kończy. — „Od tego przygoda jest przygodą, że nie mija bez niepewności i niespodzianek“.

„Wspomnienie o Pasternaku“. — Wierzyński nie zachwycał się nigdy poezją Pasternaka. Wydawał mu się chłodny, parnasistowski, a nawet akademicki. „Podziwiałem jego kunszt cyzelatora, ciasno wypelnioną, jakby ciętą w lodzie, strofę, nienadkruszoną pełnię wiersza — i odkładałem na bok. Nie trafiał do mnie, przechodził mimo“.

Aż po wielu latach wybuchła sprawa „Doktora Żiwago“. I powieść ta wydała mu się wielką i piękną. Poeta dostrzega w niej trzy szlaki, którymi wiedzie pisarz rosyjski czytelnika: piekło rozpętanej rewolucji, nędzę i poniewierkę ludzką; miłość Lary i doktora Żiwago. „przedziwną pieśń o szczęściu i nieszczęściu nad przepaścią zguby“; trzecim szlakiem jest przyroda rosyjska, „tak wrosnięta w powieść, że staje się nie tylko jej skórą, lecz twardym kośćcem“.

Dzieje „Doktora Żiwago“ i nagrody Nobla przyznanej Pasternakowi przejdą do historii. „Pasternak pozostał emigrantem wewnętrznym w państwie komunistycznym“ — pisze Wierzyński. „Ale Pasternak nie przestał być Rosjaninem namiętnie zakochanym w swej okrutnej ojczyźnie“.

„Rafał Malczewski“ — to esej o przyjacielu, utalentowanym pisarzu, malarzu, zamilowanym taterniku, towarzyszu młodości. „Kochałem go po bratersku. Bliższy mi był już z imienia, bo w moim życiu było właściwie dwu Rafałów: Rafał Olbromski i Rafał Malczewski...“

(Dokończenie na str. 28)

W malarstwie Rafał był samoukiem, mimo, że ojciec jego Jacek był znanym malarzem. „Nigdy u nikogo nie studiował malarstwa, nie przeszedł żadnej szkoły, sztuka jego zaczęła się samoistnie, bez niczyich wpływów“.

Kochał góry mimo tragicznej katastrofy, której uległ przyjaciel jego Bronnikowski podczas wspólnej spinaczki na Zamarłą Turnię. Zamieszkał w Zakopanem i tam zaczął malować. Stworzył własny styl i można go było poznać wśród setek obrazów. Ulubionym jego rodzajem były akwarele. Polska zakochała się w jego malarstwie, ale kupowano również jego obrazy w Ameryce, w Niemczech, w Rosji i we Włoszech.

„Wojna była dla Rafała doszczętnym rozbięciem“ — pisze Wierzyński. — „Stracił swoje miejsce na ziemi, swoją przyrodę, swój spokój i radość. Widywałem go w Paryżu, Lizbonie i Rio de Janeiro, pełnego lęków katastroficznych, nerwowości, a nawet agresji, nieznanymi mi dotychczas w jego usposobieniu“. W Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie odzyskał trochę dawnej pogody. „Malował znowu i pisał jak kiedyś, tylko piórem w które uderzył piorun wojny i tragiczne jej doświadczenia“.

W roku 1957 został sparaliżowany, umarł w 1965. Cierpiął strasznie. Jedną stroną ciała unieruchomiona, trudności w wymowie, zaburzenia w mózgu. „Zły los sprawił, że miał sparaliżowaną lewą rękę, a był mańkutek“.

„Umierał długo i okrutnie“ — kończy autor. „Nie wiem jakie zniszczenie w dorobku Malczewskiego spowodowała wojna. Słyszę, że wielkie.(...) Z powstania uratowano 13 akwreli i 37 obrazów olejnych, obecnie w Muzeum Narodowym u Stanisława Lorentza. W Ameryce jest ich niewątpliwie o wiele więcej. Oby jak najprędzej dało się zebrać razem te rzeczy i oby jak najlepiej mogło wyrazić się w nich nieprzemijające życie tej pięknej, wzruszającej twórczości“.

„O Leopoldzie Staffie“. — Esej poświęcony mistrzowi lat młodzieńczych, który otworzył chłopcu oczy na poezję, kazał mu czytać wiersze, liczyć sylaby na palcach i marzyć, aby zostać poetą.

„Staff był pierwszą moją miłością bez opamiętania, pierwszym zachwytem bez granic, pierwszym zasłuchaniem, zapamiętaniem, upojeniem“.

Poeta analizuje twórczość swego mistrza, omawia jego styl klasyczny, olimpijskość spokoju, powagę pracy poetyckiej, szlachetność zamiaru i wykonania dzieła, erudycję Staffa, a równocześnie jego intymność i dyskrecję. „Poezja Staffa“ — pisze — „wznosi się nad poszarpanym życiem polskim jak wysoki, jednolity płaskowyż i jest coś porywającego w tryumfie sztuki nad rozwalinami dziejów“.

Ostatni piękny esej „O poezji Lechonia“ poświęcony jest tragicznie zmarłemu przyjacielowi i jego twórczości.

Wierzyński sięga pamięcią do niezapomnianej chwili, kiedy w kawiarni pod Pikadorem czytał Lechoń swoje wiersze „przed publicznością z ulicy — wysoki, chudy, blady, z trzęsącymi się rękami, w których trzymał kartkę z tekstem albo którymi poprawiał źle osadzone binokle“.

Już wówczas, tyle lat temu, zarówno sala jak i my, towarzysze tych szaleńczych wieczorów, czuliśmy nadzwyczajność jego poezji“.

18-letni autor „Karmazynowego poematu“ zaczął pisać jak geniusz“ — stwierdza Wierzyński. „Powitał wolność siedmioma pieśniami i owinął je w karmazyn, jak sztandar“. Poemat o Piłsudskim ocenia jako „jeden z najpiękniejszych i najniezwyklejszych utworów naszej poezji“.

„Karmazynowy poemat“ — mówi dalej — „był fundamentem, a niektórzy sądzą, że także i szczytem poezji Lechonia“.

W 1924 r. ukazał się nowy tomik pt. „Srebrne i czarne“. Był to „niespodziewany wybuch liryzmu i przejmująca spowiedź ludzkiej niedoli“.

„Srebrne i czarne“ — mówi Wierzyński — „są to najsmutniejsze w Polsce wiersze i nie wiadomo jak czytać je dzisiaj, kiedy znany nam jest koniec życia Lechonia“.

Po tych dwu zbiorach poezji zamilkł Lechoń na całe lata. „Możliwe, że zacząwszy w najwyższych regionach, poczuł później, że się w nich nie utrzyma“ — przypuszcza Wierzyński. „Jego niezwykła inteligencja mogła go popychać do takiej kontroli nad sobą, choć musiała to być samokrytyka trudna i bolesna“.

Spędził później dziesięć lat w Paryżu i opuścił go jako przyjaciel paryskiej elity intelektualnej. Przyjaciolom swoim nie wyjawiał nigdy dlaczego zamilkł. „Mówił w owych czasach, że woli życie od sztuki, ale była to z pewnością nonszalanca, którą pokrywał istotę sprawy“.

Lechoń ożył podczas wojny. W 1940 roku wygłosił w Bibliotece Polskiej sześć świetnych wykładów o literaturze polskiej.

„Cokolwiek było przyczyną zahamowania poetyckiego po „Srebrnym i czarnym“, teraz utraciło swoją władzę“. Polska była w nieszczęściu i trzeba było porzucić wszystkie zastrzeżenia dotyczące własnej osoby i wziąć się do ratunku. Wychodzą teraz tomy: „Lutnia po Bekwarku“, „Aria z kurantem“ i „Poezje zebrane“. Był to drugi i ostatni okres twórczości Lechonia.

Tytuły pisanych wówczas wierszy dają się, zdaniem Wierzyńskiego, ustawić jak rząd posągów polskiej poezji: „Kniaźnin i żołnierz“, „Illiada“, „Monte

Cassino“, „Cytata“, „Z La Manchy“ i najlepszy ze wszystkich — „Jan Kazimierz“.

„Doskonałość urzekała go jak niegdyś Chopina“ — kończy swe rozważania o twórczości przyjaciela Wierzyński. — „Uzyskiwał ją często i stworzył własny jej kanon. Ostateczną jego zasadą była jasność, którą doprowadził do przejrzystej czystości. Jasność słowa, jasność kompozycji i jasność idei. Stąd też rozumiały dla wszystkich, a nie przestał być poetą dla poetów, wiersz jego odświeżał w pełni swoje znaczenie, ale nie tracił przy tym tchnienia tajemnicy“.

„Trudno uwierzyć“ — mówi o tragicznym zgonie Lechonia — „że przy swoim lęku przed śmiercią mógł pragnąć jej bardziej niż życia. A jednak wybrał śmierć po jakimś niezbadanym rozrachunku między sobą, światem i Bogiem“.

„Dzieło jego przetrwa między nami, przejdzie z pokolenia na pokolenie i prowadzić nas będzie jak symbol obcowania z wiecznością“ — kończy swe wspomnienie Wierzyński.

Tym hołdem pamięci złożonym tragicznej postaci przyjaciela zamyka się tomik, skromny rozmiarami, a szczerze wypełniony głębokimi, mówiąc jego słowami „przechodzonymi“ myślami, próbą zrozumienia czasu — nie utraconego, a spędzonego na twórczym trudzie mimo klęsk, utraty przyjaciół z którymi spędził życie, od których tak wiele otrzymał i którym tak wiele dał przyjaźni, zrozumienia i miłości. Żyją w jego pamięci, jak żyje daleka Ojczyzna i jej bliska sercu uroda, bo — jak niegdyś powiedział — „Teraz wiem już: nigdy nie zapomnę“.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI — Cygańskim wozem. Miasta, ludzie, książki. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Londyn, 1966. Okładkę projektowała Danuta Laskowska. Stron 158, 1 nlb.

**Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!**

**Wyciąg z żywiołowych gruczołów zwierzęcych**

**KALEFLUID**

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

**Laboratoire B. KALEFLUID**

**F R A N C J A**

**66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.**



# RZYM — MIASTO ZAMKNIĘTE?

**P**amiętacie film z okresu powojennego: *Roma città aperta*, Rzym miasto otwarte? Opowiadał on o dziejach Rzymu pod okupacją i o próbach, ażeby ogłosić miasto za miasto otwarte — co się też stało. Rzym uniknął losu Warszawy, podobnie jak uniknął jego Paryż.

Ale nie o tych chwilach chciałem mówić, nie one stanowią kanwę tych rozważań. Chodzi mi o sam tytuł: Rzym — miasto otwarte. Przez długie lata Rzym był miastem otwartym w tym sensie, że można się było po nim poruszać swobodnie, poruszać pieszo. Było to idealne miasto dla człowieka lubiącego chodzić, błądzić, szukać. Podobnie jak dawniej Paryż. Dzisiaj jest to miasto niemal dla piechura zamknięte — oddane jest bowiem na pastwę samochodu, który rozbija się i rozpycha wszędzie. Piechur nie ma niemal racji bytu, stał się absurdem, przyciskanym do muru, i to dosłownie, przez automobil.

Los Rzymu dzielą coraz częściej inne miasta świata. Coraz mniej jest miast, gdzie piechur może chodzić swobodnie — nawet Wiedeń, który do niedawna stanowił jeszcze oazę spokoju i nie był zawojowany przez samochód, jest dzisiaj także ofiarą samochodu. I tam także coraz trudniej jest znaleźć kątek wolny od ryku auta, od zapachu benzyny. Miasta Europy zamykają się jedno po drugim dla pieszych. Wielka przyjemność turysty, chodzenie, łażenie, „flanowanie“, jak powiada język francuski, należy coraz to bardziej do przeszłości.

Niedawny pobyt w Rzymie uświadomił mi tę prawdę bardziej jaskrawo, aniżeli wizyty w innych miastach — przypuszczalnie właśnie dlatego, że Rzym stworzony był do chodzenia. Był on idealnym miastem, jeżeli chodzi o rozmiary, podobnie jak Wiedeń, jak Monachium, jak Hamburg, jak wiele miast niemieckich, a miał do pokazania (jeżeli chodzi o zabytki) o tyle więcej aniżeli miasta niemieckie. Chodzenie po Rzymie stanowiło swojego rodzaju obrzęd, było rytuałem. Dzisiaj ta wielka radość poznawania miasta powoli, przypadkowo, we-

ług własnej woli i widzimi się — ta radość się prawie skończyła.

Wychodzisz z hotelu i zaraz przypomina ci się fakt, że jesteś zdany na łaskę samochodu. Musisz się rozglądać na prawo i lewo, albowiem najeżdżają na ciebie ze wszystkich kierunków Fiaty od 500 do 1600 czy jeszcze wyżej, dodając do tego Mercedesy, Kadetty, Ople i inne maszyny — najmniej przy tym jest maszyn angielskich. Oczywiście, na tym się rzecz nie kończy, albowiem do samochodów trzeba dorzucić co najmniej tyleż motocykli, Vesp, Lambrett i innych maszynek. Te huczą, bzyczą, najeżdżają, atakują, zachowują się nieraz bardziej agresywnie niż samochody.

Od aut i motocykli nie ma chwili wytchnienia: nawet stojąc na skraju chodnika trzeba się mieć na baczności, albowiem wozy zajeżdżają tak blisko, że ocierają się o krawężnik. Niekiedy wjeżdżają sobie bez pardonu na trotuar, ażeby tam zawrócić — samochodów parkowanych na chodniku jest sporo, zwłaszcza pod wieczór. Nie ma zatem spokoju i na chodniku. Nawet siedząc w kawiarni na chodniku można być najechanym albo potrąconym przez samochód: fantazja kierowców włoskich jest nieopohamowana.

Włochy to kraj kierowców obłąkanych szybkością: na autostradach odbywają się w permanencji wyścigi. Ale nie tylko tam, przy czym lepszy wóz nie pozwoli na to, ażeby go gorsza marka prześcignęła. Dochodzi nieraz do gwałtownych scen na tym tle, a nawet notowano wypadki kiedy kierowca lepszego i szybszego wozu atakował czynnie kierowcę gorszego wozu, który go prześcignął czy wyminął. Były nawet wypadki zamordowania takiego „podlejszego“ samochodu, a raczej właściciela takiego gorszego wozu przez właściciela lepszego pojazdu. Krytycy obyczajów włoskich powiadają, że zazdrość, tak typowa dla Włochów, jak w ogóle dla Południowców, przeniosła się — albo przenosi się coraz bardziej — z kobiety na wóz, który stał się celem marzeń milionów Włochów.

Samochód przyciska cię do muru,

rozplaszcza cię na murze jak plakat. Nie możesz przejść przez ulicę spokojnie, nawet jeżeli światło jest zielone, albowiem raz po raz wyrwa się jakiś wcześniak czy spóźniony, który przejeżdża przez światła w całej parady. Poza to czas przeznaczony na przejście ulicy jest bardzo krótki — krótszy niż w Anglii, co sprawia, że trzeba się spieszyć, a „osoba“ czy postać wymalowana na sygnałach świetlnych — zielona sylwetka przechodnia — wyraźnie spieszy się na znaku włoskim podczas gdy na sygnałach londyńskich ta sylwetka stoi sobie spokojnie. Oto różnica między dwoma krajami o odmiennych temperamentach!

Spokojna kontemplacja uprawiana na ulicach i uliczkach Rzymu nie tak dawno jeszcze, stała się dzisiaj ryzykownym zajęciem. Zagapisz się na jakiś paradny fronton, na kolumny, na resztki zrębów, właśnie co wykopane, a oto najeżdża na ciebie z tyłu samochód, cofasz się, a w tym samym momencie niemal tratuje cię inny. Z trzeciej strony rozlega się ostrzegawczy, a niecierpliw klakson. Stajesz się w mig przedmiotem niechęci klanu samochodowego — otacza cię sfera wozów jak gło-dne wilki.

Uniemżliwia to spokojne chodzenie po Rzymie, zaglądnienie w ustronne dawniej uliczki, teraz przekreślone przez ryczące Vespy, przez Fiaty, przez wozy lepszych marek — wozy te wypadają zza zakrętów, z ciemnych ulic. Są one wszędzie, na Zatybrzu może nie tak gęsto jak w centrum, gdzie natłok jest grubo większy aniżeli na londyńskim Piccadilly Circus czy na Knightsbridge, notorycznych punktach powstawania „korków“. Wszędzie trzeba być na qui vive. Leniwe, spokojne zwiedzanie Wiecznego Miasta jest dzisiaj narażone na szwank.

Nie tylko w Rzymie ta plaga wozów daje się we znaki. W cichym dawniej Asyżu na trzech poziomach góry, na której rozłożyło się to fascynujące miasto, szaleją samochody aż pod piazza San Francesco, pod samą bazylikę górną. Tam również nie można schronić się w ustronne

(Dokończenie na str. 30)

dawniej uliczki, albowiem auta są wszędzie — z wyjątkiem ulic pnących się schodami pod górę. Auta są pod zabytkami, koło dawnego Forum Romanum, które znajduje się w ukryciu murów, na piazza Santa Chiara, pod murami starego miasta Asyżu. Siedząc któregoś dnia na jednym z placów stwierdziłem, że połowa wspaniałego renesansowego portalu pałazu naprzeciwko jest zakryta dachami samochodów. W Rzymie na Monte Pincio i na rozłogach koło Villa Borghese tych aut niemal tyle co na trawnikach pod Centre Court w Wimbledonie, a raczej pod murami All England Lawn Tennis Club — gdzie w pewne dni lśni się istna solidna skorupa metalu — setki, tysiące wozów.

Chociaż raz po raz widzimy w miastach włoskich optymistyczne napisy „zona di silenzio“, to jednak cisza nie jest ich atrybutem, a owa strefa milczenia czy ciszy jest złudzeniem. Samochody kpią sobie z tego nakazu, ryczą, grają, niektóre mają całe pozytywki, które wygrywają skoczne melodie. Ten hałas trwa sporą część nocy, kiedy rozpoczynają się na ulicach miast i miasteczek istne wyścigi. Nawet na dawniej ustronnej wyspie Ischia w zatoce neapolitańskiej, takie wyścigi odbywają się do późna w noc. Miasteczko Porto d'Ischia, które pamiętam z lat 50-tych jako miłe i bezpretensjonalne włoskie miasteczko, dzisiaj huczy od samochodów, a ostatnio wynaleziono nawet tzw. micro-taxi, które na swoich trzech kółkach hałasują może jeszcze bardziej aniżeli „normalne“ taksówki.

Ten hałas jest męczący, a domy trzęsą się dosłownie w posadach od przejeżdżających ciężarówek. Jak te wstrząsy działają na stare, zabytkowe mury, to inna sprawa. Ale na pewno nie sprzyja to utrzymaniu zabytków w jakim takim zdrowym stanie.

Hałas i ruch, obłąd szybkości — to wszystko nasuwa przeciętnemu turyście niepokojące wnioski. Do czego idziemy? Przecież uciekaliśmy dawniej z wielkich miast do idyllicznych wiosek, na mało ożywione plaże, do górskich miejscowości, które odcięte były — jak Mürren, Zermatt czy Saas-Fee — od ruchu samochodowego. Tam oddychaliśmy świeżym powietrzem, tam le-

czyliśmy poszarpane nerwy. W latach ostatnich zarysował się wyraźny ruch kupowania czy budowania domów na dzikich dawniej wybrzeżach, niemal w ostępach. Od Irlandii aż po Grecję taki ruch czy exodus stał się zjawiskiem nagminnym — i wywołał liczne analizy socjologów, którzy zastanawiali się nad zjawiskiem czy fenomenem. I oto okazało się, że człowiek nowoczesny nie może sobie poradzić bez rozmaitych „pomocy“ cywilizacji. Na ustronia i na dzikie plaże przywiózł człowiek samochód, niebawem pobudowano tam drogi, potem założono elektryczność, potem zaczęto stawiać wielkie hotele, wieżowce, niszcząc urodę zacisznych wybrzeży, niszcząc spokój i ciszę dawnych ustroni.

Powstaje pytanie, czy człowiek nowoczesny może sobie pozwolić na odcięcie się od zdobyczy cywilizacji, a raczej czy może zdobyć się na istnienie bez elektryczności, samochodu, bez pralki, lodówki? Musi on mieć telewizję, radio, musi otoczyć się prędzej czy później hałasem, który stanowi dla niego synonim życia. Nie jest zdolny żyć we względnej samotności i spokoju, który jest dla niego synonimem śmierci. Musi przenieść ze sobą miasto i jego cywilizację wszędzie: zamienia dawne wioski w miasta, dawniej puste wybrzeża w parcele budowlane, tworzy wieżowce, drapacze i półdrapacze chmur.

Jest to perspektywa apokaliptyczna, która nie jest chyba tylko wymysłem fantazji. Gdy odwiedzamy dzisiaj takie odcinki brzegu Hiszpanii, jak Costa Brava i zestawiamy je ze stanem z roku 1947 — kiedy były to urocze kąty — to stajemy przytępieni. Dawne wioski rybackie wypaczone zostały spekulacją, olbrzymimi i niegustownymi domami. Wszędzie panoszy się tandeta architektoniczna, wszędzie węższy „tanie wakacje“, camping, samochód, śmiecie. Costa Brava dzisiaj jest jarmarkiem. Nie inaczej przedstawiają się spore partie Costa del Sol, która stanowi o wiele późniejsze odkrycie. I tam brzydota architektury tłumi piękno przyrody, hałas szaleje coraz bardziej, samochód rozpycha się coraz to bardziej arogancko. Człowiek przyniósł miasto na dawne łachy piasku, w cieniście pinety, w laski, w pogórza.

Czy cała Europa ma się zmienić w jedną serię miast, w jeden cykl zabudowań, parcel, w jeden jarmark? Oto pytanie, które stanie w całej grozie przed następnymi pokoleniami. Jest nas za wiele, oto morzał — i akcja, która by zahamowała przyrost naturalny staje się na tym tle zrozumiała. Jest nas za wiele, nasze miasta rozrastają się zbyt szybko, nasza cywilizacja rujnuje nam nerwy i zdrowie hałasem, kurzem, wzywami motorów i silników, trzaskiem dżetów i maszyn superpersonicznych.

Człowiek nowoczesny wlecze za sobą miasto, z którego chce uciec, nie potrafi tego widma przegnać. Stał się on więźniem własnej cywilizacji, która zmierza do samozatraty — przez ruinę nerwów, wrażliwości.

Zbigniew Grabowski

## BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane  
ze sprowadzaniem rodzin  
z Kraju  
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

### TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,  
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16  
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2  
39, Corporation Street

Tel. MID 1526



# DWIE EMIGRACJE — JEDNA TROSKA

„My, Towarzystwo Historyczne, założyciele wraz z innymi Towarzystwami Biblioteki Polskiej w Paryżu, gdy zbiegiem wypadków, zawarowaniem Aktu fundacji, samym nawet przedmiotem prac naszych, stajemy się dziś najbliższymi opiekunami na Emigracji tej Biblioteki, poczytujemy być obowiązkiem naszym, podawszy szczegółową wiadomość o jej dzisiejszym stanie, odezwać się na koniec o pomoc i fundusz do Współziomków abyśmy mogli zabezpieczyć, utrwalić i podnieść Zakład Narodowy Polski na obcej ziemi.“

\* \* \*

Zbiegiem okoliczności, gdy przeczytałem artykuł Prof. Z.L. Zaleskiego „Zmiana warty“, w „Orle Białym“ (Nr 36/7, lipiec-sierpień 1967), o Polskim Towarzystwie Historyczno-Literackim w Paryżu, udało mi się nabyć dwie broszurki wydane przez to Towarzystwo (noszące wówczas nazwę: Towarzystwo Historyczne Polskie), w latach 1851 i 1853, a poświęcone „Bibliotece Narodowej“ w Paryżu czyli dzisiejszej Bibliotece Polskiej w stolicy Francji. Przytoczone zdania na początku tego artykułu stanowią wstęp do jednej z nich,\* przedstawiącej krótką historię założenia Biblioteki Polskiej w Paryżu, za czasów Wielkiej Emigracji, po powstaniu listopadowym. Towarzystwo Historyczne Polskie, noszące wówczas nazwę Wydziału Historycznego, a którego założycielem i pierwszym Prezesem był Julian-Ursyn Niemcewicz, rzuciło myśl założenia Biblioteki Narodowej w Paryżu. W dniu 24 listopada 1838 roku, cztery towarzystwa, a mianowicie: Towarzystwo Naukowej Pomocy (przedstawiciele: X. Czartoryski, Prezes i Wrotnowski Felix, Sekretarz), Towarzystwo Literackie Polskie (X. Czartoryski, Prezes i Plichta Andrzej, Sekretarz), Wydział Historyczny (Niemcewicz J.-U., Prezes i Sienkiewicz Karol, Sekretarz) oraz Wydział Statystyczny (Plater Ludwik, Prezes i Reitzenheim, Sekretarz) uchwaliły Akt fundacji Biblioteki Publicznej Polskiej. Akt ten stanowił zarazem statut nowopowstałej Biblioteki, zawarty w 16 artykułach, z których najważniejsze postanawiały: że, podpisane pod aktem fundacji — jak wyżej — Towarzystwa „postanawiają połączyć zebrane przez

\*) Odezwa Towarzystwa Historycznego Polskiego do Współziomków o Bibliotece Narodowej w Paryżu. Paryż, 1851, stron 24. W drukarni i litografii Maulde i Renou. Na ulicy Bailleul, 9-11.

siebie książki w jednym lokalu w Paryżu, i utworzyć z nich Bibliotekę“, przeznaczoną na Własność Narodową; że „Biblioteka ta otwartą będzie dla użytku publicznego i nosić nazwisko Biblioteki Publicznej Polskiej“; że, „Towarzystwa fundujące Bibliotekę... obowiązują się na przyszłość składać książki i inne zbiory... nie gdzie indziej jak w Bibliotece publicznej Polskiej“; że, Biblioteka ta zostaje upoważniona do przyjmowania w depozyt książek osób prywatnych, „składanych do użytku publicznego czasowo, i z zachowaniem własności“; że, „Biblioteka będzie miejscem składu nie tylko książek drukowanych, ale i rękopismów, tudzież mapp, rycin, litografij, medalów, monet dawnych, pamiątek narodowych i wszelkich innych przedmiotów tyjących się nauk i sztuk“; że zarząd Biblioteki będzie sprawowany przez Radę Biblioteczną, składającą się z Prezesa i po dwóch delegatów towarzystwa założycieli oraz określa jej obowiązki, stawiając na pierwszym miejscu najem lokalu na pomieszczenie Biblioteki; że, „Prezesem stałym Rady Bibliotecznej jest Xiążę Adam Czartoryski...“; wreszcie inne artykuły o pracy Rady Bibliotecznej, między innymi artykuł ustanawiający dzień 3 Maja jako dzień sprawozdania rocznego Rady i zamykający rok budżetowy Biblioteki. Sprawozdania Rady mają być ogłaszane drukiem.

Pierwszymi członkami Rady Bibliotecznej, w roku 1838, byli: ks. Adam Czartoryski, J.U. Niemcewicz, Ludwik Plater, gen. Karol Kniaziewicz, Ludwik Wołowski, Teodor Morawski, Malinowski, Andrzej Plichta i Karol Sienkiewicz. Temu ostatniemu powierzono zarząd Biblioteki. Rada ta dokonała otwarcia Biblioteki „na Sessii publicznej“ w dniu 5 marca 1839 roku. W roku 1851, a więc w chwili wydania omawianej broszury, do Rady Bibliotecznej wchodzili: ks. Adam Czartoryski, Adam Mickiewicz, gen. Henryk Dembiński, Stanisław Barzykowski, Teodor Morawski, Adolf Cichowski i Karol Sienkiewicz, nadal zarządzający Biblioteką.

Pierwsze pomieszczenie Biblioteki znajdowało się w odnajętym lokalu przy rue des Saussaies, Nr 3, tuż przy Pałacu Elizejskim, ówczesnej i obecnej siedzibie Prezydenta Francji.

Z chwilą powstania Biblioteki liczyła ona 2.000 tomów. Dalsze jej pomnożenie stanowiły dary, przekazy pośmiertne i zakup książek i zbiorów. Długa lista „darodawców“ zawiera najświetniejsze nazwiska Wielkiej Emigracji, z których wymienić tutaj można tylko niektóre,

jak: ks. Adam Czartoryski, dwóch jego synów: Witold i Władysław, księżna Anna i Izabella, księżna Wirtemberska (siostra ks. Adama), Adam Mickiewicz, Władysław Zamoyski, Julian Ursyn Niemcewicz, Bonawentura Niemojowski, Bohdan Zaleski, Konstanty Gaszyński, Chodźko Aleksander i Leonard, Klemetyna z Tańskich Hoffmanowa, generałowie: Bem, Chrzanowski, Dembiński, Kniaziewicz i Umiński, Ludwik Plater, Michał Czaykowski, Aleksander Jelowicki, ksiądz Piotr Semenenko, Teodor Morawski, Antoni Ostrowski, Józefat Bolesław Ostrowski, Franciszek Grzymała, Ludwik Wołowski, Józef Reitzenheim, Feliks Wrotnowski. Oddzielnie odnotowano ofiarodawców z Polski, jak: Instytut im. Ossolińskich, ks. Leon Sapieha, ks. Henryk Lubomirski, hrabiowie Działyński i Grabowski, dr Karol Marcinkowski, księgarze: zupański i Popliński z Księstwa Poznańskiego i Jabłoński z Galicji, redaktorzy: Przeglądu Poznańskiego, Gazety Polskiej i Gońca Poznańskiego; wreszcie ponad 30 nazwisk cudzoziemców, wśród nich Montalembert.

Ciekawą inicjatywą był apel o przekazy pośmiertne, dzięki czemu — na mocy zapisów testamentowych — Biblioteka wzbogaciła się księgozbiorem takich osobistości, jak: J.U. Niemcewicz, Gustaw Małachowski, generałów: Kniaziewicza, Paca i Sierawskiego oraz najbogatszym z nich wojewody Wodzińskiego, który przekazał swoją ostatnią wolę nie tylko bogaty księgozbiór, ale również zbiór medali i „zamożny Gabinet Rycin“.

Biblioteka powiększała się jednak głównie drogą zakupów. Zestawienie rocznych nabytków w latach 1839-1850 wykazuje cyfry zmienne, od 720 tomów (w 1841 r.) do 4.500 tomów (w 1850 r.), przy ogólnej tendencji raczej zwiększającej każdego roku. Czytelnia biblioteczna była otwarta dla publiczności codziennie, prócz każdej środy, dnia 5-go każdego miesiąca, niedziel i świąt, od południa do godziny 4-ej. Wypożyczać można było książki do domu tylko jedną i na miesiąc, za pokwitowaniem. Książki cenniejsze można było czytać tylko w czytelni bibliotecznej. Zwiedzanie Biblioteki było możliwe w każdy czwartek, od godz. 9 z rana do południa.

Ciekawie przedstawiały się wówczas katalogi Biblioteki. Odezwa mówi o tym tak: „Katalogi Biblioteki są wielorakie: 1-o Inwentarz książek przybywających, zapisanych pod datą ich wejścia do Biblioteki. 2-o Katalog alfabetyczny w

(Dokończenie na str. 32)

3 Tomach in folio, do których przybędzie w krótkie 2 Tomy supplementu, 3-o Katalog kartkowy, w kartonach podług materij rozłożony, 4-o Rejestr książek rozpozycznych. 5-o Katalog Duplikat“.

Pócz zbiorów bibliotecznych, ówczesna Biblioteka Narodowa zawierała tzw. „Archiwum Tajne“, na które składały się: Akta dyplomatyczne misji polskich, część aktów Rządu Narodowego, (obydwa te zbiory odnosiły się do powstania listopadowego), papiery dotyczące się historii powstań, archiwa rozwiązanych Towarzystw, rękopisy Niemcewicza, Kniaziewicza, Bema i wielu innych. I tutaj broszura wyraża nadzieję, że akta i rękopisy, znajdujące się w rękach prywatnych, przejdą kiedyś do zbiorów Biblioteki.

Biblioteka przeszła przez kłopoty, jakie nie są obce nam dzisiaj. Rząd francuski, który wypłacał rocznie Bibliotece 2.000 franków na najem lokalu, cofnął tę subwencję w 1848 r. (ale nie rościł sobie praw własności księgozbioru), co zmusiło Radę Biblioteczną do zmniejszenia lokalu i personelu. Toteż Rada ta powzięła myśl zakupu domu w Paryżu dla Biblioteki. Pierwszy rzucił tę myśl gen. Kniaziewicz na krótko przed swoją śmiercią (w 1842 r.), a wydana przez Radę Biblioteczną omawiana „Odezwa“ zwracała się do polskiej społeczności emigracyjnej o składki pieniężne na ten cel. Obliczano, że potrzebną była suma 100.000 franków na kupno domu w centrum Paryża. „Odezwa“ podaje skład „Kommissii Składkowej“, której Prezesem był Władysław Zamojski, a w skład jej wchodził: Stanisław Małachowski, Adam Mickiewicz, Eustachy Januszkiewicz i Karol Sienkiewicz, oraz określa zakres działania Komisji, sposób wpłacania składek, wystawiania pokwitowań itd.

\* \* \*

Druga broszura, wydana przez Towarzystwo Historyczne Polskie, której tytuł brzmi: „Składka na dom Biblioteki Narodowej w Paryżu. Sprawozdanie IV. Dnia 31 Grudnia 1853.“ (stron 8), stanowi sprawozdanie, już IV-te z kolei, Komisji Składkowej z zamknięcia rachunków w dniu 29 grudnia 1853 roku. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, że do tego dnia zebrano na czysto sumę Fr. 39.079.40 wraz z odsetkami „papierów Piemontskich“, w których ulokowano zebraną sumę składek.

Sprawozdanie podaje do wiadomości, że mimo zebrania znacznej sumy na zamierzony zakup domu własnego dla Biblioteki, zbiórka na ten cel szła, w ostatnim roku sprawozdawczym, coraz trudniej i przy tym tempie wpływania składek osiągnięcie celu wydawało się Komisji jeszcze bardzo dalekie. Chcąc więc zapewnić poczesne miejsce godne zbiorów Biblioteki, a równocześnie chcąc

uwolnić się od wysokich opłat najmu dotychczasowego lokalu Biblioteki, ciasnego i nieodpowiadającego jej działalności i rozwojowi, „jeden z Członków“ (jak mówi ogólnie Sprawozdanie) Towarzystwa Historycznego podjął się zakupu dla Biblioteki na własne imię tymczasowo, z tym, że w miarę napływu dalszych składek oraz z dochodu z mieszkań wynajmowanych w tym domu Towarzystwo Historyczne spłaci hojnego ofiarodawcę. W dniu 27 października 1853 r. został spisany kontrakt u notariusza Mocquard w tym sensie i Biblioteka stała się częściowym — narazie — właścicielem domu przy Quai d'Orléans pod numerem 6-ym, a po spłaceniu właściciela prawnego — właścicielem wyłącznym domu. Tak więc Biblioteka Polska w Paryżu znalazła się w domu własnym, w którym do dzisiaj rezyduje, będąc jednym z głównych ognisk kultury polskiej za granicą.

Narazie jednak, w chwili wydania omawianego „Sprawozdania“ IV-go, na Bibliotece ciążył spory dług do spłacenia i dlatego Towarzystwo Historyczne zwracało się z dalszym apelem do rodaków o wpłaty składek na fundusz Biblioteki Polskiej. W broszurze tej, jak i w pierwszej z 1851 r., a niewątpliwie i w trzech poprzednich sprawozdaniach Komisji Składkowej, znajdujemy szereg nazwisk Polaków z emigracji i z Polski, którzy złożyli dary pieniężne na dom Biblioteki Polskiej.

Wiemy, że członkiem Towarzystwa Historycznego, który dom nabył i zawarł wspomnianą umowę z Biblioteką Polską, był Władysław Zamojski, siostrzeniec ks. Adama Czartoryskiego, pułkownik wojska polskiego z 1831 roku. Wiemy też, że umowa ta stała się przyczyną pewnego kryzysu w łonie Rady Biblio-

tecznej, w wyniku którego zrezygnował z pracy w Bibliotece dotychczasowy jej zarządzający, Karol Sienkiewicz. Nie chciał się on zgodzić, by Biblioteka znajdowała się w domu prywatnym, chociażby chwilowo, mimo wszystkie korzyści jakie zawarta umowa Bibliotece przynosiła.

\* \* \*

Czytając obie te broszurki, liczące sobie dzisiaj 114 i 116 lat, uderza zdumiewająca analogia zagadnień i trosk Wielkiej Emigracji XIX wieku we Francji i naszej emigracji. Nie wiele trzeba, by broszury te ukazały się dzisiaj w identycznej niemal treści, ale zwracając się do nas wszystkich, gdziekolwiek jesteśmy, z przedstawieniem takich samych spraw i trosk i z takim samym apelem o ofiarność na utrzymanie kultury polskiej na obczyźnie.

Nie sposób nie podziwiać ówczesnej społeczności polskiej emigracyjnej — o wiele mniejszej niż nasza — dla jej zrozumienia potrzeb kulturalnych swoich własnych i celów na przyszłość, troski pozostawienia po sobie tak trwałego pomnika jakim jest Biblioteka Polska, gromadząca księgozbiory w języku polskim i obcych, akta, dokumenty i rękopisy, zbiory wszelkiego rodzaju, mające służyć kulturze polskiej i szerzyć ją wśród obcych. Biblioteka Polska w Paryżu jest najwspanialszym dorobkiem Wielkiej Emigracji, która mimo wszelkie wewnętrzne konflikty, nieraz silniej jeszcze zarysowujące się niż istniejące — niestety — wśród nas, potrafiła zjednoczyć się w tym wielkim swoim dziele, dając nam przykład i wskazując zadanie utrzymania naszych Bibliotek i Instytutów naukowych wszędzie, gdzie one istnieją i służą nam oraz sprawie narodowej.

Adam J. Dąbrowski

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

Zbigniewa Grabowskiego

## OJCZYŻNA EUROPA

Niezwykle interesująca książka o 14 krajach kontynentu europejskiego. Wizerunek Europy powojennej, skreślony przez wrażliwego obserwatora, podróżnika, doskonałego znawcę jej historii i kultury.

Cena: £ 2.10.0

Str. 484

S k ł a d g ł ó w n y :

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.,  
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

Do nabycia w księgarniach polskich.



# FILOZOFIA ANALITYCZNA SKOLIMOWSKIEGO\*)

Zapóżyczając się od poety rzecz można, że nad naszymi głowami rozbiła się bania z historią polskiej filozofii. Jednocześnie z dwóch przeciwnych stron świata przyszła do nas o tym fakcie dobra nowina. Pierwsza z Kraju — o pojawieniu się drugiego, pośmiertnego tomu „Historii Filozofii Polskiej“ Wiktora Wąsika (1883-1963), które to dzieło, zdawało się, nie ujrzy już światła dziennego. Autor doprowadza dzieje polskiej filozofii do okresu romantyzmu i urywa u progu pozytywizmu polskiego. Jest nadzieja, że dzięki pozostawionym materiałom da się to dzieło uzupełnić i doprowadzić do czasów współczesnych przez fachowego następcę, za którego uchodzi prof. Bolesław J. Gawecki (ur. 1899). Tymczasem zamknięte dzieło Wąsika stanowi odrębny temat, któremu warto by było poświęcić osobną uwagę.

Druga nowina łączy się z faktem pojawienia się jednocześnie w Londynie i w Nowym Jorku pierwszej, bardzo udanej próby ujęcia w zwartą całość dziejów głównego nurtu polskiej filozofii współczesnej od czasu, w którym Kazimierz Twardowski rozpoczął swą działalność pedagogiczną na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie (1895 r.), aż po dzień dzisiejszy. Jest to wydana po angielsku „Polska Filozofia Analityczna“ pióra Henryka Skolimowskiego, pisana na szlaku Warszawa-Oxford-Los Angeles, wydana jednak nie w kraju, ale na obczyźnie. Tej książce poświęcona będzie tutaj cała uwaga.

Kim jest jej autor? Statut jego trudno określić kategoriami obiegowymi. Jest to dzieło emigranta politycznego, który ostentacyjnie wybrał wolność. Młody wiek jego wskazuje, że wydarzenia wojenne nie były tą moralną, a zarazem fizyczną siłą odśrodkową, która tyłu Polaków wyrzuciła poza obręb własnej ojczyzny. Wykształcenie wyższe otrzymał w Kraju po wojnie, z całym dobrobytem inwentarza i potrafił wyciągnąć z dorobku wolnej polskiej szkoły filozoficznej międzywojnia i przewyciężenia narzuconych sobie wpływów marksizmu, maksimum korzyści intelektualnych. W ten sposób został fachowo i życiowo przygotowany do napisania omawianej tu pracy historycznej, jako reprezentatywny przedstawiciel swego pokolenia.

\*) Henryk Skolimowski: *Polish Analytical Philosophy — A Survey and a Comparison with British Analytical Philosophy*. International Library of Philosophy and Scientific Method, London, Routledge a. Kegan Paul, New York, The Humanities Press, 1967, XI+275 pp.

Okoliczności na tyle mu sprzyjały, że mógł zdobyć wyższy stopień naukowy zagranicą i pracować samodzielnie w warunkach pełnej swobody, jaką daje stały pobyt na Zachodzie. Po uzyskaniu doktoratu na Uniwersytecie Oxfordzkim Henryk Skolimowski, ożeniony z Amerykanką, osiedlił się w Stanach Zjednoczonych, gdzie od 1964 r. wykłada filozofię jako Associate Professor na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, w Los Angeles. Sylwetkę jego dopełnia fakt, że jest dawnym AK-owcem.

Istniejące na Zachodzie zainteresowanie polską filozofią analityczną — jak stwierdzają wydawcy jego książki — zaspokoi niewątpliwie jego praca: „*Polish Analytical Philosophy*“, wydana przez firmę Routledge and Kegan Paul w serii International Library of Philosophy and Scientific Method, mającej swą długoletnią tradycję. Obejmuje ona prace z dziedziny filozofii, psychologii i socjologii. Jeszcze przed osiedleniem się autora w Ameryce zwracały uwagę jego przejrzyste pisane, dobrze udokumentowane szkice, dotyczące dorobku przedstawicieli polskiej filozofii z okresu międzywojnia, jak K. Twardowski, J. Łukasiewicz czy L. Chwistek, ogłaszane w latach 1962-63 w wydawanym w Warszawie miesięczniku dla cudzoziemców „*Polish Perspectives*“. Były to zapewne wprawki do obecnej książki. Te same bowiem zalety doskonałej popularyzacji utrzymanej na poziomie naukowym odnajdujemy w niej, pisane żywą angielszczyzną, która zresztą, stała się językiem dnia codziennego autora.

Zeszedłszy z barykad Powstania Warszawskiego potrafił on przysposobić się należycie, aby podolać wszystkim trudnościom towarzyszącym pisaniu dla cudzoziemców o polskich sprawach filozoficznych. Na szczęście nie były im one zupełnie obce. W kołach naukowych cenione były osiągnięcia i wkład do badań nad sylogistyką Arystotelesa lub nad logiką wielowartościową Jana Łukasiewicza, zarówno jak sformalizowana teoria prawdy Alfreda Tarskiego, czy też pomysły semantyczne i teorie sztucznych języków Kazimierza Ajdukiewicza. Znał też przyczynki do historii filozofii i estetyki Władysława Tatarkiewicza i koncepcje filozoficznego reizmu czy konkretyzmu Tadeusza Kotarbińskiego, oraz zadatki jego prakseologii,<sup>1)</sup> zarówno jak i prace z filozofii nauki Leona Chwistka

<sup>1)</sup> Patrz artykuł pt. „*Prakseologia Tadeusza Kotarbińskiego*“ — „*Orzeł Biały*“, nr. 20/1167 z marca 1966 roku, str. 35-37.

i badania fenomenologiczne Romana Ingardena, zwłaszcza nad dziełami sztuki. Znane one były przeważnie za pośrednictwem rozmaitych pism, jak organ Koła Wiedeńskiego „*Erkenntnis*“, angielski „*Mind*“, oraz czasopism fachowych francuskich. Trudność zasadniczą dla Zachodu stanowił brak dostępu do głównych dzieł tych filozofów, pisanych w języku polskim, nie mającym zasięgu światowego, jak angielski, francuski, niemiecki i ostatnio rosyjski. Trudność tę autor ujął w pytanie: Jak zbliżyć filozofię regionalną (provincial) do filozofii o zasięgu światowym (central)?

Inną trudność stanowi skompletowanie dostatecznej bibliografii prac ogłoszonych w językach obcych, skoro polskie pozycje są na ogół niedostępne cudzoziemcom. I z tym Skolimowski uporał się częściowo, choć nadal postulat ten jest zadaniem do spełnienia w następnych wydaniach jego pracy. Właściwie nasz autor nie miał wielu poprzedników

(Ciąg dalszy na str. 34)

## Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W. 7.

Wylączne przedstawicielstwo  
Instytutu Literackiego i  
„Kultury“ na Wielką Brytanię

### Czapski Józef

NA NIELUDZKIEJ  
ZIEMI 22s

### Herling-Grudziński G.

INNY ŚWIAT 20s

### Singer Bernard

OD WITOSA  
DO SŁAWKA 27s

### Witos Wincenty

MOJE WSPOMNIENIA  
3 tomy 130s

### Zaremba Paweł

HISTORIA POLSKI  
tom I 30s

Przesyłka każdej książki 3s.

w tym zakresie i jedynym źródłem większych rozmiarów byłaby książka dra Zbigniewa Jordana (ur. 1911) „Philosophy and Ideology“, której tezą była rozprawa z zakusami marksizmu na opisanie głównego nurtu polskiej filozofii. Podejście jednak do tego tematu jest u obu autorów różne. Choć obaj wykazują zainteresowania socjologiczne, to jednak Skolimowski trzyma się zasadniczo zagadnień czysto filozoficznych. Wskazuje to, że jednak wpływy płynące ze źródeł politycznych nie zdołały wypaczyć jego właściwego nastawienia do zagadnień filozoficznych.

Wszystkie te walory składają się na to, że książkę Skolimowskiego czyta się z dużym zainteresowaniem, a zalety stylu i ekspozycji przyczynią się, że i cudzoziemiec znajdzie tam wiele rzeczy ciekawych — czasem egzotycznych — choć punkt wyjścia i zasadnicze zręby metodologiczne polskiej filozofii analitycznej są te same, co i na Zachodzie.

Polski i brytyjski prąd sięga bowiem do tych samych początków u logików i epistemologów niemieckich, jak F.L.G. Frege (1848-1925) i F. Brentano (1838-1917). Wspólne też są zainteresowania z angielskimi założycielami analogicznej szkoły, jak C.E. Moore (1873-1958) i B.A.W. Russell (ur. 1872) i podobne rozwiązania reistyczne spotyka się u C. Ryle'a (ur. 1900), zarówno jak i lingwistyczne podejście u A.J. Ayera (ur. 1910) i wielu innych. Różni je tylko fakt małego zainteresowania jakie u Polaków budzą prace przeważnie pośmiertnie wydane L. Wittgensteina (1889-1951).

Różnią się one jeszcze pod jednym względem: bo o ile szkoła angielska analityków może się nadal rozwijać swobodnie i jeśli zamrze, to śmiercią naturalną, gdyż objawy wycieńczenia i sprzeciwów zaczynają się mnożyć — to szkoła polska została, jak to dosadnie określa Skolimowski, w początkach lat 1960-tych „wytrzebiona“ (emasculated). Przetrwa jednak na sposób polski, bo jeśli nie w podziemiu, to w każdym razie podskórnie, skoro — jak stwierdza nasz autor — weszła ona w krew filozofów marksistowskich, skazanych w ten sposób na „rewizjonizm“. Wszystko to jest, oczywiście, słuszne, rebus sic stantibus, w obecnej sytuacji.

Nil desperandum, skoro Skolimowski uważa, że nie jest poniewczasie wyznaczyć, że filozofia analityczna dobrze przysłuży się ludzkości pod warunkiem, że wyzbędzie się dogmatu przesadnej, nadmiernej ścisłości, nawracając do zasady Arystotelesa, że należy być ścisłym w takim stopniu, w jakim dane zagadnienie tego wymaga, i znacznie wznosić treściwsze i trwalsze konstrukcje filozoficzne. Niewątpliwie literacka żyłka autora, którą dzieli z innymi współcze-

snymi pisarzami filozoficznymi (od Sartre'a do Kołakowskiego), czyni z niego rzecznika „metafor“ w wykładzie filozoficznym, którym to metaforom przypisuje on sukcesy Ryle'a.

Przejrzyście skomponowaną książka jest starannie wydana. Chociaż naszpikowana dziwacznościami dla drukarza angielskiego nazwiskami i polskimi tytułami prac, zawiera bardzo niewiele błędów drukarskich, czy usterek w datach, lub przeoczeń, jak np. rozważania nad metodologią metafizyki Tadeusza Czeżowskiego<sup>2)</sup>, lub zmiana imienia Jana na Tadeusza prof. dr. Zieleniewskiego (ur. 1901), skomponowana zaliczeniem go do grupy, młodszej wiekiem, do której zalicza się doc. dr. Tadeusza Pszczołowskiego (ur. 1922).

Na marginesie tych uwag możnaby wysunąć pewne dezyderaty dla przyszłych wydań, bo jest to niewątpliwie książka z przyszłością. Sytuacja jest na tyle paradoksalna, że gdyby mogła ona znaleźć wydawcę w Kraju, powinaby się rozejść w mig, jest bowiem równie pionierską na Zachodzie, jakby nią była w Kraju. Wówczas możnaby ją było uzupełnić pełną bibliografią artykułowych źródeł o dziejach polskiej filozofii międzywojnia. Na zagranicę mogłaby ona być łącznie rozbudowana tak, aby objęła i inne nurty polskiej filozofii współczesnej, obejmując również i polskich fenomenologów oraz zasobny dorobek polskiej filozofii chrześcijańskiej, z katolickim neotomizmem skupionym w środowisku lubelskim — na czele. Zresztą zarodek tego znajduje się już w książce Skolimowskiego, bo trzymał się zasadniczo głównego tematu, to jednak raz po raz w krótkich dygresjach nie omieszkął wskazać na te inne odgałęzienia, gdyż polska filozofia stanowi, metodologicznie biorąc, wcale zwartą i solidarną całość, która nolens volens objęła i odłam marksizmu.

Książka prof. Henryka Skolimowskiego przyszła bardzo w porę. Jest teraz sprzyjająca passa na przekłady zasadniczych dzieł polskich filozofów. Oprócz prac T. Kotarbińskiego<sup>3)</sup> i przygotowywanych przekładów Historii Estetyki Władysława Tatarkiewicza (ur. 1886), ukazały się już w Zachodnich Niemczech przekłady trzech podstawowych dzieł Romana Ingardena (ur. 1893). Chyba najlepszą nagrodą za krzewienie wiedzy o Polsce dla H. Skolimowskiego byłoby wydanie jego książki po polsku — jeśli już nie w Kraju, to na obczyźnie.

Jan Ostrowski

<sup>2)</sup> Patrz: „Filozofia na rozdrożu“, „O.B.“ nr. 33/1180 z kwietnia 1967, str. 37/38.

<sup>3)</sup> Patrz: „Gnoseologia“, „O.B.“, nr. 35/1182 z czerwca 1967 r., str. 32-33.

## Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W. 7.

**Anders Władysław**

BEZ OSTATNIEGO  
ROZDZIAŁU

35s

**Sosnkowski Kazimierz**

MATERIAŁY  
HISTORYCZNE

63s

**Rudnicki Jan**

SŁOWA A CZYNY

65s

**Narbut-Łuczyński J. A.**

U KRESU

WĘDRÓWKI

52/6s.

**Korboński Stefan**

W IMIENIU

RZECZYPOSPOLITEJ

63s

**Nowakowski Zygmunt**

WIECZORY

POD DĘBEM

42s

**Tomkiewicz Mina**

BOMBY I MYSZY

35s

**Grabowski Zbigniew**

OJCZYŻNA EUROPA

50s

**Kuniczak W. S.**

THE THOUSAND

HOURLY DAY

42s

**Korboński Stefan**

WARSAW IN EXILE

42s

Przesyłka każdej książki 4s.



# Polscy imkarze w Austrii

W Środkowej Austrii, gdzie Górna Austria graniczy ze Styrią, znajduje się pięknie położone podgórze alpejskie. Góry, lasy, rzeki, a nawet układ terenu przypominają nieco nasze Podkarpacie. I ludzie tamtejsi mają podobny charakter do naszych podkarpackich, sucheńskich, jordanowskich, czy rabczańskich górali.

W takich to pięknych okolicach, daleko od miast i wysoko nad osiedlami obozowali polscy imkarze z Wielkiej Brytanii, głównie z Londynu, z Francji i Austrii.

W wiosce Laussa i okolicy przyjęto polskich obozowców z wielką życzliwością, a nawet w pierwszą niedzielę pobytu w obozie miejscowy ksiądz przywitał Polaków z ambony.

Już nie poraz pierwszy polscy imkarze spędzili w Laussa trzytygodniowe wakacje. Tegoroczny obóz był już trzecim, choć nie z kolei, obozem który odbył się w Austrii. Wyjeżdżając rokrocznie przedzielają swój pobyt w Austrii wyjazdami do Belgii, Holandii, do Francji czy też spędzają wakacje na obozowisku w Botley koło Southampton.

Pięćdziesiątka imkarzy, z których wielu znało już teren i ludzi, świetnie wykorzystywała każdą chwilę swojego pobytu. Szefostwo obozu składające się z dyrekcji i kierowników grup przygotowało jeszcze na wiosnę program. Posługując się długoletnimi doświadczeniami, opracowali nowe elementy programowe, dostosowując je do terenu i nowej grupy młodzieży, która w tym roku dołączyła do obozowców z lat ubiegłych.

Janek Rybczyk objął w tym roku kierownictwo obozu i wraz z Włodkiem Lesieckim czuwał nad przebiegiem programu, w którym sport prowadził Jacek Zapaśnik, a poszczególne grupy: Andrzej Rajpold, Grzegorz Smosarski, Andrzej Jackowski, Jerzy Behnke i Stefan Zapaśnik z Francji, Pomocnikami i zastępcami kierowników grup byli: Tadek Hojło z Wiednia, Jerzy Górnac, Przemek Kulesza, Andrzej Litwinek i Marian Zarkow — z Londynu.

Trzy słoneczne tygodnie z krótkotrwałymi, przelotnymi burzami, dały możliwość przeprowadzenia bardzo szerokiego programu, w którym dominował sport, wycieczki lokalne i dalekodystansowe, codzienne ogniska, zawody wewnętrzne, konkurencje i olimpiada z rówieśnikami-imkarzami innych narodowości obozujących równocześnie z Polakami w Laussa. Konkurencje sportowe, po krótkim wstępnym przygoto-

waniu i treningu, odbywały się w ramach lekkiej atletyki, różnorodnych gier, pływania, strzelania z łuku i pistoletu, igrzysk nocnych itp. Wycieczki, których zrobiono specjalnie dużo w tym roku, nosiły szczególny charakter. Poza lokalnymi wypadami do okolicznych skał lub wiosek, odbyły się trzy klasy tzw. „wypraw komandosowskich“. Każda następna kwalifikowała do trudniejszej, a w rezultacie najtrudniejszą wyprawę odbyło więcej niż połowa obozowców. Trzeba tutaj podkreślić wspaniałą postawę najmłodszych obozowców, którzy wyróżniali się przedsiębiorczością, wytrwałością i wspaniałym humorem w każdej sytuacji. Dalekodystansowych, krajoznawczych wycieczek odbyto po jednej w każdym tygodniu; i tak obozowcy udali się do Wiednia najpiękniejszą drogą naddunajską, zwiedzili naturalnie Kahlenberg, pełen pamiętek chwały polskiego rycerstwa; Salzkammergut z przepięknymi jeziorami i Salzburg napewno pozostawiły tak samo silne wrażenie jak i wycieczka do podnóża Alp, do miejsca, w którym granitowe masywy górskie strzelają w górę na półtora tysiąca metrów z nad jezior i dolin.

Intelektualiści obozowi zabawiali się — i równocześnie cały obóz — „zgaduj zgadula“, lub w szachowym turnieju, do którego zebrało się aż szesnastu młodych zawodników. Piotr Poliszewski — zwycięzca turnieju — wyniósł za to z obozu piękną nagrodę i dyplom. Za sport, wyprawy komandosowskie, quizy i międzynarodowe konkurencje, posypały się w ostatnią noc na pożegnalnym ognisku, liczne puchary, żetony, medale i dyplomy.

Tegorocznym honorowym obozowcem został wybrany przez kolegów Jerzy Górnac; jego nazwisko zostanie wpisane na przechodnią nagrodę ufundowaną przez przedwojennych obozowców zamieszkałych obecnie w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Najlepszym sporto-

wcem wybrany został Kazik Fuks, a pięciobój obozowy wygrał Przemek Kulesza, za co otrzymał piękną nagrodę przechodnią ufundowaną przez wieloletniego dyrektora obozów letnich Polskiej YMCA p. Wojciecha Mrozowskiego.

Na wieczornych ogniskach śpiewali i bawili się również i obokrajowcy, z którymi współzycie było bardzo przyjazne.

Prócz tradycji obozowych takich, jak rozdanie chust, oznaczających lata pobytu w obozach i włączenie do siedmiomilionowej rzeszy członków imkarskich na świecie, poza dniem samorządu, gdy cała władza i program przechodzi w ręce chłopców-obozowców, doszło wznowienie tradycji na każdym obecnie obozie od kilku lat, a mianowicie śpiewanie polskich pieśni religijnych w lokalnym kościele podczas ogólnej mszy.

Szczególnym świętem dla obozowców był dzień przyjaźni międzynarodowej. Na zaproszenie kierownictwa polskiego obozu proboszcz Laussy odprawił w tym dniu w obozie mszę św. z uczestnictwem obozowców innych narodowości i wyznań chrześcijańskich. Wielkim i podniosłym momentem było odczytanie Lekcji i Ewangelii w czterech językach i odśpiewanie pieśni przez wszystkie grupy obozowców, bez względu na ich wyznanie chrześcijańskie. Później rozgrywki sportowe, wspólne ognisko i posiłki nadały temu dniu specjalny wydźwięk; w Młodej Europie są też Polacy.

Piękna, słoneczna pogoda i doskonałe warunki obozowania dały dobre zgraniemu zespołowi obozowców możliwość przeżycia trzech tygodni w koleżeńskej atmosferze. Dały mnóstwo nowych doświadczeń, wiele poznanych miejscowości, nawiązania nowych kontaktów i przyjaźni. Toteż nie można się dziwić, że wyjeżdżano stamtąd niechętnie, planując już na rok przyszły nowe spotkania, snując plany obozowe, choć nie wiadomo dokładnie czy imkarze wyjadą do Francji, Belgii, Danii czy Holandii.

## Polski sklep WESTERN PROVISION STORES

200, Warwick Road, London, W. 14.

Tel.: 603 6221

Bogato zaopatrzony we wszystkie artykuły żywnościowe kontynentalne i miejscowe

DOSTAWY BEZPŁATNIE (W NAJBLIŻSZEJ OKOLICY)

Ceny konkurencyjne.

Obsługa szybka.

# PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

## KOBIETA

### I GROMADA SPOŁECZNA

**O**D czego zacząć gawędę z miłymi czytelniczkami „Orla”? Tematów interesujących kobiety jest wiele, a każde przejrzenie prasy porannej, chociażby najbardziej powierzchowne, da nam do myślenia o problemach i sprawach, w których kobieta odgrywa coraz to ważniejszą rolę. Stajemy się po prostu coraz bardziej niezbędne w tych dziedzinach życia, które do niedawna były domeną czysto męską. Ale inicjatywa podjęta niedawno przez niejaką panią Silverman, opiekunkę społeczną jest nadal i przede wszystkim sprawą bliską kobiecemu sercu. Panią Silverman bowiem zaniepokoił problem bardzo aktualny — a mianowicie samotność i wyobcowanie się kobiety ze społecznej gromady przez... polepszenie się jej statusu społecznego. Paradoksalne, a jednak prawdziwe.

Terenem badań pani Silverman i jej sześciu pomocnic było osiedle podmiejskie pod Manchesterem, do którego władze lokalne przenoszą rodziny robotnicze ze starych i nieodpowiednich pomieszczeń.

W trosce o dobrobyt robotnika władze miejskie nie tylko Manchesteru, ale każdego większego miasta w W. Brytanii przenoszą rodziny z nieraz ciasnych i prymitywnych mieszkań do nowoczesnych bloków z centralnym ogrzewaniem, gorącą wodą i automatycznym spustem na śmiecie. Wydawałoby się więc, że młode, nie pracujące z powodu małych dzieci kobiety winny się czuć w tych zmienionych na lepsze warunkach — doskonale. Jest jednak wprost przeciwnie. W starym mieszkaniu, gdzie nieraz jeden zlew z zimną wodą obsługiwał wiele pięter (pozostałość budownictwa z czasów wiktoriańskich) — kobieta miała w koło siebie swoje własne towarzystwo, z którym najprawdopodobniej wzrastała i które tak samo jak i ona przyzwyczajone było do prymitywnych warunków codziennego życia. Za rogiem ulicy, lub nawet w tym samym domu miała matkę, lub co najmniej sąsiadki, które przycho-

dziły jej z pomocą, wpadały na plotki i tradycyjną „cup of tea”. Z chwilą przeniesienia się do lepszych warunków mieszkaniowych — do osiedla, które z samego założenia (zieleni, lepsze powietrze etc.) położone jest zazwyczaj z dala od fabryki, w której pracuje mąż — żona angielskiego robotnika stanęła przed problemem nie tylko wyobcowania się z bliskiego sobie środowiska, ale także przed problemem wyższego poziomu życia. Centralne ogrzewanie, czy gorąca woda na zawołanie, lub elektryczna kuchenka — muszą kosztować. Subsidia magistrackie, chociaż nieraz bardzo pokaźne, nie pokrywają zwiększonych kosztów mieszkania w nowoczesnym bloku. Młoda kobieta często nie potrafi ułożyć sobie budżetu, wypala za wiele gazu, wstydzi się przed nową sąsiadką sfatygowanych mebli czy spranych obrusów. Pragnąc podciągnąć się do nowego otoczenia staje się ofiarą domokrażnych sprzedawców, ofiarujących na tygodniowe spłaty różne artykuły. W rezultacie — zarobek męża okazuje się pod koniec tygodnia niewystarczający.

Pani Silverman wraz ze swym zespołem odwiedzała mieszkanki podmanchesterskiego osiedla przez 6 miesięcy. Zebrała olbrzymi materiał statystyczny i doszła do pewnych wniosków, które przedstawiła władzom miejskim. Postulaty jej będą wzięte pod uwagę. Zarówno w odwiedzanym przez nią osiedlu jak i w innych, radni miasta Manchester wezmą pod uwagę potrzeby owych nowoczesnych „zaklętych królowien z magistrackich złotych klatek”. Przyszłe plany obejmować będą ogródki jordanowskie i kluby młodzieżowe, oraz lokalne kino, które by wyświetlało filmy w czasie, kiedy dzieci są w szkole. Ale przede wszystkim władze te przed przeniesieniem robotniczych rodzin do nowych domów urządzają dla kobiet specjalny kurs, obejmujący planowanie budżetu oraz przekonania ich, że gorąca woda — a więc czystość, musi je kosztować; że ciepła temperatura w pokoju małego dziecka jest skuteczniejsza od syropu na kaszel. Pani Silverman dołożyła

swoją cegiełkę do uświadomienia prostej kobiety angielskiej i do uczynienia jej z czasem szczęśliwym członkiem nowego, zdrowszego społeczeństwa.

### BABCIA NASZYCH CZASÓW

Od tej dość zasadniczej sprawy przejdźmy teraz już nie do sprawy, ale do instytucji, jaką jest... babka. Niedawno na łamach prasy londyńskiej ukazał się bardzo zabawny artykuł o „natychmiastowej babce” czyli babce zaskoczonej tym, że się nią stała.

„Natychniastowa babka” jest kobietą przeważnie jeszcze młodą, która nie ma zamiaru zrezygnowania choćby z pięciu minut swego energicznego życia dla słodkich maleństw swojej córki czy syna. Jest osobą niesłychanie żywotną, nie lubiącą tracić czasu na nieistotne poczynania. Minęły bowiem już czasy potulnych starszych pań, które spoglądały łagodnie na świat spoza okularów. „Natychniastowa babka” nosi obecnie plastikowe soczewki na gałce ocznej, które podnoszą urok jej nieco wyblakłych już źrenic i przychodzi do swych dzieci prosto z pracy, aby z rzadka zająć się wnukami. A ponieważ nie rezygnująca z pracy zarobkowej babcia porosła w pióra przez szereg lat tej pracy — jest często osobą niezłe sytuowaną. Zamiast więc szydełkować sweterek dla najmłodszego wnuka — kupuje mu gotowy orłonowy, a dla córki czy syna, zamiast pomocy w „przepierce” — kupi na raty maszynę do prania. Ułożywszy raz wnuczęta w łózkach, „natychniastowa babka” rozsiądzie się wygodnie nie z „żywotami świętych”, ale z najnowszą powieścią Mary MacCarthy, wyciągnie zgrabne nogi na poręczu fotela i zacznie odpoczywać. Taką babkę wnuczęta wprost uwielbiają. Zachwycają się błękitną farbą na jej siwych, ale prosto od fryzjera włosach, o ile nie przemalowała się przed tym na rudo — i wołają, że chcą żeby mamusia miała takie same niebieskie uczesanie. A zamiast mówienia rozkapryszonemu aniołkowi: „jeżeli będziesz niegrzeczny — zabierze cię policjant”, „natychniastowa babka” mówi: „jeżeli będziesz niegrzeczny, to nie pokażesz babcinej niebieskiej



# ODMROŻENIE

Ż nadchodzącą zimą, która w angielskim klimacie nieraz potrafi być dokuczliwą, jak też i z uwagi na sporty zimowe, z których napewno korzysta co roku wielu czytelników „Orla“ — zajmujemy się dzisiaj przypadkami odmrożenia.

Czym jest odmrożenie? Jest to skutek działania intensywnego zimna, do którego ludzka natura nie jest przyzwyczajona, na eksponowane kończyny, przez które nie tylko rozumiemy ręce, czy nogi, ale także takie części ciała, jak nos czy uszy.

głowy swojemu koledze“. Dzisiejsza babka nie ma przesądów. Nie przyniesie na chrzciny najmłodszej pociechy żółtkiej sukienki do chrztu swego najstarszego syna i nie powie: „w tych oto koronkach, droga synowo, chrzciałam twego męża“. Kupi natomiast elegancki stroik na wyrost, w którym mały facet będzie mógł uczęszczać za kilka lat do przedszkola. I wreszcie „natychmiastowa babka“ zwolniona o północy z „baby-sitting“ powie na odchodnym: „przynies mi jutro, córeczko, te swoje złote ciżemki na korku. Mam właśnie zebranie natychmiastowych babek, na którym będziemy uczyły się najnowszego tańca...“

## TĘCZOWA PARASOLKA

Na zakończenie kilka słów o parasolach. Pewna firma mediolańska wymyśliła specjalne pokrowce z rozciągliwego materiału, które nakłada się na otwartą parasolkę. W ten sposób posiadając jedną i to nieraz nie pierwszej świeżości parasolkę na codzień i od święta — możemy mieć ich w rzeczywistości kilkanaście. Rozciągliwe trójkąty z kolorowego nylonu zakłada się podobno bez trudu na okrągłe, druciane zakończenia żeber parasola z jednej strony, a na szpic — z drugiej. Fabrykanci twierdzą, że zmiana koloru jest dosłownie kwestią minuty i doradzają, aby panie dbały o harmonię w stroju zakupywały naraz co najmniej szesnaście takich parasolowych kawalków — na osiem bowiem sektorów dzieli się każda parasolka. Posiadając szesnaście takich wycinków można dowolnie mieszać kolory i unosić nad głową w czasie deszczu tęczowe cuda, dostosowane barwą do reszty ubrania.

K.E.

Odmrożenie, jak wiemy, zdarza się, gdy człowiek wystawiony jest przez dłuższy czas na działanie chłodu, szczególnie, jeśli znajduje się na dużej wysokości, tak jak w górach, lub na silnym wietrze. Zimno nie musi być specjalnie intensywne, gdyż zły obieg krwi, powodowany „zastaniem się“ (jak np. miało to miejsce w niespecjalnie mroźnych, ale chłodnych i wilgotnych okopach podczas wojny, szczególnie, gdy żołnierze mieli na nogach źle dopasowane buty, czy ciasne spodnie), powoduje w pierwszym rzędzie odmrożenia.

Ostre zimno powoduje skurcz naczyń krwionośnych w skórze. To właśnie wyzwała tzw. substancję H, która z kolei znowu powoduje rozszerzanie się tych samych naczyń. Te dwa czynniki następujące w organizmie jeden po drugim uszkadzają naczynia krwionośne i płyny ciała, których naczynia nie są w stanie zatrzymać, przesiąkając do otaczających je tkanek. Rezultatem tego uszkodzenia jest opuchlizna zaatakowanej części ciała i bąble.

W wypadkach groźniejszych, w odmrożonej części ciała mogą powstać skrzepy, a nawet gangrena.

Odmrożenie bywa nieraz zupełnie zaskakujące, jak np. przez dotknięcie gołym palcem metalowego przedmiotu na dużej wysokości i w ostrym zimnie. Kiedy indziej znowu — jak wiemy, z przykładów włóczęgów, którzy często spędzają wszystkie noce swego życia na świeżym powietrzu — odmrożenie nie będzie nagłe, lecz występuje w tempie zwolnionym.

Pierwszym objawem odmrożenia będzie uczucie oparzenia, które dopiero po pewnym czasie zmieni się w sensację zdrętwienia.

Wygląd miejsca odmrożonego zależy od stopnia odmrożenia: przy lekkim odmrożeniu skóra zbieleje i stanie się połyskliwa, podczas gdy przy odmrożeniu poważnym może stać się czerwona, a nieraz nawet prawie zczerniała. Gdy następuje proces gojenia się, drętwota mija i wówczas osoba cierpiąca na odmrożenie zaczyna odczuwać ból. W bardzo poważnych stopniach odmrożenia, paznokcie mogą zejść, a jeśli w odmrożenie wdała się już gangrena — zaatakowany może postradać np. — palce, czy konchę uszną.

Jak zapobiec odmrożeniu? W pierwszym rzędzie przez odpowiedni ubiór jak suche rękawiczki, nauszники itd. Wszyscy sportowcy muszą pamiętać, że najlepszą ochroną ich nóg przed odmro-

żeniem będą dobrze leżące, nie za ciasne i dokładnie natłuszczone buty. Skarpetki winny być zmieniane przy najmniejszym przemoknięciu, a równa temperatura ciała podtrzymywana przez wystarczającą ilość suchego i ciepłego odzienia.

Jeżeli zauważymy, że nos zbieleł, lub kończyny zdrętwiały, należy natychmiast zdjąć rękawiczkę lub but. W wysokogórskich wycieczkach znana jest praktyka szukania źródła ciepła dla zaatakowanej ręki lub nogi — pod pachą towarzysza. Odmrożony nos należy ukryć we własnych dłoniach. Przestrzec jednak usilnie należy przed stosowaniem bezpośredniego ciepła (jak np. termofor z gorącą wodą) lub nacieranie śniegiem — wypadku silnego odmrożenia. Przede wszystkim należy odmrożenia delikatnie przemyć środkiem dezynfekcyjnym, dokładnie osuszyć i przykryć sterylną gazą i kilkoma pokładami waty.

Pierwsza pomoc może być bezpiecznie udzielona przez podawanie doustnie gorących płynów. Jeżeli temperatura ciała odmrożonego spadła poniżej normy, należy ułożyć go w uprzednio dobrze ogrzanym łóżku, nie powodując jednak kontaktu miejsce odmrożonych ze źródłem bezpośredniego ciepła, jak np. grzałką.

Po udzieleniu pierwszej pomocy należy zawiadomić lekarza, który prawdopodobnie zastosuje antybiotyki, aby zapobiec infekcji.

Dr Michał

## KALENDARZYK KOMBATANTA

na rok 1968



najtańszy i najpraktyczniejszy podarek świąteczny dla każdego

zawiera kilkaset adresów organizacyj oraz instytucyj polskich w świecie

u k a ż e s i ę w l i s t o p a d z i e

## JESTEM URATOWANY

**N**IE LUBIĘ KLAMAĆ, a — co gorsza — również nie umiem kłamać. Ale, jak każdy z nas, mężczyzna, gotów jestem do kłamstwa dla utrzymania szczęścia małżeńskiego i harmonii rodzinnej. Założę się, że w tym miejscu większość czytelników dojdzie do łatwego wniosku, że chodzi mi zapewne o kłamstwa wobec żony, wynikłe z konieczności ukrywania wobec niej moich pozamałżeńskich eskapad. Otóż nie, wcale nie! Mam na myśli kłamstwa, popełniane nie tylko za wiedzą mojej żony, ale nawet na skutek wywieranego przez nią nacisku. Kiwacie państwo z niedowierzaniem głowami? No, to posłuchajcie.

Kobiety, jak to wiadomo każdemu żonatemu mężczyźnie, są niezwykle uczulone na punkcie przedmiotów, posiadanych przez ich znajome i przyjaciółki, których one same, naturalnie, wyłącznie z przyczyny niedołęstwa męża — nie mają. Któraż kobieta wybaczy swemu mężowi fakt, że jej najlepsza przyjaciółka dostała od męża pierścionek z brylantem, jakiego ona sama nie posiada? Nie pomagają tłumaczenia, że to na pewno okup za niewierność małżeńską; sam byłem niechętny świadkiem, jak żona inżyniera Cyfrówko odsyknęła mu w odpowiedzi na tego rodzaju sugestię: „Nawet gdybyś mnie potrafił zdradzić, fujaro, to i tak nigdy byś się na taki gest nie zdobył!“ Ale do rzeczy. Moja żona bardzo ciężko przeżywa fakt, że nie potrafiliśmy się zdobyć na kupno samochodu. Ilekroć widzi przed domem, w którym odbywa się przyjęcie u naszych znajomych, Victora Astrachańskich, Jaguara doktora Dojdy, Volkswagena majora Miecz-Szablińskiego, czy nawet zwykłego Mini Sewilskich, patrzy na mnie wzrokiem, w którym głębokie cierpienie wewnętrzne krzyżuje się z nieopisaną pogardą pod moim adresem. Pod tego rodzaju presją moralną zgodziłem się wziąć udział w troskliwie zaplanowanym oszustwie. Mianowicie udajemy wraz z żoną wobec naszych znajomych, że mamy samochód. Wymaga to niekiedy karkołomnych sztuczek w dziedzinie łgarstwa, ale czego się nie robi dla świętego spokoju w domu? No, w gruncie rzeczy chyba trochę mniej, niż świętego, bo jednak,

gdy jesteśmy sami, żona nigdy nie zaniebduje kręcić mi dziury w brzuchu na temat konieczności posiadania mechanicznego środka poruszania się. Nic nie pomaga staranne wycinanie przeze mnie ze wszelkich, dostępnych mi, czasopism, artykułów i wypowiedzi, jasno udowadniających, że poruszanie się po Londynie samochodem jest już dzisiaj przejawem samoudręczenia, a za kilka lat będzie wogóle niemożliwością. „Jeżeli to nie przeszkadza Astrachańskim, Dojdzie, ani Sewilskim, to ja też bym to jakoś wytrzymała“ — odpowiada. Więc, żeby chociaż w drobnym stopniu wynagrodzić jej straty duchowe, spowodowane brakiem auta, gorliwie biorę udział w naszym oszukaństwie.

Najgorzej zawsze jest wtedy, gdy idziemy do kogoś z wizytą. Jeżeli tylko my jesteśmy gośćmi, to pół biedy, mówi się, że zaparkowało się maszynę na poprzecznej ulicy, po czym idzie się do kolejki podziemnej, lub do autobusu. Ale na większych zebraniach, gdzie wychodzi się zwykle w większym towarzystwie, zawsze piętrzyły się przed nami kolosalne trudności. W końcu, żeby ich uniknąć, uzgodniliśmy plan działania, który za skromną cenę pozyskania przeze mnie opinii nieszkodliwego dziwaka, całkowicie usunął konieczność skomplikowanych tłumaczeń. Zaczęliśmy mianowicie twierdzić, że idąc z wizytą, nie zabieramy samochodu z zasady, „bo sami państwo rozumiecie, człowiek zawsze coś niecoś wypije, a potem o wypadek łatwo“. Wprawdzie znajomi wzruszali na to ramionami, że cztery podwójne whisky nikomu jeszcze nie zaszkodziły, a Stratfordzki, który miał już sześć wypadków, protekcyjnie klepał mnie po ramieniu, potakując, że „gdy się ma słabą głowę, to rzeczywiście lepiej uważać“, ale brak naszego samochodu przed domem nie dziwił już nikogo. Tak, że gdyby nie domowe narzekania mojej lepszej połowy, sprawę auta mógłbym uważać za załatwioną. Właściwie pogodziłem się już z wytworzoną sytuacją i przyzwyczailem do naszego fikcyjnego Citroena — z drugiej ręki, naturalnie! — gdy nagle z nieoczekiwaną pomocą przyszły mi władze.

Jak zwykle, w trzeci czwartek mie-

siąca byliśmy na tradycyjnym zebraniu u Sewilskich. Wytworzył się tam taki zwyczaj, że gospodarze dają posiłek (Sewilka zresztą gotuje świetnie, palce lizać!), a goście przynoszą po butelczynie czegoś mocniejszego. Nic dziwnego, że zwykle rozstawaliśmy się przed domem raczej późno w doskonałych humorach, a Sewilski musiał usuwać z domu stosik pustych butelek. Ostatnim razem jednak wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Trochę się spóźniliśmy, więc byłem przygotowany na to, że gościnni gospodarze każą nam „doganiać“ resztę, przynagając nas po wypiciu całej serii kieliszków jeden za drugim. Tymczasem natychmiast po wejściu do pokoju uderzył nasze oczy niezwykle widok: na stole stała bateria zaledwie napoczętych butelek, a goście nie zdradzali zupełnie zwykłego miłego ożywienia. Na nasz widok Stratfordzki, siedzący pod ścianą z pełnym kieliszkiem w garści, zawołał:

— Przyszli szczęściarze! To wszystko dla was! — i szerokim gestem pokazał na zastawiony prawie pełnymi butelkami stół.

— O co chodzi? Co się stało? — zaniepokoiłem się.

Sewilski gościnnie podał żonie i mnie kieliszek.

— W was cała nadzieja — powiedział. — Nam, jako gospodarzom, pięć wiele nie wypada, więc to właściwie wszystko dla was. Chyba, że dzisiaj wyjątkowo przyjechaliście swoją Cytryną?

— Nie, wiesz przecież, że tego nigdy nie robię. Dla zasady — dodałem, wietrząc jakiś podstęp.

— Niech żyją zasady! — krzyknął nieco już chwiejnie trzymający się na nogach doktor Dojda. — Pijemy zdrowie zasad!

Zebrani spojrzeli na niego ponuro, a Dojdowa, bardziej chyba jeszcze ponuro od innych, syknęła mu w ucho:

— Mógłbyś się tak nie zalewać! To, że dzisiaj moja kolej prowadzić wóz, to nie powód, żeby robić ze siebie świnię.

Z kieliszkami, w rękę podeszliśmy do Astrachańskich. Spojrzeli na nas bez wyrazu, żując obojętnie znakomite kanapki Sewilskiej.

— Nie pijecie? — zapytałem. — No, wasze zdrowie!



## Książki nadesłane

— Już jeden wypilem, dziękuję — powiedział Astrachański i ostentacyjnie odwrócił się do mnie tyłem.

Z głębi pokoju dobiegł podniecony głos Szponderskiej:

— A ja wam mówię, że jak konserwatyści dojdą do władzy, to zmienią tę idiotyczną ustawę. Przecież to skandal, pogwałcenie wszystkich swobód obywatelskich! Byle policjant może zatrzymać mój samochód, kazać mi dmuchnąć w balonik, a potem fiut! zabierają ci na rok prawo jazdy!

— No, a konsekwencje gospodarcze? — zapytał major Miecz-Szabliński. — Kto teraz będzie chodził do pubów? Ruina, proszę państwa, ruina i wzrost bezrobocia.

— A jednak w Szwecji tego rodzaju prawo działa już od dawna — powiedziałem, ośmielony czwartym kieliszkiem, zazdrośnie odprowadzanym wzrokiem przez obecnych.

W pokoju zawrzało.

— Szwecja! — wykrzyknął Erywański. — Też przykład! Mały krąk, gdzieś pod kołem biegunowym, odsunięty od nurtu wielkich wydarzeń dziejowych!

— I ta ich cała zdegenerowana literatura — wrzucił ramionami Genuński-Strindberg, no i ten, jak mu tam — Hamsun...

— Hamsun był Norwegiem — zauważyłem, wypijając mój następny kieliszek.

Celtycka przyszła w odsiecz Genuńskiemu:

— Norweg, czy nie Norweg — stwierdziła. — A ja byłam przez cały dzień z wycieczką w Sztokholmie i jedno mogę powiedzieć: to nie jest kraj, w którym chciałabym mieszkać.

Jak zwykle, największe wrażenie wywołało jednak autorytatywne oświadczenie żony doktora Dojdy.

— Naukowo zostało stwierdzone — powiedziała z naciskiem — że w Szwecji jest najwięcej samobójstw. To chyba wystarczy — i spojrzała na mnie z wyższością.

Nie bez złośliwości, podniosłem w górę mój następny kieliszek:

— Zdrowie pani konsyliarzowej! — powiedziałem.

Dojdowa odwróciła się z nieukrywaną nienawiścią.

— Dostyc tego! — krzyknęła do męża. — Jedziemy do domu! — i podtrzymując swego pana i władcę, który nie był już w stanie stawiać po-

ważniejszego oporu, wyszła wraz z nim z pokoju.

— To małżeństwo się chyba rozleci — ze smutkiem powiedziała Astrachańska do żony. — Od czasu wprowadzenia tej ustawy o balonikach do dmuchania dla kierowców, żyją ze sobą jak pies z kotem, bo na zmianę nie piją, żeby jedno mogło prowadzić wóz. A wtedy z reguły jedno z nich wypija za dużo, a drugie jest wściekle. A tak dotąd dobrze ze sobą żyli — dodała z westchnieniem.

— No, ale ty przecież nie umiesz prowadzić? — zapytała żona.

— Franek już mnie zapisał na kursy — jęknęła Astrachańska. — I musiałam mu przyrzec, że dopóki nie zdam egzaminu i nie będziemy prowadzić na zmianę, też nie będę piła. Wcale się nie dziwię, że w Szwecji jest tyle samobójstw — dodała pośpie.

Goście rozeszli się wyjątkowo wczesnie, większość trzeźwa i ponura, a kilka osób w nadmiernie wesołych humorach. Wczesne wyjście tych ostatnich spowodowane było wyłącznie wywleczeniem ich niemal siłą przez zirytowanych partnerów życiowych, pozbawionych przez cały wieczór alkoholu. Zostaliśmy sami z Sewilskimi.

— No, nareszcie! — zatarł ręce gospodarz. — Możemy zaczynać!

Ze zrozumiałych względów spędziliśmy noc u Sewilskich. Wracając do domu, żona spojrzała na mnie jakoś cieplej i powiedziała:

— Wobec tych ostatnich obostrzeń to może i lepiej, że nie mamy samochodu?

W następnych wyborach stanowczo głosuję na Partię Pracy.

Wojciech Stefański

**SPK W KANADZIE.** Kwartalnik Nr 3 (23), Toronto, lipiec 1967 Zarządu Głównego SPK w Kanadzie, str. 20 — zawiera m.in. sprawozdanie z XII. Walnego Zjazdu delegatów SPK w Kanadzie. Nr 4 (24), październik 1967, str. 24 — poświęcony głównie stoletniej rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego. Oba numery bogato ilustrowane.

**DUSZPASTERZ POLSKI ZAGRANI-CĄ.** Nr 4 (73) październik-grudzień. Rzym 1967. Zawiera: List ks. biskupa W. Rubina do Księży Duszpasterzy. Ponadto: dokumentacja, artykuły, dział sprawozdawczy, z kraju, różne, polska kronika zagraniczna. Dodatek: Dział kaznodziejski.

**Jadwiga Otwinowska: UMIEM JUŻ CZYTAĆ.** Książeczka poelementarzowa. Układ graficzny, ilustracje i okładka Ireny Ludwig. Polska Macierz Szkolna, Londyn, 1967, str. 60.

**O POLSCE I WOJNIE.** Myśli i aforyzmy Józefa Piłsudskiego. Wybrał, przygotował do druku i wydał Konrad Libicki. Londyn 1967. W stoletnią rocznicę urodzin Józefa Piłsudskiego. Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, str. 52.

**Wiktor Sukiennicki. LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ.** Wspomnienia i uwagi o dwudziestu latach Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Biblioteka „Kultury“, tom 147. Instytut Literacki, Paryż 1967, str. 134.

**Aleksander Hertz. SZKICE O IDEOLOGIIACH.** Biblioteka „Kultury“, tom 146. Instytut Literacki, Paryż 1967, str. 158.

**Witold Dzięcioł: THE ORIGINS OF POLAND.** Wyd. Veritas Foundation Publication Centre. Londyn 1967. Str. 309. Jacket by Janina Chrzanowska. 4 maps. Historia zarania dziejów Polski napisana po angielsku z intencją uczczenia polskiego Millennium.

**Witold Dzięcioł: JÓZEF FLAWIUSZ HISTORYK ŻYDOWSKI.** Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas“. Londyn 1966. Str. 213 i 3 mapy. Obwoluta Janny Chrzanowskiej.

Tom IX serii zielonej „Biblioteki Polskiej“ poświęcony postaci wielkiego historyka żydowskiego, autora napisanej po grecku „Historii Wojny żydowskiej“ z pierwszego wieku po Chrystusie.

**Adam Ciołkosz: LUDZIE P.P.S. 1892-1967.** Centralny Komitet Polskiej Partii Socjalistycznej. Gryf Printers (H.C.) Ltd. Londyn 1967, str. 104.

**POLAND AND GERMANY.** Vol. XI. No. 1/2 (39/40). Londyn. January-June 1967. Articles — S. Czechanowski: Eastern European Policy Unchanged. E. Hinterhoff: German Reunification and Poland's Interests. S. Lubomirski: Lenin and Germany. T. Piszczkowski: The German Problem. Facts and Figures. A.K. Tomlinson: Poland's Demographic and Territorial Status. Press Notes. Book Reviews. Shorter Notices.

**Ref-Ren: MIŁOŚĆ W MOIM ŻYCIU.** Nakładem autora. Gryf Printers (H.C.) Ltd. Londyn 1967. Str. 52.

**DE POOLSE OUDSTRIJDER.** Wydanie holenderskie „Kombatanta Polskiego w Beneluxie“ Nr 14, wrzesień 1967. Zawiera sprawozdanie ze zjazdu SPK w Holandii i w Belgii, 25-lecie 3 Dyw. Strz. Karp. i inne artykuły, sprawozdania i wiadomości z życia kombatanckiego.



# Świat się śmieje

## Przeciw prądowi

Bernard Shaw po premierze jednej ze swoich sztuk był nieustannie wywoływany przez rozentuzjasmowaną widownię, lecz wśród gromkich aplauzów Shaw zauważył na sali również widza, który hałaśliwie manifestował swą dysaprobatę sztuki. Poprosiwszy o milczenie, Shaw zwrócił się do niezadowolonego widza: „Proszę pana, ja jestem dokładnie tego samego zdania co pan, ale cóż my dwaj poradzimy przeciw tak olbrzymiej większości“.

## Hobby matki

Ośmioletnia dziewczynka odpowiadając na pytanie: hobbies moich rodziców, zanotowała w swoim zeszycie pod nagłówkiem „ojciec“: golf, ogrodnictwo, pływanie, malowanie. Pod nagłówkiem „matka“: prasowanie.

## Jak w domu

W przedziale londyńskiego pociągu dżentelman-pasażer wyjmując z kieszeni cygaro, zwraca się do siedzącej obok starszej damy:

— Czy pozwoli pani, że zapalę?

— Niech pan się czuje jak we własnym domu — odpowiedziała towarzyszka podróży.

— All right — westchnął smętnie dżentelman-pasażer i schował cygaro z powrotem do kieszeni.

## Większy specjalista

W jednym z teatrów rewiiowych występował pewien siłacz, który wyciskał cytrynę do cna i następnie ofiarował sto funtów temu z widowni, kto potrafiłby wycisnąć z niej jeszcze kroplę. Pewnego razu jakiś niepokazny widz

skorzystał z zaproszenia aktora, wszedł na scenę, wziął cytrynę w dłoń i po chwili spadło z owocu jeszcze kilka kropeł.

— Zdumiewające — powiedział aktor — jaki jest pański zawód?

— Pracuję w urzędzie podatkowym.

## Królewska tożsamość

Królowa szwedzka Luiza lubiła przyjeżdżać często z wizytą prywatną do Londynu i chodzić jak zwykły śmiertelnik po ulicach miasta. Jeden z jej przyjaciół zauważył kiedyś, że w torebce miała kartkę z napisem „Jestem królową Szwecji“.

— Widzi pan — powiedziała królowa — w razie wypadku byłoby rzeczą niepraktyczną, gdyby nie wiadano, kim jestem.

## Motywy starożytne

Maly Jaś wróciwszy ze szkoły opowiada ojcu dzieje dnia:

— Dzisiaj, tatusiu, byliśmy w muzeum i oglądaliśmy statuetkę zwycięstwa z Samotraki.

— Ładnie!

— To jest kobieta, tatusiu.

— Wiem, wiem.

— Ale dlaczego kobieta ma reprezentować zwycięstwo?

— Mój drogi, jesteś jeszcze za młody, zrozumiesz to trochę później, kiedy się ożenisz.

## Beznadziejny wypadek

Pacjent u lekarza psychiatry:

— Panie doktorze, cierpię na zanik pamięci.

— A, woła lekarz, pan ma zanik pamięci!

— Kto? Ja, cierpię na zanik pamięci?

## Ojcowska reakcja

Mała dziewczynka wpada z płaczem do kuchni:

— Co ci się stało, droga, powiedz — pyta matka.

— W salonie — mówi dziewczynka — tatuś przybił gwóźdź do ściany i stłukł sobie palec.

— A więc? — pociesza matka — przecież to ciebie nie boli, to nie twój paluszek tylko tatusia. Eee, powinnaś się śmiać, nie płakać.

— To ja właśnie się śmiałam — mówi dziewczynka, zanosząc się od płaczu.

## Powrót do zdrowia

— Jak się ma dziś nasz chory — pyta służącą lekarz u wejścia do mieszkania swego pacjenta.

— Sądzę, że czuje się znacznie lepiej, bo dziś już trzy razy nazwał mnie kretynką.

## Inny świat

Laura wracając ze szkoły informuje matkę:

— Dziś mieliśmy lekcję o sprawach seksualnych.

— A tak, i czego was nauczono?

— O, mammo, szkoda ci mówić, ty i tak nic nie zrozumiesz.

## Recepta

Farmaceuta po dłuższej chwili studiowania recepty zwraca ją pacjentowi, mówiąc:

— Nie mogę w żaden sposób odcyfrować pisma pańskiego doktora.

Pacjent wobec tego powraca do lekarza, informując go o tym co zaszło w aptece. Lekarz bierze receptę, spogląda na nią przez chwilę, po czym mówi do pacjenta:

— Niech pan się kładzie, zbadam pana jeszcze raz i napiszemy nową receptę.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francje — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.);

W BELGII: J. Korab Bzowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licca 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



ków wywodzące się z zamachu stanu. P. Aleksander Stambrowski może tego nie rozumieć, ale Redakcja „Orla Białego“ powinna to wziąć pod uwagę i artykuł o „rządach pułkowników“ odesłać autorowi. Nie tak bowiem nie szkodzi dobremu imieniu emigracji jak zamazywanie pojęć praworządności. Nie należy także ogłaszać w szanującym się piśmie twierdzeń, które nie mają żadnego pokrycia w rzeczywistości.

Oto przykład: „Orzeł Biały“ ogłosił zdanie p. Stambrowskiego, które brzmi: „Fakt, że nigdzie nikt nie protestuje, przeciw ‘rządom pułkowników’ mógłby świadczyć, iż inne narody lubią je“.

Wszyscy wiemy doskonale — a gdy ktoś nie wie — łatwo się o tym przekonać, że nigdy, ani w przeszłości ani obecnie żadne rządy pułkowników czy generałów wywodzące się z zamachu stanu, nie cieszyły się w świecie popularnością. Wszystkie były ostro krytykowane, zarówno przez własne społeczeństwa jak przez obcych. Krytyczna przedwojenna opinia światowa o Polsce też w dużym stopniu w tym fakcie miała swoje źródło.

Podobnie dziś opinia światowa nie próbuje dochodzić czym z zawodu byli przed laty rządzący dziś Grecją pułkownicy. Istotne jest tylko jedno: doszli do władzy nie z woli narodu lecz w oparciu o siłę pułków, którymi dowodzili. Wojsko zaś jest od tego aby strzegło bezpieczeństwa kraju, a nie od tego aby rządziło. I to jedno właśnie wystarcza aby pułkownicy, którzy sięgają po władzę w oparciu o karabiny swych żołnierzy nie zasługiwali na szacunek opinii światowej.

Powtarzam: p. Stambrowskiemu wolno tego nie rozumieć, wydaje mi się wszakże, że głoszone przez niego poglądy nie zasługują na druk w piśmie demokratycznej organizacji kombatanckiej.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Tadeusz Podgórski  
Monachium

W liście swym p. Podgórski nie polemizuje z autorem — jak można by oczekiwać — lecz karci srogo redakcję za umieszczenie tego artykułu w „ORLE“... „piśmie demokratycznej organizacji“.

My ze swej strony uważaliśmy i nadal uważamy, iż jednym z podstawowych atrybutów demokracji jest możliwie jak największa swoboda wypowiedzania się.

Redakcja

#### INFILTRACJA I OGŁOSZENIA

Szanowny Panie Redaktorze,

Świetny artykuł T. Norwida o infiltracji reżymu („Orzeł Biały“ Nr 39) bardzo mnie zainteresował swym wnikliwym ujęciem zagadnienia.

Trudno mi byłoby rozpatrywać przedziałanie w strefie moralnej, ale jeśli chodzi o stronę materialną, to skuteczna

#### ZNACZENIE WYRAZÓW

**Poziome:** 2) rzecz błaża, nieważna; 6) i 8) latający konkurent?; 7) budowla niezgody?; 9) nie mógł się chyba bez niej obejść Piast; 10) kompozytor francuski. 11) miejsce dawnych zsyłek polskich na Syberii; 12) ryzykant; 14) nic wtedy już nie widzisz w jasnych kolorach? (6, 7); 19) i 20) przysłowiowo wierna żona; 21) przyjęcie dla nieobecnego?; 22) część kapusty do poćcałunku?; 23) Skamander Słowackiego; 24) zazdrość a może i więcej (wspak); 25) niedolega, a gdy mały gra.

**Pionowe.** 1) ni w te, ni wewte?; 2) jasna część koła; 3) uczta dla bogów; 4) nikt go nie oczekuje l.m.n.; 5) lepiej nie można dopasować? (3, 5); 12) w piosence harcerek płynie na Ukrainie, w rzeczywistości nie; 13) z wszystkiego niezadowolony; 14) otchłań; 15) zwolenniczki; 16) imię żeńskie; 17) związki chemiczne (wspak); 18) w winnicy była dla wszystkich ta sama.

riposta leży w możliwościach każdego z nas; po prostu należy odwrócić kota ogonem. Firmy paczkowe i biura podróży zależne są od klientów, wobec tego powinniśmy przestać korzystać z usług tych firm, które nie ogłaszają się w prasie emigracyjnej — mam na myśli tę prawdziwą, jak „Orzeł Biały“, „Dziennik Polski“. Obniżenie obrotów podkopaloby podstawy bytu tych firm, zmniejszyłoby znacznie zyski i wpływy ekonomiczne reżymu, a skutki — śmiem sądzić dla nas korzystne — nie dalyby długo na siebie czekać.

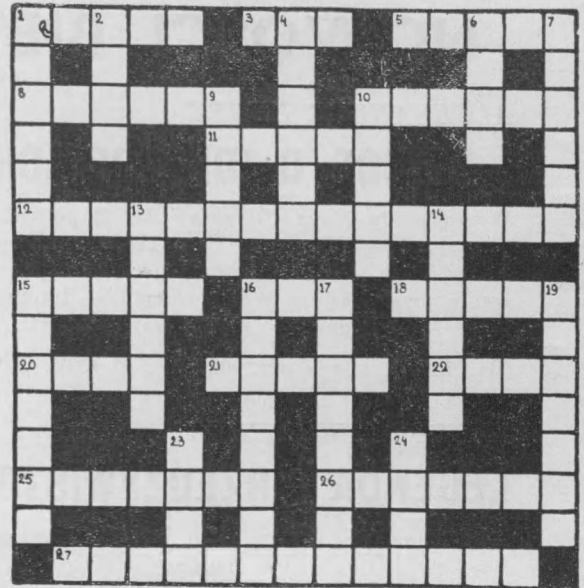
Kreślę się z prawdziwym szacunkiem

Jerzy Korwin-Wróbiewski  
Cavendish

#### ŻARŁOCZNY CHOCHLIK

Szanowny Panie Redaktorze,

Wprawdzie bardzo to pochlebnie świadczy o drukarni „Orla“, że głodzicie swego chochlika drukarskiego do tego stopnia, że połknął jedno zdanie w mojej recenzji z książki Zbigniewa Grabowskiego „Ojczyzna Europa“, wydrukowanej w październikowym numerze Pańskiego pisma, ale zmusza mnie to do prośby o wydrukowanie sprostowania, aby naprawić mimowolnie wyrządzoną autorowi tej doskonałej książki, krzywdę. Napisałem mianowicie: „Na sumienne podjęcie do swego zadania przez Grabowskiego wskazuje fakt, że w swych szkicach analitycznych pominał dwa państwa Europy zachodniej, w których sam nie był, a więc Finlandię i Portugalię“. Żarłoczność waszego zagłodzonego chochlika spowodowała zniknięcie w druku zdania „w których sam



#### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 597/67

**Poziome:** 1) i 5) pieśniarka, 3) i 16) oskard, 8) Medyna, 10) miedza, 11) skory, 12) kraj pomyślności, 15 i 18) Podbipięta, 20) Kair (wspak), 21) ogień, 22) rugi, 25) kołomąt, 26) komanecz (wspak), 27) przeznaczenie.

**Pionowe:** 1) pomruk, 2) i 6) Eldorado, 4) sokoly, 7) Amalfi, 9) Rossa (wspak), 10) Myśli, 13) jabłko, 14) ofiara, 15) porażka, 16) Augustyn, 17) dziedzic, 19) Anielka, 23) i 24) zmiennie.

nie był“, co w umyśle czytelnika mogło wywołać zupełnie odmienne od zamierzonego wrażenia, co do sumienności autora „Ojczyzny Europy“.

Łączę wyrazy szacunku

S. Wóycicki  
London

Doskonała książka na nagrody dla  
dzieci w szkołach przedmiotów  
ojczystych

**ICH MŁODE LATA**

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.

London, S.W. 11.

Dobry uczynek —  
zachęcić przyjaciela  
do prenumerowania  
„ORLA BIAŁEGO“

# NOWOŚCI BIBLIOTEKI „KULTURY“

ALEKSANDER HERTZ

## SZKICE O IDEOLOGIACH

Wracając do Maxa Stirnera — Z perspektywy przeszłości — Ideologia: — Treść i zakres — Weryfikacja — Uwagi marginesowe o przewidywaniu przeszłości — Wiek ideologii — Inteligencja i ideologie — Koniec czy kryzys?

Str. 147. Cena egz. sh. 17/6, F. 12.00, dol. 2.30

WIKTOR SUKIENNICKI

## LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ

Wspomnienia i uwagi o 20 latach Uniwersytetu w Wilnie.

Str. 128. Cena egz. sh. 13/6, F. 9.00, dol. 2.00

TOMASZ STALIŃSKI

## WIDZIANE Z GÓRY

Pierwsza powieść o Polsce Ludowej, której bohaterami są członkowie Biura Politycznego KC PZPR

Str. 320. Cena egz. sh. 27/6, F. 18.50, dol. 4.00

GALINA SIERIEBRIAKOWA

## HURAGAN

Nowy wstrząsający dokument z okresu stalinowskiego.

*Przełożył Józef Łobodowski*

*Wstęp Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*

Str. 112. Cena egz. sh. 12/6, F. 8.00, dol. 1.75

SWIETLANA ALLILUJEWA STALIN

## 20 LISTÓW DO PRZYJACIELA

Autoryzowany przekład tej sensacyjnej książki ukaże się w początkach listopada br.

*Książka będzie poprzedzona wstępem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*

*Centralne Przedstawicielstwo na Wielką Brytanię*

**KSIĘGARNIA S. P. K.**

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

## KALENDARZYK KOMBATANTA

NIEODZOWNE

ŹRÓDŁO

INFORMACJI

DLA

K A Ź D E G O

## KONCERT KACETOWCÓW

Niestrudzona p. Sue Ryder sprowadza z Polski na listopad kilkoro młodych b. kacetowców (jeden z nich oślepił, męczony w obozie jako dziecko), którzy robią karierę artystyczną. Dadzą oni bezinteresownie w Anglii szereg koncertów na dochód Fundacji Sue Ryder.

*W programie: muzyka klasyczna, polskie pieśni ludowe i pieśni tworzone potajemnie w więzieniach i obozach zagłady.*

KONCERT W LONDYNIE: Poniedziałek 13 listopada, godz. 7.30. — Kasa Royal Festival Hall, Purcell Room. Tel. 928 3191